

JEFFREY
ARCHER



DZIENNIK
WIĘZIENNY

Przełożyła | Sokoł

Dziennik Więzienny

Jeffrey Archer

Prószyński i S-ka (2002)

Etykiety: Prisoners, Novelists; English

**JEFFREY
ARCHER**

Dziennik

więzienny

INYICTUS

Z piekielnej czerni, która trwa wkoło mnie, Dziękuję bogom, obcym mi z imienia,

Za duszę moją hardą,

Wyciosaną z niepodatnego toporom kamienia.

Że w zdarzeń złych potrzasku

Ni razu nie zapłakałem,

Że głowa moja, choć obficie krwawi,

Przed niczym się nigdy kornie nie pochyli.

Stając nad tymi pagórami złości,

I padołem, jak mówią, łez,

Nie lękam się zmór nieodgadnionych dni

Ani sądnych, mrocznych lat.

Nieważne, jak wąską furtką przeciskać się mam, Co spotka mnie z litanii kar, Sternikiem swoich losów jestem sam Własnej duszy kapitanem.

William Ernest Henley (1849-1903)

przekład: Czesław Sowa Pawłowski

Tom pierwszy

BELMARSH: PIEKŁO

Dzień pierwszy

Czwartek, 19 lipca 2001

12.07 po południu

- Skazuję pana na cztery lata więzienia. - Sędzia Potts spogląda na mnie z ławy sędziowskiej z nieskrywanym zadowoleniem. Poleca, aby mnie odprowadzono.

Strażnik z agencji ochrony Securicor, siedzący obok mnie podczas odczytywania werdyktu, wskazuje drzwi po lewej stronie, których ani razu nie otwierano w trakcie trwającego siedem tygodni procesu. Odwracam się i patrzę na moją żonę Mary, która z pochyloną głową i po-bladłą twarzą siedzi w głębi sali sądowej, z dwoma naszymi synami po bokach.

Sprowadzają mnie w dół po schodach, staję przed urzędnikiem sądowym i tak zaczyna się niekończący się proces wypełniania formularzy. Nazwisko? Archer. Wiek? Sześćdziesiąt jeden lat. Waga? Sto siedemdziesiąt osiem funtów, mówię.

- Ile to będzie w kamieniach*? - dopytuje się funkcjonariusz więzienny.

- Dwanaście kamieni, dziesięć funtów - odpowiadam. Wiem, bo się ważyłem na sali gimnastycznej dziś rano.

- Dziękuję panu - mówi i prosi, żebym się podpisał u dołu strony.

Inny strażnik Securicoru - więźniowie nazywają ich szcurami wodnymi - prowadzi mnie nie wiadomo dokąd długim, ponurym, po-malowanym na kremowo ceglany korytarzem.

- Ile panu wlepił? - pyta rzeczowo.

- Cztery lata - odpowiadam.

* Kamień - ang. jednostka wagi - 14 funtów - 6,35 kg (przyp. tłum.).

- Nie tak źle, za dwa lata będzie pan wolny - rzuca lekko, jakby chodziło o dwutygodniowy pobyt na Costa del Sol.

Strażnik przystaje, otwiera kluczem olbrzymie stalowe drzwi i wprowadza mnie do celi. Pomieszczenie ma około dziesięciu stóp na pięć, też kremowe ściany, przy jednej z nich stoi drewniana ławka.

Brak zegara, człowiek traci poczucie czasu, nie ma nic do roboty po-za rozmyślaniami, nic do czytania oprócz napisów na ścianie: **HARİY TU BYT PIEPRZYĆ WSZYSTKICH SĘDZIÓW JIM DEXTEK JEST NIEWINNY, I JUŻ!**

Klucz obraca się w zamku i uchylają się ciężkie drzwi. Strażnik powrócił.

- Ma pan widzenie ze swoimi adwokatami - obwieszcza.

Wędruję znowu długim korytarzem, co kilka kroków otwierają przede mną i zamykają okratowane furty. Zostaję wprowadzony do pomieszczenia tylko trochę większego od tamtej celi, czekają tu na mnie mój obrońca, radca królewski Nicholas Purnell i jego młodszy współnik, Alex Cameron.

Nick tłumaczy, że cztery lata oznaczają dwa i że sędzia Potts orzekł karę pozbawienia wolności, świadom, że nie będę mógł wy-stąpić do rady penitencjarnej o wcześniejsze zwolnienie. Oczywiście on i Cameron wniosą apelację w moim imieniu, gdyż uważają, że Potts mocno przesadził. Radca królewski Gilly Gray, stary przyjaciel, przestrzegł mnie poprzedniego wieczoru, że ponieważ sędziowie przysięgli byli nieobecni przez pięć dni, a ja nie wystąpiłem w swojej obronie, wniosek o apelację może nie zostać przyjęty życzliwie. Nick dodaje, że tak czy owak nie będzie rozpatrywany przed świętami Bo-

żego Narodzenia, bo tylko wnioski skazanych na niskie wyroki są szybko załatwiane.

W dalszym ciągu Nick mnie informuje, że najpierw trafię do więzienia Belmarsh w Woolwich.

- Przynajmniej jest to więzienie nowoczesne - zauważa, ale uprzedza mnie, że panuje tam ciągły hałas i boi się, że przez kilka pierwszych nocy nie będę mógł spać. Jest pewien, że po dwóch tygodniach zostanę przeniesiony do więzienia kategorii D - czyli więzienia otwartej tego - prawdopodobnie w Ford albo na wyspie Sheppey.

10

Nick tłumaczy, że musi mnie pożegnać i wrócić na salę sądową numer 7, by złożyć wniosek o zwolnienie okolicznościowe, żebym mógł

w sobotę być na pogrzebie mojej matki. Umarła w dniu, kiedy sędziowie przysięgli udali się na naradę, i jestem wdzięczny losowi, że nie dowiedziała się, iż zostałem skazany.

Dziękuję Nickowi i Aleksowi za to, co dla mnie zrobili, i wracam pod eskortą do celi. Zatrząskują się wielkie żelazne drzwi. Strażnicy więzienni nie muszą ich zamykać na klucz, tylko je otwierają, gdyż w środku nie ma klamki. Siadam na ławce i znów się dowiaduję, że

„Jim Dexter jest niewinny, i już!”. Usiłuję zrozumieć, co się stało i co mnie czeka, ale w głowie mam dziwną pustkę.

Drzwi otwierają się ponownie - mniej więcej piętnaście minut później, jak mi się zdaje - i zostaję zaprowadzony do pokoju, gdzie wypełniam kolejny zestaw formularzy. Tęgi, przysadzisty funkcjonariusz, który coś burczy pod nosem, odbiera mi klamerkę do banknotów, sto dwadzieścia funtów, kartę kredytową i wieczne pióro. Umieszcza wszystko w torbie plastikowej, która zostaje zabezpieczona, i pyta, dokąd to odesłać. Podaję imię i nazwisko Mary oraz nasz adres domowy. Podpisawszy jeszcze dwa formularze w trzech egzemplarzach każdy, zostaję przykuty kajdankami do otyłej,

niewysokiej kobiety z papierosem dyn-dającym w kąciku ust. Najwyraźniej nie spodziewają się z mojej strony żadnych kłopotów. Kobieta ma na sobie ubiór służb więziennych: białą koszulę, czarny krawat, czarne spodnie, czarne buty i czarne skarpetki.

Wyprowadza mnie z budynku do podługowatej, białej furgonki przypominającej autobus z zaciemnionymi oknami. Zostaję umieszczony w czymś w rodzaju boksu - recydywiści mówią na to „sauna”

- i chociaż ja widzę, co się dzieje na zewnątrz, oczekujący dziennikarze nie mogą mnie zobaczyć i nie mają pojęcia, w którym jestem bok-sie. Flesze kamer na próżno błyskają przed każdym oknem. Długo czekamy, aż słyszę krzyk jakiegoś więźnia:

- Chyba Archer jest w tym furgonie!

Wreszcie pojazd z szarpnięciem rusza i wyjeżdża wolno z dziedzińca Old Bailey, rozpoczynając długą, okrężną drogę do Belmarsh, więzienia Jej Królewskiej Mości.

Kiedy jedziemy powoli przez ulice City, zauważam billboard „Evening Standard” obwieszający: „ARCHER SKAZANY NA WIEZIENIE”. Wygląda na to, że został wydrukowany przed ogłoszeniem wyroku.

Dobrze znam drogę, jaką przemierzamy Londyn, gdyż w każdy piątek wieczorem jedziemy tędy z Mary do domu w Cambridge. Teraz jednak skręcamy nagle z głównej drogi w prawo w małą uliczkę, gdzie wita nas kolejna horda dziennikarzy. Podobnie jak tamci na dziedzińcu Old Bailey, mogą sfotografować tylko wielki biały furgon z dziesięcioma ślepyimi okienkami. Zbliżamy się do bramy wjazdowej i widzę napis WIEZIENIE BELMARSH. Jakiś żartowniś przekreślił literę B

i wpisał na jej miejsce H, przeistaczając Piękne Błota w Piekielne. Niezbyt zachęcające powitanie.

Przejeżdżamy przez dwie wysokie, sterowane elektronicznie, okratowane bramy, po czym furgon zatrzymuje się na dziedzińcu okolonym wysokim na trzydzieści stóp murem z czerwonej cegły, zwieńczonym drutem kolczastym. Kiedyś czytałem, że jest to jedyne w Anglii więzienie o zastrzonym rygorze, z którego nikt nigdy nie uciekł. Zadzieram głowę, spoglądając na mur, i uzmysławiam sobie, że rekord świata w skoku o tyczce wynosi 20 stóp i 2 cale.

Drzwi furgonu otwierają się i wychodzimy pojedynczo, a następnie jesteśmy prowadzeni do rejestracji, po czym gromadzą nas w wielkiej oszklonej celi, mieszczącej około dwudziestu osób. Kierownictwo wię-

zienia nie może ryzykować skupienia tak wielu więźniów w jednym miejscu, bez możliwości obserwacji. Często jest to dla oskarżonych pierwsza okazja do rozmowy od chwili, gdy zostali skazani. Siadam na ławce przy ścianie w głębi, przysiadają do mnie wysoki, dobrze ubrany, przystojny młody Pakistańczyk, który wyjaśnia, że nie jest więźniem, tylko osadzono go tutaj w areszcie śledczym. Pytam, o co jest oskarżony.

- O ciężkie uszkodzenie ciała - odpowiada. - Pobiłem żonę, kiedy ją zastałem z innym mężczyzną w łóżku. Zapudłowali mnie w Belmarsh, bo proces nie może się zacząć, dopóki ona nie wróci z Grecji, gdzie oboje są na wakacjach.

Przypominam sobie słowa, które Nick Purnell rzucił mi na pożegnanie:

- Nie wierz w nic, co ci będą mówić w więzieniu, i nigdy nie dyskutuj o swojej sprawie ani o apelacji.

- Archer! - słyszę krzyk. Wychodzę z oszklonej celi i udaję się do pokoju przyjęć, gdzie każą mi wypełnić jeszcze jeden formularz. -

Nazwisko, wiek, wzrost, waga? - dopytuje się funkcjonariusz więzienny, który siedzi za biurkiem.

12

- Archer, sześćdziesiąt jeden lat, pięć stóp i dziesięć cali wzrostu, sto siedemdziesiąt osiem funtów wagi - odpowiadam, a on pyta, ile to kamieni i wpisuje te dane w małej kwadracik.

- Dobra, Archer. Idź pan dalej, tam czeka mój kolega.

Tym razem mam do czynienia z dwoma funkcjonariuszami. Jeden stoi, drugi siedzi za biurkiem. Ten za biurkiem każe mi stanąć pod lampą łukową i rozebrać się. Obydwaj mężczyźni starają się przeprowadzić całą operację w tak ludzki sposób, jak to tylko możliwe.

Najpierw zdejmuję marynarkę, potem krawat i koszulę.

- Aquascutum, Hilditch and Key i Yves Saint Laurent - recytuje stojący funkcjonariusz, a drugi wpisuje te informacje w stosowne rubryki.

Następnie pierwszy każe mi podnieść ręce nad głowę i obrócić się wkoło, przy akompaniamencie szumu kamery wideo umocowanej na ścianie. Zwracają mi koszulę, ale zatrzymują spinki z Izby Gmin.

Oddają mi marynarkę, ale krawata nie. Potem proszą, żebym zdjął buty, skarpetki, spodnie i kalesonki.

- Church, Aquascutum i Calvin Klein - obwieszcza funkcjonariusz.

Znow obracam się wkoło i teraz muszę pokazać podeszwy stóp.

Mężczyzna objaśnia, że czasem ukrywa się tam pod przylepcem narkotyki. Mówię, że nigdy w życiu nie brałem narkotyków. Nie okazuje zainteresowania. Zwracają mi kalesonki, spodnie, skarpetki i buty, ale skórzanego paska nie.

- Czy to jest pańskie? - pyta funkcjonariusz, wskazując żółty plecak, który leży obok mnie na stole.

- Nie. Nigdy tego nie widziałem - odpowiadam.

- William Archer - mówi, spojrzawszy na nalepkę.

- O, wobec tego to jest od mojego syna.

Funkcjonariusz odsuwa zamek i ukazują się dwie koszule, dwie pary kalesonków, sweter, sportowe pantofle i neseserek z przyborami toaletowymi, w którym znajduje się wszystko, co mi potrzeba. Neseserek natychmiast mi konfiskują, reszta rzeczy natomiast, jedna obok drugiej, zostaje ułożona na blacie biurka. Funkcjonariusz wręcza mi wielką torbę plastikową z wydrukowanym granatowymi literami napisem Więzienie Jej Królewskiej Mości Belmarsh, osadzonym na ko-ronie. Widać w obecnych czasach wszystko musi mieć swój znak fir-mowy. Kiedy przekładam do torby rzeczy, które pozwolono mi za-13

trzymać, funkcjonariusz mnie informuje, że żółty plecak zostanie zwrócony mojemu synowi na koszt państwa. Dziękuję mu. Wygląda na zdziwionego. Iriny funkcjonariusz odprowadza mnie z powrotem do oszklonej celi. Idę, przyciskając do piersi plastikową torbę.

Teraz siadam koło innego więźnia, który oznajmia, że ma na imię Asznil; pochodzi z Kosowa, jest w trakcie procesu.

- O co jest pan oskarżony? - pytam.

- Nielegalne sprowadzanie imigrantów - mówi i zanim coś powiem, ciągnie dalej: - Oni wszyscy są więźniami politycznymi, którzy trafiliby do więzień albo gorzej, gdyby zostali w swoim kraju. - To brzmi jak dobrze przeciwczona kwestia. - A za co pan oberwał?

- Archer - rozbrzmiewa ten sam służbisty głos.

Zostawiam swojego sąsiada i wracam do punktu przyjęć.

- Teraz obejrzy pana lekarz - oznajmia funkcjonariusz zza biurka, wskazując zielone drzwi za swoimi plecami.

Nie wiem, dlaczego zaskakuje mnie widok młodziutkiego internisty, który wstaje, gdy wchodzę.

- David Haskins - przedstawia się i dodaje: - Przykro mi, że spo tykamy się w takich okolicznościach.

Siadam po drugiej stronie biurka, tymczasem on otwiera szufladę i wyciąga kolejny formularz.

- Czy pan pali? -

Nie.

- Pije?

- Nie, jeśli nie liczyć czasem kieliszka czerwonego wina do kolacji.

- Czy zażywa pan narkotyki? -

Nie.

- Czy próbował pan kiedyś zrobić sobie coś złego?

-Nie.

Zadaje kolejne pytania, jakby zbierał dane do polisy ubezpieczeniowej, a ja odpowiadam: nie, nie, nie. Odznacza ptaszkiem każdy kwadracik.

- Chociaż nie uważam, że to konieczne - powiada, spoglądając na formularz - umieszczę pana na noc na oddziale medycznym, zanim naczelnik zdecyduje, do którego bloku pana skierować.

Uśmiecham się, gdyż wydaje mi się, że oddział medyczny to lepszy wybór. Lekarz nie odwzajemnia mojego uśmiechu. Wymieniamy uścisk rąk, po czym wracam do szklanej celi. Czekam tylko chwilę, 14

wkrótce się zjawia młoda kobieta w mundurze więziennym i prosi, żebym udał się z nią na oddział medyczny. Chwytam w garść moją torbę plastikową i idę za kobietą.

Wchodzimy na trzecie piętro zielonymi żelaznymi schodami, a potem wędrujemy długim korytarzem. Upadam na duchu. Wszyscy, których mijamy, zdają się pogrążeni w głębokiej depresji albo są choro-rzy psychicznie.

- Dlaczego mnie tu wysłano? - pytam, ale kobieta nie odpowiada.

Później się dowiaduję, że większość skazańców trafiających po raz pierwszy za kratki spędza pierwszą noc na oddziale medycznym, ponieważ podczas pierwszej doby w więzieniu odnotowuje się najwięcej prób samobójczych i samobójstw*.

Nie zostaję umieszczony, jak się tego spodziewałem, na oddziale szpitalnym, ale w celi. Kiedy zatrząskują się drzwi, zaczynam rozumieć, dlaczego człowiek może myśleć o samobójstwie. Cella ma pięć kroków na trzy, ceglane mury są pomalowane na przygnębiający fio-letoworóżowy kolor. W rogu znajduje się wąskie łóżko z twardym jak kamień materacem, niczym z wojskowych odrzutów. Naprzeciw łóż-

ka stoi kwadratowy, stalowy stolik i stalowe krzesło. Przy ścianie w pobliżu grubych na cal żelaznych drzwi jest stalowa umywalka i po-zbawiona pokrywy i spłuczki muszla klozetowa. Jestem zdeterminowany, żeby z niej nie korzystać**. Nad łóżkiem znajduje się okno w okuciu czterech grubych, pomalowanych na czarno żelaznych sztab, pokryte skorupą brudu. Nie ma zasłon ani karnisza. Ponure, zimne, odpychające miejsce - oto jak można najprzychylniej określić tę moją tymczasową kwaterę na oddziale medycznym. Nic dziwnego, że lekarz nie odwzajemnił mojego uśmiechu. Tkwię samotnie w owym posepnym przybytku ponad godzinę i zaczynam wpadać w głęboką depresję.

W końcu obraca się klucz w zamku i do celi wchodzi młoda kobieta. Jest ciemnowłosa, niewysoka i szczupła i ma na sobie szykowny kostium w prążki. Wita się ze mną serdecznie

uściskiem

* 73 osoby popełniły samobójstwo w więzieniach angielskich w 2001 roku; 22

z nich były skazane pierwszy raz. Ponad 1500 więźniów podejmowało próby po-wieszenia się lub uduszenia w 2000 roku, co stanowi wzrost o 50 procent w porównaniu z 1999 rokiem.

** W celi nie ma nic z drewna, gdyż więźniowie spędzający pierwszą noc w zamknięciu często wszystko rozbijają.

15

dłoni, siada na brzeżku łóżka i przedstawia się jako zastępczyni naczelnika. Nazywa się Roberts i nie ma więcej niż dwadzieścia sześć lat.

- Co ja tu robię? - zapytuje. - Nie jestem seryjnym mordercą.

- Większość więźniów spędza pierwszą noc na oddziale medycznym - tłumaczy - i niestety, nie możemy robić żadnych wyjątków, a już szczególnie dla pana.

Nic nie mówię - co tu można powiedzieć?

- Musi pan wypełnić jeszcze jeden formularz - ciągnie - o ile na dal chce pan być na pogrzebie matki w sobotę*.

Czuję, że zastępczyni naczelnika stara się być uprzejma i pełna zrozumienia, lecz nie potrafię ukryć udreki.

- Jutro przeprowadzi się pan do bloku przejściowego - zapewnia -

a jak tylko zaliczą pana do kategorii A, B, C albo D, przeniesiemy pana do innego więzienia. Nie wątpię, że to będzie kategoria D - nie był pan nigdy skazany, nie dopuszczał się pan przemocy. - Wstaje.

Wszyscy funkcjonariusze noszą wielki pęk kluczy, które pobrzękują przy każdym ruchu. - Zobaczymy się jutro rano. Czy udało się panu zatelefonować? - pyta, uderzając otwartą dłonią w ciężkie drzwi.

- Nie - odpowiadam i w tej chwili wielki Antylczyk o uśmiechu od ucha do ucha otwiera drzwi celi.

- Wobec tego zobaczę, co się da zrobić - obiecuje, wychodzi na korytarz i zatrząskuje za sobą drzwi.

Siadam na łóżku i przetrząsam plastikową torbę. Odkrywam, że mój starszy syn, William, dołączył do dozwolonych rzeczy egzemplarz książki Davida Nivena „Księżyc jest balonem”. Otwieram ją i znajduję liścik:

Tatusiu, mamy nadzieję, że nie będziesz musiał tego czytać, a gdyby, to głowa do góry, kochamy Cię i apelacja w drodze. William, James.

Dzięki Bogu za rodzinę, którą uwielbiam, a która nadal się o mnie troszczy. Nie wiem, jak bym zniósł bez nich te ostatnie tygodnie. Musieli się zdobyć na wiele poświęceń, żeby być przy mnie co dzień podczas trwającego siedem tygodni procesu.

* Radca królewski Nick Purnell zwrócił się do sędziego Potts z zapytaniem, czy mógłbym zostać zwolniony z sądu, żeby być z matką. Sędzia odmówił! naszej prośbie. Po raz drugi zosta! o to poproszony na początku sesji popołudniowej i wtedy niechętnie się zgodził. Przy łóżu mojej matki znalazłem się na godzinę przed jej śmiercią.

16

Rozlega się stukanie do drzwi celi i stalowa krata, przywodząca na myśl dużą ażurową skrzynkę do listów, unosi się, ukazując uśmiechniętego Antylczyka.

- Jestem Lester - oznajmia i wpycha do środka poduszkę - twardą jak kamień, jedną poszewkę - bladofioletową, jedno prześcieradło -

zielone i jeden koc - brązowy. Dziękuję Lesterowi, a potem bardzo długo ścielę łóżko. W końcu nie mam nic innego do roboty.

Po wykonaniu zadania siadam na łóżku i usiłuję czytać „Księżyc jest balonem”, ale nie mogę się skupić. Udaje mi się przebrnąć przez pięćdziesiąt stron; często przerywam lekturę i rozmyślam nad wer-dyktem przysięgłych i chociaż jestem zmęczony, a nawet wyczerpany, zupełnie nie chce mi się spać. Nie spełniła się obietnica udostępnienia telefonu, więc w końcu gaszę świecą nad łóżkiem lampę jarzeniową, układam głowę na twardej poduszce i mimo przejmujących krzyków pacjentów z sąsiednich cel w końcu zasypiam. Godzinę później bu-dzę się, kiedy znowu zapala się światło, otwiera się skrzynka na listy i wpatruje się we mnie dwoje różnych oczu - powtarza się to co sześć-dziesiąt minut o pełnej godzinie - żeby się upewnić, czy nie targną-łem się na swoje życie. Warta samobójcza.

Zasypiam znowu i zbudziwszy się tuż po czwartej rano, kładę się na wznak, bo bolą mnie uszy po godzinach na twardej jak kamień poduszce. Myślę o werdykcie i o tym, że nawet nie przyszło mi do głó-wy, iż przy tym samym zarzucie sędziowie przysięgli mogliby uznać Francisa za niewinnego, a mnie za winnego. Jakże mogliśmy spisko-wać, skoro jeden z nas nie wiedział, że to spisek? Uwierzyli również słowom mojej byłej sekretarki, Angie Peppiatt, kobiecie, która ukradła mi tysiące funtów i przez lata oszukiwała mnie i moją rodzinę.

W końcu zwracam się ku przyszłości. Zdecydowany nie tracić ani godziny, postanawiam prowadzić dziennik i spisywać wszystko, czego doświadczę jako więzień.

O szóstej rano podnoszę się z mojego legowiska i przetrząsam plastikową torbę. Tak, znajduję w niej, co potrzeba, a w tym wypadku władze więzienne nie uznały, że należy to odesłać nadawcy. Bogu niech będą dzięki za syna, który był tak przewidujący, żeby umieścić, razem z innymi niezbędnymi rzeczami, blok papieru formatu A4 i sześć cienkopisów.

Dwie godziny później kończę pierwszy szkic opisu wszystkiego, co mi się przydarzyło, odkąd wysłano mnie do więzienia.

Dzień drugi

Piątek, 20 lipca 2001

8.00 rano

Budzenie oficjalne - unosi się klapka i Antylczyk znowu wita mnie ciepłym uśmiechem, ale widząc, że siedzę przy stole i piszę, robi zdziwioną minę. Pracuję już blisko dwie godziny.

- Za kilka minut będzie pan mógł wziąć prysznic - obwieszcza.

Zdążyłem się już przekonać, że w więzieniu kilka minut może się przeciągnąć do godziny, więc nie przerywam pisania.

- Potrzebuje pan czegoś? - pyta grzecznie.

- A czy mógłbym dostać trochę papieru do pisania?

- Rzadko mnie o to proszą - przyznaje - ale zobaczę, co się da zrobić.

Lester wraca pół godziny później i teraz nieśmiało się uśmiecha.

Odchyła klapkę i wsuwa przez niewielki otwór blok papieru formatu A4, podobnego do tego, jakiego zwykle używam. W zamian prosi mnie o sześć autografów, przy czym tylko jeden ma być imienny - dla jego córki Michelle. Nie wyjaśnia, dla kogo potrzebuje pozostałych pięciu, żąda tylko, żeby złożyć je na oddzielnych kartkach papieru.

Ponieważ w więzieniu obrót pieniężny jest zabroniony, cofamy się do czasów trzynastowiecznej Anglii i stosujemy handel wymienny.

Nie mam pojęcia, ile jest wartych pięć podpisów Jeffrey Archera: może paczkę papierosów? Dziękuję Bogu za ów handel, gdyż czuję, że możliwość pisania w tej piekielnej dziurze pozwoli mi zachować zdro-we zmysły.

Czekając, aż wróci Lester i zaprowadzi mnie pod prysznic - nawet spacer długim, obskurnym korytarzem wydaje się upragniony -

nadal piszę. W końcu słyszę zgrzyt klucza w zamku i widzę, jak się 18

otwierają masywne drzwi, co daje pewien przedsmak wolności. Lester mi wręcza cienki zielony ręcznik, więzienną szczoteczkę do zębów i tubkę więziennej pasty, po czym znów mnie zamyka. Myję zę-

by i pierwszy raz od lat krwawią mi dziąsła. Pewno to reakcja fizyczna na przejścia ostatniej doby. Trochę się martwię, bo tej niespokojnej nocy sobie obiecałem, że muszę utrzymać dobrą formę fizyczną i psychiczną. Według informatora więziennego, znajdującego się w każdej celi, ni mniej ni więcej, tego właśnie wymaga szefostwo*.

Co mi się rzuciło w oczy po nocy na oddziale medycznym, to widok licznych, odzianych w szary, czyste czarne mundury, funkcjonariuszy więziennych, którzy potrafią zachować uśmiech na ustach.

Teraz siedzę na łóżku i zastanawiam się, co mnie czeka, kiedy z zamyslenia wyrywa mnie krzyk.

- Dzień dobry, Jeff, założę się, żeś się nie spodziewał, że wylądujesz w tym mamrze.

Spoglądam przez małe okienko i po drugiej stronie dziedzińca więziennego dostrzegam twarz wyglądającą zza krat. Ten też się szeroko uśmiecha.

- Jestem Gordon! - krzyczy. - Spotkamy się za godzinę na spacerunku!

9.00 rano

Zostaję wypuszczony z celi i pod eskortą Lestera, który prowadzi mnie pod prysznic, wędruję wolno korytarzem, rozkoszując się nowo odzyskaną wolnością. Myślę, że powinienem wam powiedzieć, iż w moim mieszkaniu przy Albert Embankment urządzeniem, z którego jestem chyba najbardziej dumny, jest łazienka z prysznicem. Kiedy wychodzę z niej codziennie rano, czuję się odrodzony, gotów stawić czoło światu. Belmarsh nie oferuje czegoś choć trochę podobnego ani tak miłych wrażeń. W olbrzymim pomieszczeniu z kamienną posadzką znajdują się trzy uruchamiane przyciskiem natryski, z których cienką stróżką cieknie woda, w najlepszym wypadku letnia. Po trzydziestu sekundach trzeba znów nacisnąć przycisk. W rezultacie ką-

piel trwa dwa razy dłużej niż normalnie, ale jak sobie uświadamiam,

* W tymże informatorze podkreśla się też, że w Belmarsh nie toleruje się żadnej formy zastraszania, gdyż przestrzega się tu surowo zasady niestosowania rasowej, etnicznej czy religijnej dyskryminacji.

19

w więzieniu czas to jedyny towar w nadmiarze. Lester prowadzi mnie z powrotem do celi. Idę, ściskając kurczowo mały, przesiąknięty wodą ręcznik; Lester mówi, że bym nie spuszczał go z oka, bo musi mi wystarczyć na cały tydzień. Zatrząskuje drzwi celi.

10.00 rano

Leżę na łóżku, wpatrując się w biały sufit, gdy z zamyślenia wyrywa mnie zgrzyt klucza w zamku. Nie mam pojęcia, kto mnie nawiedzi tym razem. Okazuje się, że jest to pulchna kobieta w mundurze wię-

ziennym, która ma coś wspólnego z obrotnym Antylczykiem, a mianowicie ciepły uśmiech. Przysiada na łóżku i podaje mi formularz wię-

ziennej kantyny. Tłumaczy, że jeśli mnie stać, mogę wydać dwanaście funtów pięćdziesiąt pensów tygodniowo. Mam zaznaczyć w małych rubryczkach wybrane produkty, a ona dopilnuje, żeby przyniesiono mi je później do celi. Nie trudzę się, żeby spytać, co znaczy „później”.

Kiedy odchodzi, wczytuję się w listę, wyszukując artykuły pierwszej potrzeby.

Z przerażeniem stwierdzam, że w pierwszej rubryce przeważają różne gatunki tytoniu, a w drugiej baterie - zastanawiające. Studiuję listę przez dłuższy czas i nawet bawi mnie podejmowanie decyzji, jak wydam tych dwanaście funtów i pięćdziesiąt pensów.

11.00 rano

Rozbrzmiewa dzwonek, jakby oznajmiał koniec lekcji. Drzwi celi otwierają się i dołączam do współwięźniów, żeby spędzić czterdzieści pięć minut na spacerunku. Jestem pewien, że widzieliście takie sceny w wielu filmach - ale to trochę co innego, kiedy samemu bierze się w tym udział. Zanim zejdziemy na dziedziniec, wszyscy musimy poddać się kolejnej rewizji, trochę podobnej do tej, jaką przechodzi się na lotnisku. Potem sprowadzają nas żelaznymi schodami z trzeciego piętra na spacerunek.

Krążę wokół placu o boku jednego furlonga*, otoczonego wysokim murem z czerwonej cegły, z krótko ostrzyżonym, mizernym traw-

* Furlong- 1,8 mili-201,167 m (przyp. tłum.).

nikiem w środku. Po kilku rundach dołącza do mnie Gordon, który przywitał mnie dziś rano z okna po drugiej stronie dziedzińca. Jest wysoki i szczupły, ma sylwetkę sportowca. Bez zachęty z mojej strony opowiada, że odsiedział już jedenaście lat z czternastoletniego wyroku za morderstwo. To jest piąte więzienie, do którego go przetrzucono.

Chyba nie za dobre zachowanie, myślę sobie*. Jako pisarz jestem ciekaw jego losów, ale nawet nie muszę zadawać pytań, gdyż mówi bez ustanku, co, jak się później przekonuję, jest wspólną cechą skazanych na dożywocie.

Gordon ma wyjść na wolność za trzy lata i chociaż jest dyslektykiem, ukończył anglistykę na uniwersytecie otwartym, a teraz studiuje prawo. Twierdzi też, że napisał tomik poezji; przypominam sobie, że coś o tym czytałem w „Daily Mail”.

- Nie wspominaj mi o prasie - skrzeczy jak magnetofon, którego nie można wyłączyć. - Oni zawsze wszystko przekręca. Napisali, że zastrzeliłem chłopaka mojej kochanki, kiedy zastałem ich razem w łóżku, i że on był absolwentem Eton.

- A nie był? - pytam z głupia frant.

- Tak, był - odpowiada Gordon. - Ale ja go wcale nie zastrzeliłem. Dźgnąłem go siedemnaście razy nożem.

Robi mi się niedobrze od tego obojętnego wyznania, wypowiedzianego bez skruchy czy ironii. Gordon dalej opowiada, że miał wtedy dwadzieścia lat i że jako czternastolatek musiał uciec z domu, gdyż był molestowany seksualnie. Dygocę, mimo że słońce pali żarem. Ciekawe, ile upłynie czasu, zanim takie zwierzenia nie będą budziły we mnie odrazy. Kiedy przestanie mnie ogarniać dreszcz? Kiedy się to stanie czymś obojętnym, pospolitym banałem?

Kiedy tak krążymy dookoła dziedzińca, Gordon pokazuje mi Ronniego Biggsa, który siedzi na ławce w przeciwległym rogu pośród pelargonii.

- Dopiero co je posadzili, Jeff- powiada Gordon. - Musieli się tu ciebie spodziewać. - I znów mówi to bez śmiechu.

Spoglądam w stronę chorego, starego człowieka, z rurką wystającą z nosa. Nie wygląda, jakby miał długo pożyć.

* Nierzadko się zdarza, że więźniowie skazani na dożywocie są przenoszeni z więzienia do więzienia, żeby nigdy się nie zdomowić i nie podporządkować sobie innych.

PRISONER'S NAME	NUMBER	WING & CELL NUMBER	DATE
CARDS	CODE	COST	QTY
SMALL CARDS	83	£0.76	
LARGE CARDS	84	£1.16	
EMAS CARDS LARGE	85		
EMAS CARDS SMALL	86		
EMAS CARDS BOX	87		
CARDS OTHER			
GIVE AS MUCH DETAIL AS POSSIBLE			

TOILETRIES / HEALTH PRODUCTS			
NIVEA CREAM 250g	104	£1.34	
545 SKIN CREAM	110	£1.34	1.45
ONAP C TION / LIPBYL	100	£1.83	
ODCOA BUTTER NATURAL LOTION 500ml	102	£0.88	
ODCOA BUTTER PALMERS LOTION 200ml		£3.30	
SAZ POM green 100g	103	£0.7	
VITAMINS 60s	105	£1.77	
ODD LIVER OIL CAPSULES	106	£1.90	
BP 30 VARIOUS	107	£0.30	5.90
GARLIC CAPSULES	108	£1.48	
WATERPROOF	110	0.88	
GAMAY GNC - BLACK 100ml	112	£0.43	
FABRY SOAP WHITE EXTRA CARE 120g	113	£0.46	
BEET 120g		£0.62	
WRIGHT COAL TAR SOAP BATH		£0.36	
SHAMPOO		0.88	
LUX HONEY MILK SOAP	116	£0.62	
PEARS TRANSPARENT	117	£1.06	
ODSPORT 1 Lb	118	£1.27	
FLAMEL FACE	119	£0.64	
IMPERIAL LEATHER SOAP 120g	120	£0.59	
JOHNSONS Babywipes 200ml	121	£2.06	
JOHNSONS S-M-T W.S. 200ml	122	£2.34	
SOFTKISS BABY OIL 200ml		£0.29	
SOFTKISS BABY LOTION 200ml		£0.53	
VOSENE SHAMPOO	123	£1.76	
SHAMPOO TREOTE 200ml	124	£1.26	
GOLGATE TOOTH PASTE 60ml	128	£0.21	
BUOYL TOOTH POWDER	129	£1.62	
STERADENT TABLETS X 30	127	£1.04	
JORDAN TOOTH BRUSH MED	128	£1.18	
SEBODYSE TOOTH PASTE	130	£1.06	
TOOTH PASTE ULTRA BRITE		£0.61	
SHAMPOO NATURAL FAMILY 600ml		£0.97	
NATURAL FRIG CONDITIONER 600ml		£0.78	
SHAMPOO SPINE PRO VIT 200ml		£1.20	
SHAMPOO SPINE 400ml		£1.33	
SHAMPOO SPINE 600ml	114	£0.58	
SHOWER GEL NATURAL 200ml	125	£0.20	
HAR GEL 250g	126	£0.50	
DEODORANT DOVE SOLID STICK		£2.10	
GILLETTE DEODORANT GEL STICK	111	£2.00	
GILLETTE AFTER SHAVE SALM	107	£4.74	
TOILET ROLLS TWIN	120	£0.20	
TOY BRAND TISSUE	115	£0.74	
FRUOSE PEAR HALVES SYRUP		£0.70	
FRUOSE PEACHES SLICED		£0.72	
FRUOSE CRUSH IN JUICE		£0.20	
VALFRUTTA FRUIT COCKTAIL		£0.60	
BIRD'S E.T.S MUSTARD 420g		£0.20	
ASHROSA CREAMED RICE		£0.20	
GRANULATED SUGAR 1Kg	160	£0.76	
T & L SUGAR GRAN 600g	161	£0.59	
DEMERARA SUGAR 600g	164	£0.77	
ROWSE HONEY 12 oz	176	£2.00	
ROBINSONS SOY JAM		£1.26	
FLORA MARGARINE	161	£0.55	
BARYLEA PORTIONS	166	£0.70	
NATURE CHEESE PORTIONS	174	£1.40	
BNI CHEDDARS	180	£0.20	
PEANUT BUTTER	190	£0.62	1.62
POT NOODLE CHIX / MUSH	188	£0.39	
POT NOODLE CURRY	189	£0.50	
POT NOODLE BEEF / TOM	178	£0.20	
KOKA NOODLES 80g ASSYD		£0.32	
CUPPA SOUP	173	£0.22	
HERTZ SOY MAYONNAISE		£1.76	
HERTZ SALAD CREAM	174	£2.00	
TOMATO KETCHUP 400g	182	£1.40	
PROWN SAUCE	184	£1.06	
OJO CUBES SINGLE	185	£0.09	
KELLOES OORFLAKES 300g	178	£1.14	
KELLOES VARIETY 12s	173	£1.30	
KELLOES RICE KRISPIES 200g	181	£1.14	
ALPEN REGULAR	187	£1.30	
ALPEN ORIGINAL 700g		£2.00	
WEETABIX 12s	180	£0.09	
WEETABIX FAMILY	183	£1.07	
KELLOES CRUNCHY NUT OYFLAKES		£1.20	
QUAKER SUGAR PUFFS 320g		£1.06	
KELLOES FRUIT & PERR		£1.00	
QUAKER SHREDDED WHEAT 200g		£1.50	
KELLOES NUTRI BARS		£0.32	
READY BREAK 200g		£0.57	
JACOBS GREAM CRACKERS	18*	£0.00	
T.D.Y. RICH TEA BISCUITS	187	£0.45	
BOURBON CREAMS 200g	188	£0.44	
RITZ CHEESE 200g	189	£0.53	
SHORTCAKE 100g	190	£0.44	
CUSTARD CREAMS 200g	191	£0.45	
BICE 100g	192	£0.44	
RYVITA	195	£0.50	
MIVITESS DISSOLVE 200g	194	£0.50	
MIVITESS HORNHEAT MILK	196	£0.20	
T.D.Y. GINGER WITS 200g	200	£0.50	1.60
SHAMPOO	200	0.88	
MIV HOB HOBS FLASH 200g	204	£0.50	
MIV HOB HOBS MILK/DARK CHOC		£1.14	
COCONUT RINGS 200g		£0.40	
TOY FRUIT SHORT CAKE		£0.04	
MIV JAFFA CAKES		£0.50	
MIVITESS GINGER CAKE		£0.50	
SHAMPOO		0.88	
JOHN WEST TUNA OIL BRINE 200g		£0.50	
JOHN WEST CORNED BEEF 100g		£0.50	
OLENYOKS PLOCHARDS 100g		£0.54	
FRUOSE HAM 200g		£0.57	
NOTBOSS 400g		£0.50	
HERTZ COLESLAW SALAD		£0.52	
HERTZ POTATO SALAD		£0.51	
VALFRUTTA SWEETOORN		£0.64	

INMATES SIGNATURE..... DATE.....

CHECKED BY..... POSTED BY.....

IF THERE IS NOT ENOUGH MONEY IN YOUR ACCOUNT
ORDERS WILL BE ADJUSTED FROM THE BOTTOM UPWARDS

Jeszcze jedno okrążenie i pytam Gordona o młodego Antylczyka, który stoi z twarzą zwróconą do muru i nie poruszy! się, odkąd wszedłem na dziedziniec.

- Zabił żonę i córeczkę - mówi Gordon. - Od kiedy go zamknęli, trzy razy próbował popełnić samobójstwo i do nikogo się nie odzywa.

Czuję dziwne współczucie dla tego podwójnego mordercy, gdy mijamy go trzeci raz. Kiedy doganiamy innego więźnia, który wygląda na całkiem zagubionego, Gordon szepcze:

- To Barry George, którego właśnie wsadzili za zabicie Jill Dando.

Nie mówię mu, że Jill była moją starą przyjaciółką i że oboje po-chodzimy z Weston-super-Mare. Pierwszy raz w życiu chowam swoją opinię dla siebie.

- Tu nikt nie wierzy, że to zrobił - mówi Gordon. - Klawisze też.

Nadal nie komentuję. Jednakże procesy George'a i mój odbywały się równocześnie w Old Bailey i byłem zdziwiony, jak wielu zarówno prawników, jak i osób niezwiązanych z tą profesją mówiło mi, że werdykt nie daje im spokoju.

- Założę się, że zostanie wypuszczony po apelacji* - dodaje Gordon. Tymczasem znów rozbrzmiewa dzwonek, obwieszczając kres na szej czterdziestopięciominutowej „wolności”.

Znowu nas rewidują przed opuszczeniem dziedzińca, co mnie zdumiewa; jeżeli nic nie mieliśmy tu przychodząc, jak mogliśmy wejść w posiadanie czegoś, wędrując wkoło? Pewno można ten fakt jakoś prosto wytłumaczyć. Pytam o to Gordona.

- Muszą za każdym razem powtarzać całą procedurę - wyjaśnia, kiedy wchodzimy po schodach. - Takie są przepisy.

Na trzecim piętrze rozstajemy się i idziemy w inne strony.

- Do widzenia - mówi Gordon.

Nie zobaczymy się więcej.

Trzy dni później czytam w „The Sun”, że wymieniałem uścisk ręki z Ronaldem Biggsem, kiedy Gordon nas sobie przedstawił.

11.45 rano

Wróciwszy do celi, nadal piszę, ale nie zdążyłem dokończyć strony, a już słyszę, jak klucz przekręca się w zamku. To pani Roberts, za-

* 2 lipca 2002 roku apelacja Barry'ego George'a została odrzucona.

stępczyni naczelnika. Wstaję i wskazuję jej moje małe, stalowe krzesło. Uśmiecha się, macha ręką i przysiada na brzeжку łóżka. Potwierdza, że naczelnik się zgodził, żebym był obecny na pogrzebie matki i na nabożeństwie żałobnym w kościele parafialnym w Grantchester.

W komputerze policyjnym w Scotland Yardzie sprawdzono, że nie byłem nigdy skazany i nie mam na koncie przestępstwa z użyciem przemocy, zatem automatycznie zaliczono mnie do więźniów kategorii D*. Jak wyjaśnia zastępczyni naczelnika, jest to o tyle ważne, że funkcjonariusze więzienni, którzy będą mi towarzyszyć podczas ceremonii pogrzebowych, nie muszą wystąpić w mundurach, a ja nie będę zakuty w kajdanki.

Mówię, że sprawię dziennikarzom zawód.

- Z pewnością i tak będą utrzymywać, że miał pan kajdanki - odpowiada zastępczyni naczelnika.

W dalszym ciągu informuje mnie, że wkrótce po lunchu zostanę przeniesiony ze skrzydła medycznego do bloku trzeciego. Nie ma sensu pytać, kiedy dokładnie to nastąpi.

Zamknięty w celi, spędzam czas, który pozostał do południa, pi-sząc według ustalonego porządku, jakiego się trzymam od dwudziestu pięciu lat: dwie godziny pracy, dwie odpoczynku - choć nigdy jeszcze w takim otoczeniu. Kiedy w normalnych okolicznościach wyjeżdżam z domu, żeby pisać, udaję się tam, skąd widać ocean.

12.00 w południe

Wypuszczają mnie z celi, ustawiam się w kolejce po lunch. Jedno spojrzenie na potrawy i mam dość - rozgotowane mięso, Bóg wie z jakiego zwierzęcia, papkowaty groszek, pływający w wodzie i ziemniaki,

* Są cztery kategorie-więźniów: A, B, C i D. Do kategorii A zalicza się agresywnych i niebezpiecznych więźniów, dysponujących środkami, np. pieniędzmi, umożliwiającymi ucieczkę; do kategorii B należą agresywni i niebezpieczni, ale nie zawsze mordercy (np. skazani za ciężkie uszkodzenie ciała, rzeczywiste uszkodzenie ciała, nieumyślne spowodowanie śmierci lub gwałt); kategoria C, która obejmuje przeważającą większość więźniów, grupuje recydywistów bądź skazanych za poważne przestępstwa bez użycia siły, np. handlarzy narkotyków; kategoria D zwykle dotyczy osób, które pierwszy raz popełniły przestępstwo, nie mają na swoim koncie czynów gwałtownych, często z krótkimi wyrokami, i takich, któ-

rzy prawdopodobnie dostosują się do systemu, gdyż pragną jak najszybciej po-wrócić do społeczeństwa.

na jakie by się nie skusił Oliver Twist. Poprzestaję na kromce chleba i blaszanym kubku mleka (ale nie z blaszanej puszki).

Siadam przy pobliskim stole, w trzy minuty kończę lunch i wracam do celi.

Nie czekam długo, kiedy zjawia się kolejna funkcjonariuszka i mó-

wi, że przenoszą mnie do bloku numer trzy, zwanego przez więźniów Bejrutem. Pakuję moją torbę plastikową, co zajmuje mi znów trzy minuty, tymczasem kobieta tłumaczy, że Bejrut znajduje się po drugiej stronie więzienia.

- Chyba wszystko jest lepsze od oddziału medycznego - ryzykuję opinię.

- Tak, Bejrut jest trochę lepszy - odpowiada kobieta. Waha się. -

Ale nie za bardzo - dodaje.

Prowadzi mnie kilkoma łączącymi się korytarzami, po drodze otwierając i zamykając wiele okratowanych furt, aż wreszcie przybywamy do Bejrutu. Więźniowie wiwatują na mój widok. Później się dowiaduję, że szły zakłady o to, w którym bloku mnie osadzą.

Każdy z czterech bloków służy innemu celowi, więc nietrudno by-

ło wydedukować, że trafię do trzeciego - przejściowego. Więzień tam przebywa, dopóki nie zostanie sklasyfikowany, niczym samolot krążą-

cy nad lotniskiem i czekający na instrukcję, na którym pasie ma ostatecznie wylądować. Więcej na ten temat później.

Okazuje się, że nowa cela jest nieco większa i nieco bardziej ludzka, ale, jak zapowiadała moja konwojentka, tylko trochę. Ściany mają bardziej strawny odcień zieleni, w muszli klozetowej można spu-

ścić wodę. Nie trzeba siusiać do umywalki. Widok jak poprzednio.

Patrzysz na inny blok z czerwonej cegły, który odgradza życie ludzkie od słońca. Długa wędrówka z bloku medycznego przez całe więzienie do bloku trzeciego była sama w sobie miłym interludium, ale robi mi się niedobrze na myśl, że to ma się stać sposobem życia.

Przed celą czeka na mnie roznosiciel herbaty albo Powiernik* imieniem James. Ma miłą twarz i przypomina mi starostę klasy, witające-go nowego ucznia, który pierwszy raz przychodzi do szkoły, z tą różni-cą, że jest o dwadzieścia lat młodszy ode mnie. James mi mówi, że je-

żeli będę miał jakieś pytanie, mam się do niego zwrócić bez wahania.

* Wybranych więźniom proponuje się, żeby zostali Powiernikami. Następnie szkolą ich Samarytanie (Samaritans), towarzystwo dobroczynne, pomagające ludziom w nieszczęściu, zwłaszcza tym, którzy zamierzają popełnić samobójstwo. Towarzystwo powołano do życia w 1953 roku (przyp. tłum.).

26

Radzi mi, żebym z nikim nie rozmawiał - ani z więźniami, ani z funkcjonariuszami więziennymi - o swoim wyroku czy apelacji i żebym nie poruszał żadnego tematu, jeżeli nie chcę ujrzeć swojej wypowiedzi w ogólnokrajowych gazetach następnego dnia. Uprzedza mnie, że wszyscy więźniowie są przekonani, iż zrobią majątek, jeżeli zatelefonują do redakcji „The Sun” i opowiedzą, co jadłem na lunch. Dziękuję mu za radę, której zresztą udzielił mi już mój adwokat. James wręcza mi kolejną, twardą jak kamień poduszkę z zieloną powłoczką, ale tym razem dostaję dwa prześcieradła i dwa koce. Daje mi też talerz plastikowy, miskę plastikową i plastikowy kubek oraz plastikowy nóż i widelec. A potem przekazuje mi złą wiadomość: wszyscy zawodnicy angielscy zostali

wyeliminowani przy stanie 187 punktów. Marszczę brwi.

- Ale Australia ma 27 punktów przy dwóch zawodnikach wyeliminowanych - dodaje z uśmiechem. Widać słyszał o mojej miłości do krykieta. - Chciałby pan mieć radio? - pyta. - Mógłby pan wtedy słuchać relacji na żywo z całego meczu.

Wprost nie mogę ukryć radości. James odchodzi, a ja ścielę moje nowe łóżko. Wraca po kilku minutach z wysłużonym czarnym odbior-nikiem, który wytrzasnął nie wiadomo skąd.

- Zobaczmy się później - mówi i znika.

Długo ustawiam radio na małym ceglanymparapecie, tak żeby antena wystawała poza kraty, i w końcu udaje mi się złowić znajomy głos Christophera Martina-Jenkinsa w „Test Match Special”. Mówi Blowersowi, że powinien się ostrzec. Potem podaje trochę poważniejszą wiadomość, że Australijczycy mają teraz 92 punkty przy dwóch graczach wyeliminowanych i że obaj bracia Waugh grają w swoim zwykłym stylu. Ponieważ akurat nie piszę, leżę na łóżku i słyszę jęk Grahama Goocha, kiedy dwukrotnie, raz po raz, ktoś nie złapał pił-

ki. W chwili gdy rozbrzmiewa dzwonek wzywający na kolację, Australia ma 207 punktów przy czterech zawodnikach wyeliminowanych i podejrzewam, że czekają pewne zwycięstwo.

4.00 po południu

I znowu nie tknąłem więziennego wiktui zastanawiam się, ile potrwa, zanim się poddam.

Wracam do celi i widzę, że na łóżku leżą zamówione przeze mnie produkty z kantyny. Pierwsza myśl, która mi przychodzi do głowy, to **27**

to, że ktoś wszedł i wyszedł z celi bez mojej wiedzy. Nalewam wody mineralnej Buxton do plastikowego kubka i zdejmuję pokrywkę z tubki chipsów Pringles. Jem i piję bardzo wolno.

7.00 wieczór

Trzy godziny później znów rozbrzmiewa dzwonek. Oddziałowi otwierają drzwi wszystkich cel i więźniowie gromadzą się na parterze, żeby spędzić tak zwaną Godzinę Wspólną. Przez ten czas przebywają ze współwięźniami. Wybieram możliwie najdłuższą trasę - spacer jest teraz luksusem - i dowiaduję się, jakie są proponowane zajęcia. W jednym rogu sali siedzi czterech czarnych mężczyzn z krzyżami na złotych łańcuchach na szyjach i grają w domino. Potem się dowiaduję, że wszyscy czterej są skazani za morderstwo. Nie robią wrażenia szczególnie agresywnych, kiedy się zastanawiają nad kolejnym rzutem. Idę dalej i widzę dwóch więźniów, którzy grają w bilard, podczas gdy inni siedzą wokół, zagłębieni w lekturze „The Sun” - najbardziej popularnej gazety w wię-

zieniu, sądząc po liczbie jej czytelników. Na drugim końcu sali stoi długa kolejka do dwóch telefonów. Każdy oczekujący ma kartę telefoniczną wartości dwóch funtów, z której może skorzystać w dowolnym czasie podczas Godziny Wspólnej. Mam dostać taką kartę jutro. Ciekaw jestem, czy w hiszpańskim więzieniu wszystko dzieje się pojutrze.

Przystaję i gawędzę z kimś, kto przedstawia się imieniem Paul. Mó-

wi mi, że skazano go za oszustwa związane z podatkiem VAT (siedem lat) i wyjaśnia, jak go przyłapano, gdy podchodzi do nas funkcjonariusz więzienny. Wywiązuje się długa rozmowa, podczas której okazuje się, że on też nie wierzy, że Barry George zabił Jill Dando.

- Dlaczego nie? - pytam.

- Po prostu jest za głupi - odpowiada funkcjonariusz. - Zresztą Dando zginęła od jednego strzału, co mnie przekonuje, że morderstwa dokonał zawodowiec. - Potem oznajmia, że od półtora roku pełni służbę w tym skrzydle, gdzie siedzi George, i powtarza: - Mówię wam, to nie na jego rozum.

Dołącza do nas Pat (zabójstwo, złagodzone na nieumyślne spowodowanie śmierci, cztery lata) i powiada, że jest takiego samego zdania.

Przypomina sobie incydent, który się zdarzył w „dniu sportu więziennego” w zeszłym roku, kiedy Barry George - wtedy w areszcie śledczym - biegł na dystansie stu jardów i na trzydziestym się przewrócił.

- On jest trochę zboczony - zauważa Pat - i może należałoby go zamknąć w zakładzie, ale nie jest mordercą.

Kiedy ich opuszczam, żeby kontynuować spacer, dostrzegam, że jesteśmy z dwu stron ogrodzeni sięgającą od podłogi do sufitu kurtyną ze stalowej siatki. Wszyscy, których mijam, witają mnie skinieniem głowy albo uśmiechem, niektórzy mnie zatrzymują i chcą rozmawiać o czekającym ich procesie, a ci, którzy wysyłają kartki, pragną się dowiedzieć, jak się pisze Christine albo Suzanne. Większość więźniów jest przyjazna i zwraca się do mnie per lord Jeff, ot, jeszcze jeden nowicjusz. Przybie-ram wesołą minę. Kiedy pomyślę, że jeśli moja apelacja zostanie odrzucona, będę musiał odsiedzieć co najmniej dwa lata, to wprost sobie nie wyobrażam, jak może sobie radzić ktoś z dożywotnim wyrokiem.

- To jest po prostu pewien sposób życia - mówi Jack, który ma czterdzieści osiem lat, a ostatnie dwadzieścia dwa spędził przeważnie w różnych więzieniach. - Mój problem polega na tym - dodaje - że kiedy wychodzę z tego miejsca, nic już nie potrafię robić.

Ostatnio podobne słowa usłyszałem od pewnego konserwatywnego członka parlamentu przed wyborami. Przepadł w głosowaniu.

Jack zaprasza mnie, bym obejrzał jego celę na parterze. Zaskakuje mnie widok trzech łóżek w klitce niewiele większej od mojej. Myśla-

łem, że mi powie, jakie to szczęście, że mam pojedynczą celę, ale nie, demonstruje tylko wielki rysunek przyczepiony do ściany.

- Jak myślisz, Jeff, co to jest? - pyta.

- Nie mam pojęcia - odpowiadam. - Czy to wykres, który pokazuje, za ile dni, miesięcy i lat wyjdiesz na wolność?

- Nie - mówi Jack. Pokazuje miejsce pod umywalką, gdzie roi się od mrówek.

Nadal nie rozumiem, w czym rzecz.

- Co wieczór - tłumaczy Jack - cała nasza trójka urządza wyścigi mrówek, a to jest tor wyścigowy. Takie mrówkowe Ascot - dodaje ze śmiechem.

- A o co gracie? - dopytuję się, bo wiem, że w więzieniu nie wolno mieć pieniędzy.

- Ten, kto wygra w tygodniu najwięcej wyścigów, w sobotę wieczór wybiera sobie łóżko, na którym będzie spał przez następnych siedem dni.

Patrząc na trzy łóżka. Z jednej strony celi, przy ścianie, znajduje się pojedyncze łóżko, z drugiej strony natomiast jest piętrowa prycza.

29

- Które wybiera zwycięzca?

- Ale pieprzony* głupek z ciebie, Jeff. Jasne, że górną pryczę, bo tam jest najdalej od mrówek i może w nocy spać.

- A co dostają mrówki? - pytam.

- Jak zwyciężą, darujemy im życie do następnych wyścigów.

- A jak przegrają?

- Wrzucamy je do jutrzejszej zupy.

Myślę, że to był żart.

Rozlega się dźwięk dzwonka i oddziałowi natychmiast zaganiają nas do cel i zatrzaszczają drzwi. Nie otworzą ich do ósmej rano następnego dnia.

Starszy rangą funkcjonariusz zatrzymuje mnie w drodze do celi i mówi, że naczelnik chce ze mną porozmawiać. Idę za nim, ale muszę co kilka kroków przystawać, kiedy odryglowuje i zaryglowuje niezliczone kraty, zanim wprowadzi mnie do przyjemnie urządzonego pokoju, w którym znajduje się sofa, dwa fotele i wiszą obrazy na ścianach.

Naczelnik bloku trzeciego o nazwisku Peel wstaje, podaje mi rękę i wskazuje fotel. Pyta, jak się adaptuję. Odpowiadam, że ze skrzydłem medycznym nie chciałbym mieć nigdy więcej styczności, natomiast blok trzeci, choć okropny, jest w porównaniu z nim nieco lepszy.

Naczelnik kiwa głową, jakby słyszał to już wcześniej. Wyjaśnia, że w Belmarsh jest pięciu naczelników, on zaś odpowiada za organizację mojego wyjazdu do Grantchester na pogrzeb matki. Zapewnia, że wszystko jest przygotowane, ale uprzedza, że mam wyruszyć nazajutrz o siódmej rano. Chcę spytać, dlaczego o siódmej, skoro ceremonia pogrzebowa rozpoczyna się dopiero o jedenastej, a podróż do Grantchester zazwyczaj trwa około godziny, kiedy naczelnik podnosi się i dodaje:

- Zobaczmy się znowu po pańskim powrocie z Cambridge.

Życzy mi dobrej nocy, ale nie podaje drugi raz ręki. Wychodzę z biura i usiłuję trafić do swojej celi. Idę bez eskorty i błędzę. Jakiś funkcjonariusz śpieszy mi na ratunek i naprowadza mnie na właściwą drogę, najwyraźniej przekonany, że nie próbowałem uciekać. Mam ochotę mu powiedzieć, że nie umiałem znaleźć drogi do celi, a co dopiero poza mury.

* Będę używał wulgaryzmów tylko wtedy, kiedy przytaczam czyjeś słowa. Większość więźniów okrasza nimi każde zdanie. „Pieprzony” to jedyny przymiotnik, jakirri się posługują.

9.00 wieczorem

Zamknięty znów w małej klitce, otwieram

„Księżyc jest balonem”, czytam o pierwszym doświadczeniu seksualnym Davida Nive-na i śmieję się, tak, śmieję się, pierwszy raz od wielu dni. O

jedenastej gaszę światło. Dwaj Antylczycy na tym samym piętrze wykrzykują coś przez okna, ale nie mogę zrozumieć ich słów*. Wrzeszczą na siebie niczym małżonkowie, którzy powinni się rozwieść.

Nie wiem, kiedy udaje mi się zasnąć.

* Zdarza się to w większości więzień i może trwać przez całą noc. Mówi się na nich „pyskacze okienni”.

Dzień trzeci

Sobota, 21 lipca 2001

4.07 rano

Budzę się parę minut po czwartej, ale ponieważ wyruszamy dopiero o siódmej, postanawiam dwie godziny pisać. Zauważam, że teraz, kiedy tak mało rzeczy rozprasza moją uwagę, piszę wolniej.

6.00 rano

Funkcjonariusz otwiera drzwi mojej celi i przedstawia się imieniem George. Pyta mnie, czy chcę wziąć prysznic. Mój ręcznik wisiał w nogach łóżka przez całą noc i wciąż jest wilgotny, ale za to dostaję maszynkę Bic, więc mogę się pozbyć dwudniowego zarostu. Zastanawiam się, czy nie poderżnąć sobie gardła, ale odechciewa mi się na myśl, że się nie uda i że mnie zabiorą do szpitala więziennego. Pobyt na oddziale medycznym musi odstraszać więźniów przed targnięciem się na zdrowie lub życie, gdyż nie jest to łatwy wybór. Jeśli wysyłają człowieka na najwyższe piętro, lepiej żeby był chory, bo jak już się tam dostanie, to z pewnością się rozchoruje.

Idę pod prysznic. Już się nauczyłem, kiedy nacisnąć guzik, żeby strumień wody nie ustawał.

- Czy jest pan gotowy? - pyta grzecznie George.

- Tak - odpowiadam - tyle że skonfiskowano mi czarny krawat i spinki.

Kolega George'a wręcza mi czarny krawat, pojawiają się także spinki. Widać przewidziano mój kłopot. Wytykam George'owi, że je-go czarny krawat jest w lepszym stylu niż mój.

- Możliwe, ale on jest przypinany - odpowiada - bo inaczej chętnie bym go panu pożyczył.

- Przypinany? - powtarzam z udawaną pogardą.

- Takie są przepisy więzienne - tłumaczy. - Żaden strażnik nie no-si wiązane go krawata, bo to by go naraziło na ryzyko uduszenia.

Co kilka minut dowiaduję się czegoś nowego.

Po przebyciu siedmiu podwójnie zaryglowanych, sięgających od podłogi do sufitu okratowanych furt, dwaj funkcjonariusze doprowadzają mnie do frontowego holu. Kiedy docieramy do rejestracji, znowu przechodzę rewizję osobistą. Wprawdzie jest przeprowadzana możliwie delikatnie, ale mimo wszystko jest to przeżycie upokarzające.

Następnie prowadzą mnie na dziedziniec, gdzie czeka biały furgon Transit. Wchodzę do środka i zgodnie z poleceniem zajmuję miejsce najdalsze od drzwi. George siada przy drzwiach, jego kolega tuż za nim. Małe okienka są okratowane i zaciemnione; ja widzę, co się dzieje na zewnątrz, ale z zewnątrz nic nie widać. Mówię George'owi, że dziennikarze będą bardzo sfrustrowani.

- Kręciło się ich tu mnóstwo wcześniej rano, czekali na pana - po wiada - ale silnie strzeżona karetka więzienna odjechała na pełnym gazie mniej więcej godzinę temu i wszyscy pomknęli za nią. Dopiero w połowie drogi do Nottingham połapią się, że pana tam nie ma.

Brama sterowana elektronicznie znów się rozsuwa, tym razem że-by mnie wypuścić. Znam drogę do Cambridge jak własną kieszeń, ponieważ jeździłem nią raz, czasem dwa razy w tygodniu przez ostatnich dwadzieścia lat. Teraz jednak wiozą mnie trasą, o której istnieniu nie wiedziałem i sądzę, że wybrano ją tylko ze względów bezpieczeń-

stwa. Pamiętam, jak kiedyś szofer Johna Majora mówił mi, że zna dwadzieścia dwie różne drogi z wiejskiej rezydencji premiera do jego siedziby na Downing Street 10 i jeszcze dwadzieścia innych z powrotem do Huntingdon, i żadna nie jest drogą prowadzącą wprost.

W tyle furgonetki jest mi trochę duszno. Nie ma żadnego kontaktu z siedzącym z przodu kierowcą ani z policjantem, który zajmuje miejsce obok niego, gdyż są oddzieleni, niemal jakby znajdowali się w innym pojeździe. Wyczuwam, że George i jego towarzysz są trochę niespokojni - nie wiem dlaczego, bo ani mi w głowie uciekać, gdyż nie cierpię przemocy w żadnej postaci. Później się dowiaduję, że byli zdenerwowani, bo gdyby coś poszło nie tak, ich by obwiniono - a rzeczywiście coś poszło źle.

Na autostradzie Mil furgon jedzie lewym pasem ze stałą prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę i, zamknięty w tym opancerzonym przedziale na kolach, zaczynam odczuwać mdłości. Pierwszym naszym celem jest krematorium w Cambridge, usytuowane na północy miasta, więc kiedy opuszczamy autostradę zjazdem trzynastym, ze zdziwieniem konstatuje, że kierowca skręca w lewo i obiera zły kierunek. Jedziemy parę mil w stronę Royston, po czym zajeżdżamy na wielki parking przy budynku Siemens.

George wyjaśnia, że uzgodniono, by w tym miejscu połączyć siły z miejscową policją przed dalszą jazdą. Jakiś przedsiębiorczy motocyklista w czarnej skórze (dziennikarz), który spostrzegł furgon opuszczający rondo zjazdem trzynastym, podążył za nami do budynku Siemens. Gwałtownie hamuje i od razu wystukuje numer na aparacie komórkowym. Policjant siedzący z przodu daje jasno do zrozumienia, że powinniśmy ruszać, zanim do motocyklisty dołączą jego towarzysze. Musimy jednak czekać na miejscowych policjantów, więc jesteśmy unieruchomieni.

Kremacja przed nabożeństwem żałobnym to nie jest zwykła kolejność rzeczy, ale tak się złożyło, że krematorium było wolne o dziesiątej, a kościół dopiero w południe. Nazajutrz prasa wymieniła mnóstwo powodów takiego porządku pogrzebu - począwszy od tego, że takie było życzenie policji, a kończąc na tym, że chciałem zmylić dziennikarzy. Jednak nikt nie podał prawdziwego.

W ciągu kilku minut przybywa eskorta policyjna i ruszamy w drogę.

Kiedy zajeżdżamy pod krematorium, za barierą ustawioną przez policję czeka na nas ponad stu dziennikarzy i fotoreporterów. Pewno są zawiedzeni, widząc, że biały furgon znika z tyłu budynku, gdzie zostają dyskretnie wprowadzony wejściem dla duchownych.

Peter Walker, mój stary przyjaciel i dawny biskup Ely, czeka, żeby nas powitać. Wprowadza mnie do małego pomieszczenia, gdzie następnie nałoży szaty, ja zaś przebiorę się w nowy garnitur, przyniesiony przez mojego syna Williama z Old Vicarage. Z radością pozbędę się ubrania, które noszę od kilku dni. Nawet Nicole Kidman nie potrafiłaby przemienić więziennego odoru w modne perfumy.

Biskup objaśnia mi przebieg nabożeństwa i mówi, że potrwa ono tylko około piętnastu minut. Główne nabożeństwo żałobne odbędzie się w kościele parafialnym pod wezwaniem Świętego Andrzeja i Marii Panny w Grantchester o godzinie dwunastej.

Kilka minut później drzwiami frontowymi wchodzi moja najbliż-

sza rodzina pod ostrzałem aparatów fotograficznych i wyrzaskiwa-nych pytań. Mary ma na sobie elegancką czarną sukienkę, ozdobioną skromną broszką, którą zostawiła jej moja matka. Jest przeraźliwie blada, tak jak ją zapamiętałem ostatnio, kiedy opuszczałem ławę oskarżonych. Zaczynam się godzić z faktem, że ta straszna próba mo-

że być jeszcze cięższa dla mojej rodziny, która z wielkim trudem usi-

łuje prowadzić normalne życie, nie okazując przed światem swych prawdziwych uczuć.

Kiedy Mary podchodzi do mnie, obejmuję ją i długo nie wypuszczam z uścisku. Potem przebieram się w nowy garnitur, przechodzę przez kaplicę i dołączam do reszty rodziny. Witam się z każdym, po czym zajmuję miejsce w pierwszym rzędzie, pomiędzy Mary i Wil-liamem. Z całych sił usiłuję się skupić na tym, że zebraliśmy się tutaj dla uczczenia pamięci mojej matki, Loli, ale trudno zapomnieć, że jestem skazańcem, który za kilka godzin wróci do więzienia.

10.30 rano

Biskup prowadzi ceremonię żałobną ze spokojem i powagą i kiedy w końcu trumnę matki osłaniają zasłony, występujemy z Mary do przodu i kładziemy obok wieńca gałązki wrzosu.

Mary wychodzi frontowymi drzwiami, ja natomiast wracam do pokoiku na zapleczu, gdzie czeka na mnie jeszcze jeden stary przyjaciel. Obydwaj funkcjonariusze więzienni reagują zdziwieniem, gdy inspektor Howell z miejscowej policji wita mnie:

- Halo, Jeffrey, przykro mi, że cię widzę w takich okolicznościach.

Wyjaśniam im, że kiedy byłem prezesem tutejszego klubu rugby, David był kapitanem pierwszej piętnastki i najlepszym młynarzem w hrabstwie.

- Jak chcesz to rozegrać? - pytam go.

David spogląda na zegarek.

- Nabożeństwo żałobne w Grantchester zacznie się dopiero za go dzinę, więc proponuję, żebyśmy zaparkowali w Cantalupe Farm i po czekali w Old Vicarage, do czasu kiedy trzeba będzie wyruszyć do kościoła.

Patrzę na George'a, czy się zgadza.

- Chętnie zastosuję się do rady tutejszej policji - mówi.

Zawożą mnie opancerzonym furgonem do Cantelupe Farm, gdzie właściciel, Antony Pemberton, pozwolił nam zaparkować. Mary i chłopcy jadą naszym rodzinnym samochodem. Potem wszyscy idziemy na piechotę do Old Vicarage w towarzystwie tylko dwójki fotoreporterów, gdyż cała reszta dziennikarzy zgromadziła się przed ko-

ściołem pod wezwaniem Świętego Andrzeja i Marii Panny, przypuszczając, że przybędziemy tam wprost.

Wszyscy czekamy kilka chwil w kuchni, tymczasem Mary Ann, nasza gospodyni, robi herbatę, nalewa wielką szklanicę mleka i kraje mi kawałek ciasta czekoladowego. Pytam George'a, czy pozwoli mi się przejść po ogrodzie.

W Old Vicarage w Grantchester (*circa* 1680 r.) mieszkał na początku ubiegłego wieku Rupert Brooke. Piękny ogród przez ostatnich piętnaście lat był pielęgnowany przez moją żonę i Rachaela, ogrodnika. Zmienili go z dżungli w raj. Drzewa i klomby są wyjątkowej urody, a spacery nad rzekę i z powrotem cudowne. George i jego kolega idą za nami w odległości kilku kroków, ale poza zasięgiem głosu, więc możemy z Mary porozmawiać o apelacji. Mary mówi mi o zadziwiającym nowym dowodzie dotyczącym sędziego Potts'a; jeżeli ten dowód się potwierdzi, może doprowadzić do ponownego procesu.

W dalszym ciągu Mary omawia błędy popełnione, jej zdaniem, przez sędziego w trakcie procesu. Jest przekonana, że sędziowie sądu apelacyjnego przynajmniej skrócą mój czteroletni wyrok.

- Ty się chyba nie cieszysz - mówi, kiedy spacerujemy nad brzegiem rzeki Cam.

- Pierwszy raz w życiu - odpowiadam - spodziewam się najgorszego, więc jeżeli wydarzy się coś dobrego, będę mile zaskoczony. -Z

dnia na dzień stałem się pesymistą.

Wracamy znad rzeki w stronę domu, przechodzimy przez drewniany most nad Jeziorem Oskara - w rzeczywistości jest to duży staw, pełen karpia, nazwany tak na pamiątkę jednego z ulubionych kotów mojej żony, który po pięciu latach czatowania na brzegu nie złowił

ani jednej ryby. Nakarmiwszy naszych japońskich i izraelskich imigrantów, wracamy do domu i przygotowujemy się do stawienia czoła dziennikarzom.

David Howell mówi, że nie chce, abym jechał do kościoła w wozie policyjnym, i sugeruje, żebym razem z Mary i rodziną poszedł na piechotę do kościoła parafialnego, odległego o czterysta jardów od Old 36

Vicarage. Policja i funkcjonariusze więzienni robią wszystko, co w ich mocy, aby pamiętać, że to jest pogrzebek mojej matki.

11.35 rano

Wychodzimy z domu przez frontowe drzwi, wprost na kłębiący się za furtką tłum dziennikarzy, fotoreporterów i kamerzystów. Oceniam, że jest ich około setki (później George powie naczelnikowi przez telefon komórkowy, że blisko dwustu). Mój młodszy syn, James, i jego dziewczyna, Talita, otwierają mały orszak, który wyrusza w ćwierćmi-łową wędrówkę do kościoła. Za nimi idą William i moja przybrana siostra Liz, a my z Mary zamykamy pochód. Kamerzyści przepychają się między sobą, usiłując nas filmować. Jakiś nieokrzesany gbur wywrzaskuje do nas pytania, więc się odwracam i rozmawiam z Ma-ry. Rezygnuje dopiero wtedy, kiedy do niego dociera, że żadne z nas nie zaszczyci go odpowiedzią. Po raz pierwszy w życiu czuję głęboką urazę.

Przy drzwiach kościoła wita mnie mój kuzyn Peter, który wręcza nam kartki z porządkiem nabożeństwa, a jego żona Pat prowadzi nas do ławki w pierwszym rzędzie. Wzrusza mnie, że tak wielu przyjaciół

matki zjechało z całego świata na tę skromną ceremonię - z Ameryki, Kanady, nawet z Australii - nie wspominając licznych przyjaciół z West Country, gdzie matka spędziła większość życia.

Porządek nabożeństwa został ustalony przez Mary i dowodzi, jak dużo namysłu i przygotowań moja żona wkłada we wszystko, co robi.

Wybieranie modlitw, pieśni, tekstów czytanych i muzyki musiało jej zająć wiele godzin i utrafiła idealnie. Znów celebrytuje biskup Walker, a mój przyrodni brat, David Watson, wygłasza wzruszającą mowę, przypominając niespożytą energię matki, jej zamiłowanie do nauki i przewrotne poczucie humoru.

Ja mam czytać ostatnią lekcję z Apokalipsy św. Jana 21, wers 1-7, i kiedy staję przed zgromadzonymi, nie jestem pewien, czy słowa nie uwięzną mi w gardle. Doznaję ulgi, widząc, że w ostatnich chwilach z matką nie towarzyszą mi dziennikarze, którzy przynajmniej zdobyli się na tyle grzeczności, żeby zostać na zewnątrz.

Nabożeństwo trwa pięćdziesiąt minut i właściwie jest to w tym dniu jedyny czas, kiedy mogę w skupieniu myśleć o matce. Nie pierwszy raz odczuwam wdzięczność wobec losu, że nie dożyła chwili, kie-37

dy mnie skazano, wspominam, jak się poświęcała, żeby mi zapewnić przyzwoite wykształcenie i dobry start, zważywszy, że mój ojciec zmarł, pozostawiając około pięciuset funtów długu i matka musiała podjąć pracę, żeby jakoś związać koniec z końcem. W późniejszych latach próbowałem uczynić jej życie lżejszym, ale nigdy nie zdołałem odwdziżyć się w pełni.

Nabożeństwo kończy się pieśnią „Jezu, Tyś moją radością” i razem z Mary podążamy nawą za biskupem i chórzystami. W zakrystii natychmiast podchodzi do nas George. Okazuje się, że jeden z dziennikarzy zatelefonował do Belmarsh i spytał, dlaczego mi pozwolono odwiedzić Old Vicarage.

- Niestety, musi się pan tutaj pożegnać z bliskimi - mówi. - Na czelnik zatelefonował i zabronił panu wracać do domu.

Wymieniam uściski rąk ze wszystkimi, którzy uczestniczyli w nabożeństwie, szczególnie jestem wdzięczny za przybycie Donaldowi i Dianie Sindenom, uwielbianym przez moją matkę.

Podziękowawszy biskupowi, wyruszamy z rodziną powolnym krokiem ku furgonowi więziennemu w Cantalupe Farm. Zerkam w lewo, gdy mijamy Old Vicarage. W dziennikarzy jakby diabeł wstąpił.

Bombardują mnie pytaniami.

- Czy zachowa pan tytuł lorda?

- Czy sądzi pan, że wygra pan apelację?
- Czy chce pan coś powiedzieć o swojej matce?
- Czy uważa się pan za przestępcę?

Po kilkadziesiąt krokach w końcu rezygnują, więc rozmawiam z Mary o jej niedługim wyjeździe na Uniwersytet Strathclyde, gdzie poprowadzi letni kurs, poświęcony energii słonecznej. Planowała ten wyjazd od kilku miesięcy, ale teraz zaofiarowała się, że go odwoła i zostanie w Londynie, żeby mnie odwiedzić w Belmarsh. Nie chcę o tym słyszeć, zależy mi, żeby prowadziła jak najbardziej normalne życie.

Wzdycha. Prawdę powiedziawszy, nie chcę, żeby mnie oglądała w Belmarsh.

Zbliżamy się do furgonu. Odwracam się i spoglądam na swój dom, którego, boję się, nie zobaczę przez jakiś czas. Potem ściskam po kolei wszystkich moich bliskich, Mary na ostatku. Spoglądam przed siebie i widzę, że mój kierowca, David Crann, płacze - przez piętnaście lat u tego dawnego żołnierza jednostki antyterrorystycznej SAS nie zauważyłem ani cienia słabości.

Podczas powolnej jazdy do Belmarsh jeszcze raz rozważam, co przyniesie mi przyszłość, i utwierdzam się w przekonaniu, że przede wszystkim muszę zachować bystry umysł i sprawne ciało. Codzienne pisanie dziennika wydaje się najlepszą receptą na to pierwsze, a szybkie wznowienie ćwiczeń fizycznych jedyną nadzieją na drugie.

3.07 po południu

Kilka chwil po przybyciu do Belmarsh przechodzę kolejną rewizję osobistą, po czym prowadzą mnie pod eskortą do mojej celi w bloku trzecim. I znów czeka na mnie James Powiernik. Skądś skombinował

karton mleka, nową maszynkę do golenia* i dwa, tak, dwa ręczniki.

Przysiada na łóżku i mówi, że słyszał, iż w poniedziałek przeniosą mnie do innego bloku, bo Bejrut to blok przejściowy.

- Jaka to różnica? - pytam.

- Skoro ma pan być tutaj dwa tygodnie, muszą zdecydować, w którym bloku pana umieścić na czas, kiedy będzie pan czekał na przeniesienie do więzienia kategorii D. Myślę, że pójdzie pan do bloku pierwszego, tam gdzie siedzą dożywotniacy.

- Dożywotniacy? - Ze zdumienia zapało mi dech. - Ale czy to nie oznacza, że będę zamknięty w celi przez cały dzień i noc?

- Nie, nie - odpowiada James. - Oni mają większą swobodę niż więźniowie z innych bloków, bo siedzą cicho i nie chcą być uciążliwi.

To młodzi, którzy są w areszcie śledczym albo odsiadują krótkie wyroki, sprawiają najwięcej kłopotów i trzeba ich trzymać pod kluczem.

To fascynujące dowiadywać się, że życie w więzieniu wygląda dokładnie na odwrót, niż to sobie wyobrażaliśmy.

Następnie James wyjawia mi złą wiadomość. Jutro rano przenoszą go do więzienia Whitemoor, czyli że już go nie zobaczę, ale wyznaczył mi na Powiernika innego więźnia, Kevina.

- To dobry chłop - zapewnia mnie - tylko gaduła. Jak się zbytnio rozpędzi, niech mu pan powie, żeby się zamknął.

Zanim się rozstaniemy, nie mogę się powstrzymać od zapytania Jamesa, za co siedzi.

- Za szmugiel narkotyków z Holandii - odpowiada rzeczowo.

* Więzień ma prawo do jednej maszynki Bic dziennie, ale otrzymuje nową dopiero po oddaniu starej. Upłynęło kilka dni, zanim odkryłem dlaczego.

39

- I co? Złapali pana?

- Na gorącym uczynku.

- Ile te narkotyki były warte?

- Policja twierdzi, że ich wartość uliczna wyniosłaby trzy miliony trzysta tysięcy funtów.

Wyobrażam sobie, że musiałyby to być Harley Street - mówi James z cierpkim uśmiechem.

- Ile pan dostał za tę robotę?

- Pięć tysięcy funtów.

- A jaki wyrok?

- Sześć lat.

- A Kevin? - pytam. - Za co go zamknęli?

- On brał udział w napadzie rabunkowym na wystawę klejnotów w londyńskiej Millennium Dome, prowadził jedną z łodzi, którą mieli zwiać - ale jemu się nie udało. - James milknie. - Przy okazji - mówi

- dowiedziałem się, że pan nic nie je.

- Hm, to nie całkiem tak - odpowiadam. - Moja dieta to woda butelkowana, batoniki KitKat i chrupki od Smitha, ale ponieważ wolno mi wydać tylko dwanaście pięćdziesiąt na tydzień, moje skromne zapasy już się kończą.

- Proszę się nie martwić - mówi. - Jak przeniosą pana na nowe skrzydło, będzie panu przysługiwać następny przydział, więc niech pan wypełni listę dziś wieczór, to Kevin oddają zaraz rano.

Reaguję uśmiechem na pomysłowość tego faceta i pojmuję, dlaczego kierownictwo więzienia wyznaczyło go na Powiernika. Uznało najwidoczniej, podobnie jak LBJ*, że lepiej, żeby robił coś na widoku, zamiast żeby knuł po kryjomu.

James zmienia temat i mówi o przywódcach Partii Konserwatywnej. Chciałby, żeby Kenneth Ciarke był następnym szefem partii, i jest rozczarowany, że Michael Portillo przegrał jednym głosem, gdyż nigdy nie słyszał o Iainie Duncanie Smithie.

- Dlaczego Ciarke? - pytam.

- Jego brat był naczelnikiem więzienia Holloway i ma opinię uczciwego i przyzwoitego człowieka. Ciarke to chyba też porządny gość.

Muszę się zgodzić z Jamesem; trafnie ocenił Kena.

* Lyndon Baines Johnson, trzydziesty szósty prezydent Stanów Zjednoczonych.

4.30 po południu

James wychodzi, kiedy przy drzwiach staje oddziałowy Weedon, który chce jak najszybciej zamknąć drzwi celi. Uczę się nazwisk funkcjonariuszy więziennych. Patrzę na zegarek, jest kilka minut po czwartej. Weedon tłumaczy, że ponieważ jest sobota i brakuje personelu, cela nie będzie otwierana do dziewiątej rano następnego dnia. Kiedy zatrząskują się drzwi, uświadamiam sobie, że przez następnych siedemnaście godzin będę pozostawiony sam sobie w klatce liczącej dziewięć stóp na sześć.

6.00 wieczorem

Jestem w bardzo kiepskim nastroju. To najgorsza pora dnia. Człowiek myśli o rodzinie i o tym, co by robił o tej godzinie w sobotni wieczór - oglądalibyśmy z Jamesem Otwarte Mistrzostwa Golfowe, odbywające się na polu golfowym Lytham i St. Anne's, mając nadzieję wbrew wszystkiemu, że Colin Montgomery w końcu wygra najważniejszy turniej. William czytałby książkę jakiegoś mało znane-go autora, o którym nigdy nie słyszałem. Mary prawdopodobnie pracowałaby w swojej fantazyjnej budowli w głębi ogrodu nad drugim tomem swojej książki „Od fotosyntezy molekularnej do globalnej”, a około siódmej pojechałbym samochodem do Saffron Walden odwiedzić moją matkę i podyskutować z nią o tym, kto powinien stanąć na czele torysów.

Matka nie żyje. James jest w Londynie ze swoją dziewczyną. William wraca do Nowego Jorku. Mary tkwi sama w Old Vicarage, a ja siedzę w więzieniu.

10.00 wieczorem

Na dworze mrok - nie ma czym zasłonić okienka mojej celi. Jestem wyczerpany. Biorę do ręki jeden z moich nowych ręczników, składam go i przykrywam nim poduszkę. Układam głowę na ręczniku i śpię dziesięć godzin.

Dzień czwarty

Niedziela, 22 lipca 2001

5.43 rano

Budzę się w małej celi, zalanej światłem poranka. Stawiam stopy na podłodze i czuję woń mojego ciała. Postanawiam, że najpierw się porządnie ogolę, a dopiero potem pomyślę o pisaniu. Jak tylko otworzą drzwi, popędzę pod prysznic.

W umywalce nie ma zatyczki, więc muszę improwizować: nalewam ciepłej wody do plastikowej miski na zupę i zamieniam ją w miskę do golenia*. W więzieniu dają kawałek mydła do golenia, staromodny pędzel

- chyba nie z borsuczego włośia - i plastikową golarkę Bic, podobną do tej, jaką się dostaje w samolotach British Airways (w klasie turystycznej). Po dłuższym czasie udaje mi się wyprodukować trochę piany.

Nad umywalką wisi małe lusterko z blachy stalowej, które odbija zamazany obraz zmęczonego, zaróżowionego mężczyzny. Ogoliwszy się w letniej wodzie, czuję się o wiele lepiej, choć zaciąłem się kilka razy.

Siadam na krześle przy kwadratowym stoliku tyłem do okna i zabieram się do pisania. Słońce świeci przez cztery szybki, odbijając cień krat na ścianie, którą mam przed sobą - na wypadek gdybym zapomniał, gdzie jestem.

9.01 rano

Klucz obraca się w zamku i otwierają się drzwi celi. Podnoszę oczy na oddziałowego, który ma zdziwioną minę.

* Później się dowiedziałem, że w kantine można kupić zatyczkę za dwadzieścia pięć pensów, ale jeżeli się zostawi drzwi celi otwarte na dłużej niż minutę, znika bez śladu.

- Co się stało z wizytówką z drzwi pańskiej celi? - pyta.

Chodzi mu o białą kartkę*, przyczepioną do drzwi celi, z napisem: Archer, kat. D, data zwolnienia 19 lipca 2005.

- Ktoś zabrał - tłumaczę. - Miałem sześć w ciągu ostatnich dwóch dni. Przypuszczam, że stały się obiektem kolekcjonerskim.

Mimo braku karty funkcjonariusz pozwala mi pójść do łazienki z prysznicami, gdzie dołączam do hałaśliwej grupy więźniów, którzy czekają z utęsknieniem na popołudniowe odwiedziny rodzin. Jeden z nich, czarny chłopak imieniem Pat, niesie czystą, świeżo uprasowaną białą koszulę na wieszaku. Pełen podziwu pytam, jak tego dokonał, wyjaśniając przy tym, że za dwa dni odwiedzą mnie moje dzieci i chciałbym jak najlepiej wyglądać.

- Wyślę mojego człowieka do Waszej Lordowskiej Mości - mówi Pat, uśmiechając się od ucha do ucha. - Już on się tym zajmie.

Dziękuję Patowi, niepewny, czy sobie nie kpi. Wziąwszy prysznic - opanowałem niemal do perfekcji sztukę umiejętnego naciskania guzika

- i wytarłszy się, wracam na śniadanie do celi. Śniadanie podano mi w plastikowej torebce wczoraj wieczorem, tuż po tym, kiedy odmówiłem zjedzenia kolacji. Wyjmuję z torebki jajko ugotowane na bardzo twardo, resztę wyrzucam do plastikowego wiadra pod zlewem. Jedząc jajko - tylko białko, bez żółtka - patrzę przez okno i obserwuję samo-loty podchodzące do lądowania w regularnych, sześćdziesięciosiekundowych odstępach na London City Airport. Gołąb siada na występie okiennym i dotrzymuje mi towarzystwa, ale on jest na wolności. Wy-ciągam kawałek czerstwego chleba z wiadra pod umywalką, drobno go kruszę i rzucam mu. Gardzi poczęstunkiem, grucha i odlatuje.

9.30 rano

Znowu otwierają celę, tym razem ze względu na Godzinę Wspólną i dyżurny funkcjonariusz pyta mnie, czy chcę uczestniczyć w nabo-

żeństwach. Ponieważ nie jestem do końca przekonany o istnieniu Bo-ga, rzadko bywam w kościele w Grantchester, mimo że moja żona przez wiele lat prowadziła tam chór. Jednak teraz oznacza to długi

* Białe kartki oznaczają wyznanie anglikańskie, czerwone rzymskokatolickie, żółte muzułmańskie, zielone mojżeszowe. Są one wskazówką co do diety i sygnalizują, czy więzień jest na nabożeństwie.

spacer i przebywanie przez czterdzieści pięć minut w pomieszczeniu o wiele większym od mojej celi, więc bez wahania dziękuję Bogu i mówię tak.

- Wyznanie rzymskokatolickie czy anglikańskie? - pada pytanie.

- Anglikańskie - odpowiadam.

- Wobec tego druga zmiana. Przyjdę do pana około wpół do jedenastej, zaraz po Godzinie Wspólnej.

10.00 rano

Podczas Godziny Wspólnej strażnicy obserwują, kto należy do jakiejś kliki albo bandy i jak więźniowie zachowują się w grupie, czy też są samotnikami. Wychodzę z celi i przed moimi drzwiami widzę kolejkę więźniów. Większość z nich chce dostać mój autograf, żeby dowieść żonom i dziewczynom, że siedzieli w tym samym bloku, co osławiony Jeffrey Archer.

Pod koniec owej sesji składania autografów, całkiem podobnej do tych, jakie zazwyczaj odbywam w księgarni Hatcharda, podchodzi do mnie mój nowy Powiernik, Kevin. Potwierdza, że James odjechał

do więzienia Whitemoor wcześniej rano.

- Czego ci potrzeba, Jeffrey? Mogę ci mówić po imieniu?

- Oczywiście. Czego mi potrzeba? Miałbym na przykład ochotę na miskę płatków kukurydzianych z prawdziwym mlekiem, dwa jajka sadzone, bekon, pieczarki i kubek gorącej czekolady.

Kevin wybucha śmiechem.

- Mogę skombinować trochę biszkoptów Weetabix, chude mleko i świeży chleb. Coś jeszcze?

- Porządną maszynkę do golenia, szampon, mydło i ręczniki na zmianę.

- To może potrwać dłużej.

Ponieważ każdy wie, za co siedzę, zadaję Kevinowi nieuniknione pytanie.

- Brałem udział w napadzie rabunkowym na wystawę klejnotów w Millennium Dome, no nie? - mówi takim tonem, jakby każdy w tym uczestniczył.

Co za zdanie, ogłoszone przed pisarzem.

- Jak się w to wplątałeś? - pytam.

- Przez dług - odpowiada. -1 miałem tfebchę pecha.

Słowa Nicka Purnella dźwięczą mi w uszach: „Nie wierz niczemu, co ci mówią w więzieniu i nigdy nie wyjawiaj szczegółów swojej własnej sprawy”.

- Dług? - powtarzam.

- Tak, byłem winien facetowi tysiąc trzysta funtów i choć nie rozmawialiśmy dłużej niż rok, nagle zadzwonił i zażądał spotkania.

Nie przerywam potoku słów Kevina.

- Spotkaliśmy się w pubie w Brighton i on mówi, że potrzebuje na dwie godziny szybkiej łodzi motorowej i sternika, i jak się zgodzę, on zapomni o długu.

- Kiedy miałeś wykonać tę robotę? - pytam.

- Następnego ranka - odpowiada Kevin. - Odpowiedziałem mu, że nie mogę się tego podjąć, bo mam już napiętą inną pracę.

- Co takiego? - pytam.

- Mamy z tatą dwie łodzie, łowimy przy wybrzeżu, i obydwie były zamówione do końca tygodnia. Wtedy on zażądał forsy z powrotem, no i nie miałem wyboru. Widzisz, byłem wtedy splekany, a zresztą to był twardy gość i chciał tylko, żebym przewiózł czterech facetów z jednego brzegu rzeki na drugi. Cała zabawa miała zająć nie więcej jak dziesięć minut.

- Tysiąc trzysta funtów za dziesięć minut pracy? Chyba się domyślałeś, że coś musi się za tym kryć?

- Coś podejrzewałem, ale nie miałem pojęcia, co oni kombinują.

- I co było potem?

- Dostarczyłem łódź, jak mi kazano, do Bow Creek, zacumowałem ją blisko molo, kilkaset metrów od Kopuły, i czekałem. Nagle rozpętało się piekło. Podpłynęły do mnie trzy łodzie policyjne i zostałem otoczony przez kilkunastu uzbrojonych policjantów, którzy krzyczeli, żebym się kładł na pokład z rękoma nad głową. Jeden z nich powiedział: „Rety, to nie on!”. Potem się dowiedziałem, że zwerbowali mnie w ostatniej chwili na miejsce kogoś innego, kto wystawił szajkę do wiatru.

- Ale wtedy już się chyba połapałeś?

- A skąd - powiada. - Mam trzydzieści pięć lat i zostałem pierwszy raz skazany. Nie jestem kryminalistą i po tym, cośmy przeszli z rodziną, na pewno nie wrócę do więzienia.

Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego chciałem mu wierzyć. Może to sprawiło jego uprzejme zachowanie, a może sposób, w jaki mówił

45

o żonie i czternastoletnim synu. I bez wątplenia zapłaci wysoką cenę za głupi błąd, którego będzie żałował do końca życia*.

- Archer, Collins, Davies, Edwards! - ryczy nieobdarzony subtelnnością oddziały King. Kiedy wykrzyczał wszystkie nazwiska, koń-

cząc na Wattsie, dodaje: - Anglikanie, teraz.

- Chyba dokończymy tę rozmowę innym razem - mówię. - Nasz Pan nas wzywa, a jeśli nie On, to z pewnością oddziały King.

Dołączam do więźniów, którzy na środkowym piętrze czekają, że-by ich zaprowadzono na poranne nabożeństwo.

11.00 rano

Sznur więźniów wolno sunie po podłodze pokrytej wyblyszczonym linoleum, po czym zatrzymuje się i wszyscy kolejno są rewidowani i dopiero potem wpuszczani do kaplicy. Dlaczego nas sprawdzają przed wejściem do miejsca kultu? Wchodzimy jeden za drugim do wielkiej sali, gdzie wszyscy wierni dostają Biblię. Zajmuję miejsce w drugim rzędzie obok młodego czarnego mężczyzny, siedzącego z pochyloną głową. Rozglądam się wokół po tłumnie wypełnionej kaplicy.

Staje przed nami kapelan o imieniu David (to imię jest wypisane dużymi literami na naszywce na jego mocno znoszonej marynarce) i prosi o ciszę. Jest to mężczyzna mniej więcej czterdziestopięcioletni, silnie zbudowany, mocno kulejący, o poważnym uśmiechu. Obejmuje wzrokiem zgromadzenie morderców, gwałcicieli, włamywaczy i ka-tów swoich żon. Nic dziwnego, że dopiero po kilku minutach udaje mu się zapanować nad tą trzódką.

Tymczasem rozglądam się dokoła. Kaplica jest kwadratowa i przypuszczam, że ma mniej więcej dwadzieścia kroków na dwadzieścia.

Mury są z czerwonej cegły, wewnątrz mieści się około dwustu plastikowych krzeseł, ustawionych w dwudziestu rzędach. Na ścianach wi-szą obrazy przedstawiające Jezusa z uczniami, Jezusa po zdjęciu z krzyża, Zwiastowanie Najświętszej Marii Panny, wskrzeszenie Łazarza i Jezusa uciszającego burzę.

* Kevin Meredith został osądzony w Old Bailey 18 stycznia 2002 roku i uznany za winnego znowy w przygotowywaniu kradzieży. Dostał wyrok pięciu lat więzienia.

46

Tuż za kapelanem umieścił się zespół rockowy - liderką jest ładna, ciemnowłosa dziewczyna z gitarą przewieszoną przez ramię. Towarzyszy jej pięciu śpiewaków muzyki gospel; wszyscy mają małe mikrofony wpięte w klapy. Twarzą do zespołu muzycznego, a tyłem do zgromadzonych siedzi człowiek obsługujący rzutnik wyświetlający na zawieszanej przed nim białej płachcie słowa pierwszej pieśni religijnej.

Wymusiwszy w końcu ciszę - groźbą, że każdy przyłapany na rozmowie zostanie natychmiast odstawiony do celi - kapelan na rozpoczęcie nabożeństwa odmawia trzy modlitwy, wszystkie zawierające wyraźne przesłanie czynienia dobra bliźniemu swemu. Zwraca się następnie do dziewczyny z gitarą i daje jej znak głową. Jej delikatny głos intonuje melodię pierwszej pieśni czy raczej ewangelicznej przypowie-

ści, podjętej z zapalem przez czarnych więźniów, którzy stanowią ponad połowę wiernych, pozostali natomiast włączają się z większą rezerwą. W towarzyszącym chórkowi śpiewacy są biali i dają z siebie wszystko, nawet kiedy zaczyna się klaskanie. Gdy przebrzmiała ostatnia zwrotka, jesteśmy gotowi wysłuchać kazania. Ale jakie to kazanie!

Kapelan wybrał jako temat morderstwo. Prosi nas, abyśmy wzięli do rąk Biblię i otworzyli na Księdze Rodzaju. Spogląda na mnie i mruga*.

- I wszystko się zaczęło od Kaina i Abla - powiada - bowiem Ka in był pierwszym mordercą. Zazdrosny o powodzenie brata, zemścił

się i zabił go. Ale Bóg to widział i ukarał go do końca jego życia.

Następnym przykładem mordercy był Mojżesz, który -jak mówi kapelan - zabił Egipcjanina i też myślał, że mu się upiecze, ale Bóg to widział i też go ukarał na całe życie. Nie pamiętam tego epizodu, gdyż myślałem, że Mojżesz spokojnie umarł w swoim własnym łóżku w wieku stu trzydziestu lat.

- A teraz otwórzcie na Drugiej Księdze Samuela - poleca kapelan.

- Nie Pierwszej, ale Drugiej, gdzie występuje król, który był mordercą. Król Dawid. On zabił Uriasza Hetejczyka, bo mu się spodobała jego żona, Batszeba. Kazał Uriasza postawić na przedzie podczas bitwy, tak żeby poległ, żeby on mógł poślubić Batszebę. Ale Bóg to wi dział i go ukarał. Albowiem Bóg widzi każde morderstwo i ukarze każdego, kto złamie Jego przykazanie.

* Jeffrey Archer jest autorem głośnego bestsellera pt. „Kane i Abel” (przyp. tłum.).

- Alleluja! - zawołało kilku wiernych z trzech pierwszych rzędów.

Potem dowiedziałem się od zastępczyni naczelnika, że co najmniej połowa zgromadzonych w kaplicy była mordercami, zatem kapelan dobrze wiedział, z jakim audytorium ma do czynienia.

Po kazaniu zespół cicho śpiewa jeden z tematów muzycznych, kapelan zaś pyta, czy wszyscy ci, którzy pragną zaufać Bogu, chcieliby podejść do przodu i podpisać ślubowanie, że będą się stosować do nauki Biblii i Kościoła. Przed Davidem formuje się kolejka, a on każde-go błogosławi. Kiedy wszyscy wracają na miejsca, śpiewamy ostatnią pieśń i kapelan udziela wiernym ostatniego błogosławieństwa. Wychodząc, dziękuję wielebnemu, po czym znowu mnie rewidują - ale co można było wymieniać podczas nabożeństwa, skoro rewidowano nas przed wejściem do kaplicy? Dowiaduję się tydzień później. Eskortują nas do cel i zamykają.

12.00 w południe

W południe wypuszczają nas na niedzielny lunch. Są cztery dania do wyboru: indyk, wołowina, szynka i potrawka. Ponieważ nie jestem w stanie poznać, co jest co, decyduję się na tarty ser i dwie kromki chleba nieposmarowane margaryną, wracam do celi, siadam przy mo-im małym stole i powoli pogryzam kanapkę.

Uporawszy się z lunchem w ciągu pięciu minut, zabieram się znowu do pisania. Piszę bez przerwy przez dwie godziny, do chwili kiedy wraca Kevin, dzierżąc plastikową torbę ze smakołykami - dwa opakowania biszkoptów Weetabix, karton mleka, dwa małe zielone jabł-

ka, kostkę mydła i - jak do tej pory najcenniejszą zdobycz - dwie torebki Cup a Soup, zupy minestrone i grzybowej. Wyrażam mu go-rąco wdzięczność, zasiadając do plastikowej miski weetabiksów na-moczonych w mleku. Tej, której rano używałem do golenia.

4.20 po południu

Dopiero po czwartej pozwalają mi opuścić celę i spędzić czterdzieści pięć minut z innymi więźniami na spacerunku. Szybko się uczę, że trzeba wykorzystywać wszelkie okazje - od religii przez pracę po spacer - żeby wydostać się z celi. I znowu, przed wyjściem na dziedziniec, jesteśmy rewidowani.

48

Większości więźniów nie chce się spacerować, zbierają się w grupy i opalają, opierając się o ogrodzenie. Tylko kilku chodzi zdecydowanym krokiem wkoło. Ja ruszam się energicznie, bo już odczuwam brak codziennych ćwiczeń na sali gimnastycznej. Spostrzegam, że niektórzy więźniowie mają na nogach najnowsze pantofle treningowe firm Nike albo Reebok. To jedyna dozwolona manifestacja mody.

Jeden z więźniów zbliża się do mnie, nieśmiało mi wręcza dziesięcio-stronicowy rękopis i pyta, czy zechciałbym go przeczytać. Mówi, że pisze trzy strony dziennie i ma nadzieję, że skończy, zanim go wypuszczą w grudniu.

Chodząc, czytam tych dziesięć stron. Najwyraźniej autor jest wykształcony, gdyż zdania są poprawne gramatycznie i czuje się swobodę w operowaniu językiem. Gratuluję mu, życzę powodzenia i nawet przyznaję, że sam też się tutaj tym zajmuję. Podchodzi do mnie jeszcze kilku więźniów, którzy opowiadają o swoich problemach prawnych, ale niewiele znam się na prawie i nie umiem odpowiedzieć na ich pytania. Słyszę swoje nazwisko, wywoływane przez megafon, i zgłaszam się do strażnika przy bramie.

- Pan Peel chce się z panem widzieć - mówi strażnik bez żadnych wyjaśnień.

Tym razem nie rewidują mnie, lecz prowadzą wprost do małego biura, ulokowanego w centralnym punkcie skrzydła. Trzeba wypełnić kolejny formularz, gdyż telefonował mój syn James, pytając, czy może mnie odwiedzić w piątek.

- Czy chce go pan zobaczyć? - pyta Peel.

- Oczywiście - odpowiadam.

- Nie wszyscy chcą - zauważa Peel, wypełniając formularz. Skończywszy, pyta jak się aklimatyzuję.

- Nie za bardzo - przyznaję. - Siedzieć pod kluczem przez siedemnaście godzin... ale jestem pewien, że pan już to słyszał.

Peel opowiada o swojej pracy i o trudnościach, z jakimi się boryka w więziennictwo. Jest funkcjonariuszem więziennym od dziesię-

ciu lat i jego podstawowa pensja wynosi tylko dwadzieścia cztery tysiące funtów rocznie, a z nadgodzinami płatnymi trzynaście funtów dwadzieścia pensów za godzinę (dozwolone maksimum wynosi dziewięć godzin w ciągu tygodnia) może wyciągnąć do trzydziestu jeden tysięcy funtów. Nie powiedziałem mu, że to mniej, niż płacę swojej sekretarce. Mówi też, że jego towarzyszka życia również 49

pracuje w więzieniu i również wykorzystuje limit nadgodzin, tak że zarabiają do spółki sześćdziesiąt tysięcy funtów rocznie, ale rzadko się widują. Przekazawszy mi tę informację, zmienia temat i wraca do Belmarsh.

- To tylko więzienie przejściowe - tłumaczy. - Jeżeli ktoś jest skazany, a nie przebywa w areście śledczym, przenosimy go jak najszybciej do innego więzienia. Jednak muszę z przykrością powiedzieć, że widzimy wciąż i wciąż te same twarze. Wie pan, oni nie są wszyscy źli, właściwie gdyby nie narkotyki, szczególnie heroina, sześćdziesięciu procent więźniów by tu nie było.

- Sześćdziesięciu procent? - powtarzam.

- Tak, większość siedzi za drobne kradzieże, których dopuścili się, żeby kupić narkotyki, albo też są związani z subkulturą narkotykową.

- Czy tu w więzieniu nadal mają dostęp do narkotyków?

- O tak, chyba pan zauważył, jak pobieżne są rewizje. Przepisy nie pozwalają nam na nic więcej. Wiemy, gdzie oni ukrywają narkotyki, i znamy każdą metodę, jaką stosują, żeby je tutaj przemycić, ale ze względu na ustawę o prawach człowieka nie zawsze możemy przeprowadzić wystarczająco dokładną rewizję. Są wśród nich i tacy desperaci, którzy połykają plastikowe woreczki, wypełnione heroiną.

- A jeśli taki woreczek pęknie?

- To umierają w ciągu kilku godzin - odpowiada Peel. - Jeden więzień zmarł z tego powodu w zeszłym miesiącu, ale zdziwiłby się pan, jak wielu jest takich, którzy skłonni byłiby zaryzykować. Słyszał pan zeszłej nocy alarm pożarowy?

- Tak, obudził mnie - odparłem.

- To z winy heroinisty, który podpalił swoją celę. Kiedy tam dotarłem, ciął sobie żyły żyłką, bo chciał, żeby jego cierpienie przewyższyło głód narkotykowy. Przenieśliśmy go natychmiast na oddział chorych, ale tam niewiele mogli zrobić, poza tym że go opatrzyli. Tej nocy będzie przeżywał taki sam koszmar, więc musimy nad nim czuwać i zaglądać do jego celi co piętnaście minut.

Rozlega się sygnał oznajmiający koniec spaceru.

- Myślę, że lepiej, aby wrócił pan do celi - mówi Peel. - Dobrze, że pisze pan książkę, bo

doprawdy nie wiem, jaka miałaby być korzyść z pańskiego pobytu tutaj.

5.00 po południu

Wracam co swojej celi i piszę do kolacji. Kiedy ponownie otwierają się drzwi, schodzę na parter do kuchenki. Zadowolam się termosem z gorącą wodą i jabłkiem oraz biorę plastikową torebkę z jutrzejszym śniadaniem. Powróciwszy do celi, zjadam torebkę chrupek i przy użyciu połowy wody z termosu robię sobie zupę grzybową z torebki.

Drzwi celi zatrzasują się na głucho o wpół do szóstej i zostaną otwarte dopiero jutro o wpół do dziesiątej rano; zdążę do tej pory, wykorzystując resztę wody z termosu, ogolić się w tej samej misce, w której teraz jem zupę.

Przez następne dwie godziny słucham transmisji z Otwartych Mistrzostw Golfowych z Radia 5 Live. Amerykanin David Duval wygrywa swoje pierwsze mistrzostwa i jego nazwisko zostaje wyryte na srebrnym pucharze. Colin Montgomery i Ian Woosnam walczą z werwą, ale na finiszu nie mają szans.

Przełączam na Radio 4, gdzie wysłuchuję Steve'a Norrisa (wice-przewodniczący Partii Konserwatywnej, zajmujący się sprawami kobiet), który ogłasza światu, że zawsze wiedział, iż jestem nicponiem.

W wyborach wewnątrzpartyjnych na kandydata na burmistrza Londynu zwyciężyłem Norrisa stosunkiem głosów 71 do 29.

Wyłączam odbiornik i czytam dwa rozdziały książki „Księżyc jest balonem”, opisujące, jak Niven znalazł się w Sandhurst, a następnie otrzymał nominację na oficera Królewskiego Pułku Góralskich. Układam głowę na twardej poduszce i mimo krzyków więźniów i głośnego rapu, dobiegającego ze wszystkich stron bloku, jakoś udaje mi się zasnąć.

Dzień piąty

Poniedziałek, 23 lipca 2001

5.53 rano

Słońce świeci przez okratowane okno, musi być cudowny letni dzień.

Jestem zamknięty w celi, która ma pięć kroków na trzy, od dwunastu i pół godziny i nie zostanie wypuszczony do południa; osiemnaście i pół godziny więziennej izolacji. W celi pode mną siedzi siedemnasto-letni dzieciak, oskarżony o kradzież w sklepie - jego pierwsze przestępstwo, nawet jeszcze nieosądzone - zamknięty od osiemnastu i pół

godziny, niebędący w stanie do nikogo przemówić słowa. To jest Wielka Brytania w dwudziestym pierwszym wieku, nie Turcja, nie Nigeria, nie Kosowo, ale Wielka Brytania.

Już słyszę zapewnienia prawicowców, że to szkoła charakteru i że chłopak będzie miał nauczkę. Co za głupota. O wiele bardziej prawdopodobne, że się nastawi wrogo do władzy i kiedy znajdzie się na wolności, wejdzie na drogę przestępczą. Ten młody człowiek będzie przebywał przynajmniej dwa tygodnie z mordercami, gwałcicielami, włamywaczami i narkomanami. Czy to najlepszy pedagog, od któ-

rych ma pobierać nauki?

12.00 w południe

Odwiedziny czarującej pani, która spostrzegła mnie w niedzielę w kaplicy. Zadaje jej więcej pytań niż ona mnie. Okazuje się, że odwiedza wszystkich więźniów, którzy składają ślubowanie - obawiam się, że tego nie uczyniłem - i tych, którzy byli pierwszy raz w kaplicy. Każde-mu więźniowi daje Biblię i godzinami wysłuchuje opowieści o jego problemach. Uprzejmie odpowiada na wszystkie moje pytania. Gdy 52

odchodzi, biorę plastikową tacę, plastikową miskę, plastikowy talerz, plastikowy nóż, widelec i łyżkę i opuszczam celę, żeby zejść do kuchni po lunch*.

Jeden rzut oka na oferowane menu i kolejny raz wracam do celi z pustymi rękoma. Schodzący z najwyższego piętra recydywista mówi mi, że w Belmarsh jest najgorsze żarcie ze wszystkich więzień w Wielkiej Brytanii. Ponieważ w ciągu ostatnich dwudziestu lat był

pensjonariuszem siedmiu zakładów karnych, nie mam powodu mu nie wierzyć. Oddziałowy zatrzaskuje za mną drzwi celi. Nie otworzą się do czwartej. Miałem dokładnie dwanaście minut wolności podczas ostatnich dwudziestu dwu i pół godzin.

4.00 po południu

Po upływie kolejnych czterech godzin wypuszczają mnie na Godzinę Wspólną. W trakcie tego błogosławionego antraktu przystaję i spoglądam na telewizor na środku sali, otoczony przez kilkunastu więź-

niów. Oglądają film kowbojski z Rayem Millandem, który gra szery-fa. Normalnie zmieniłbym kanał, ale dziś to wybór większości, więc sterczę tam dziesięć minut, a potem przechodzę do stołu, gdzie grają w domino.

Podchodzi do mnie jakiś Irlandczyk i pyta, czy mogę mu poświęcić chwilę. Jest średniego wzrostu, z twarzą przekreśloną dwiema bliźniami - jedną krótszą nad lewą brwią, z wciąż widocznymi szwami i drugą, długą i czerwoną, na prawym policzku. Podejrzewam, że ta ostatnia jest nowsza. Wprawdzie jest oszpecony, ale mówi z tym typowym dla Irlandczyków miękkim zaśpiewem, który zawsze chwyta mnie za serce.

- W przyszłym tygodniu będą mnie sądzić - mówi.

- Za co? - pytam.

- Lepiej, żeby pan nie wiedział - odpowiada. -Tylko jedno pytanie: czy mam prawo bronić się

sam przed sądem?

- Tak - mówię.

- Ale czy nie byłoby lepiej, gdybym naświetlił obrońcy sprawę

* W więzieniu posiłek poranny, śniadanie, spożywa się zwykle między wpół do ósmej a ósmą, posiłek w środku dnia nazywa się obiadem, a wieczorny podwieczorkiem. W Belmarsh śniadanie na następny dzień dostaje się w worku plastikowym, gdy się schodzi do kuchni poprzedniego wieczoru.

53

z mojego punktu widzenia, a on potem ją przedstawił sędziom przysięgłym?

Zastanawiam się przez chwilę, jako że podczas mojego, trwające-go siedem tygodni procesu zdobyłem pewne doświadczenie w kwe-stiach prawnych.

- Zasadniczo raczej bym zaufał kompetencji prawnika niż własne mu sprytowi.

Mężczyzna kiwnął głową i odszedł. Nie chciałbym spotkać kiedyś tego bystrego, inteligentnego Irlandczyka i się dowiedzieć, że jego obrońca okazał się głupcem.

Zawracam, żeby zobaczyć, jak się rozwija akcja filmu. Jak to w we-sternie, zaraz ma się rozpocząć finałowa strzelanina, która położy kres wszystkim innym strzelaninom, kiedy rozlega się krzyk dyżurnego funkcjonariusza.

- Wracać do cel!

Słysząc jęk rozczarowania, ale trzeba powiedzieć, że funkcjonariusz siedzi na drugim końcu sali i nie ma pojęcia, że film się skończy za pięć minut.

- Szlachetni faceci zwyciężają, Ray Milland zdobywa dziewczynę, a czarne charaktery dostają w łeb - informuję zgromadzonych wokół telewizora.

- Widział pan już ten film? - pyta jeden z więźniów.

- Nie, ty głupi dupku - odpowiada mu inny. - My zawsze prze-grywamy. Czy kiedy słyszałeś, żeby było inaczej?

Znowu zamknięty w celi po czterdziestopięciominutowej przerwie, nalewam sobie szklankę wody Buxton, zjadam torebkę chrupek od Smitha i pogryzam jabłko. Skończywszy pięciominutowy, niewię-

zienny posiłek, myję zęby i siadam na kolejne dwie godziny do pisania.

Napisałem około tysiąca słów, kiedy słyszę zgrzyt klucza przekre-canego w zamku, co zawsze jest mile widziane, ponieważ, jak wspomniałem, otwarte drzwi dają poczucie wolności, a nawet zwiastują możliwość ucieczki na kilka minut.

Ukazuje się kobieta w cywilnym ubraniu, z nieodłączną plakietką

- w tym przypadku z napisem „bibliotekarka”.

- Dzień dobry - mówię z uśmiechem i wstaję. Wygląda na zaskoczoną.

- Jeżeli jakiś więzień poprosi pana o podpisanie książki, proszę odmówić - powiada, nie zadając sobie trudu, żeby się przedstawić.

54

Jestem zdziwiony; w końcu ludzie mnie proszą o podpisywanie książek od dwudziestu pięciu lat.

- To są wszystko książki z biblioteki - ciągnie kobieta - które zo stały skradzione. Tak samo jak tytoń i karty telefoniczne, stały się to warem wymiennym za narkotyki, a z pańskim podpisem nabierają podwójnej wartości.

Zapewniam ją, że nie podpiszę żadnej więcej książki bibliotecznej.

Odpowiada mi skinieniem głowy i zatrząskuje drzwiami.

Piszę dalej, świadom, że następną okazją do przerwy będzie dopiero czterdziestopięciominutowy czas na popołudniowe ćwiczenia fizyczne. Zaczynam już przywykać do rytuału otwierania drzwi, usta-wiania się w kolejce do rewizji i wypuszczania na dziedziniec. Napisa-

łem znów dwa tysiące słów, zanim drzwi się znowu otworzyły.

Przeszedłszy zwyczajowy rytuał, kroczę dokoła wielkiego placu w towarzystwie Vincenta (włamanie) i innego mężczyzny imieniem Mark (wykroczenie drogowe), kibica Arsenalu. Jedno okrążenie i uzmysławiam sobie, że jedynym wyjściem, żeby Mark nie zanudził

mnie na śmierć gadaniną o ulubionej drużynie futbolowej, jest przy-takiwać mu, że Arsenal, mimo ostatnich sukcesów Manchester United, jest najlepszym zespołem w Anglii.

Doprowadzony do rozpacz, wskazuję na smętną postać przed na-mi, jedyne go więźnia, który wygląda starzej ode mnie.

- Biedny stary - mówi Vincent. - Nie powinien tu być, ale on jest bezdomny, nie ma dokąd pójść, no i ląduje w więzieniu.

- Ale co on takiego zrobił? - dopytuję się.

- Prawdę mówiąc - nic. Co kilka tygodni rzuca cegłą w okno wystawowe, a potem kręci się w pobliżu, póki nie przyjedzie policja i go nie aresztuje.

- Czemu to robi? - pytam.

- Bo biedaczysko nie ma się gdzie podziać, a tutaj przynajmniej zapewniają mu łóżko i trzy posiłki dziennie.

- Ale chyba policja już się połapała do tej pory? - zauważam.

- Tak, oczywiście. Policja zwraca się do sędziego pokoju, żeby zo-bowiązał go do przyzwoitego zachowania. Ale on na to też znalazł

sposób, bo jak tylko sędzia go uniewinni, zaczyna wrzeszczeć: „Ty stary pierdoło, już ja ci wrzucę cegłę przez okno i jutro znowu się spotkamy!”. To zapewnia staremu przynajmniej sześć tygodni paki, o co mu właśnie chodzi. Skazano go siedemdziesiąt trzy razy w ciągu ostat-55

nich trzydziestu lat, ale nigdy na dłużej niż trzy miesiące. Problem polega na tym, że system penitencjarny nie wie, co z nim zrobić.

Obok mnie przebiega czarny chłopak, obrzucany drwinami przez grupę więźniów podpierających ogrodzenie. Nic sobie z tego nie robi, nawet przyśpiesza. Jest szczupły i wysportowany i wygląda na cztery-stumetrowca. Obserwuję go i uzmysławiam sobie, że mój planowany wyjazd wakacyjny na Letnie Lekkoatletyczne Mistrzostwa Świata w Edmonton z Michaeliem Beloffem zamienił się w trzytygodniowy pobyt w Belmarsh.

- Pośpieszmy się - szepce Vincent. - Musimy uniknąć tego tam. -

Pokazuje samotnego więźnia, który idzie kilka kroków przed nami.

Vincent nie odzywa się ani słowem, póki nie wyprzedzimy tamtego i nie oddalimy się poza zasięg głosu. Wtedy odpowiada na pytanie, którego mu nie zadałem. - To podwójny morderca - żony i jej gacha.

- Vincent opisuje, w jaki sposób zabił ich oboje. Szczegóły są tak prze rażające, że muszę przyznać, iż dopiero pół roku po wyjściu z Bel marsh czułem się na siłach, by przytoczyć słowa Vincenta w tym dzienniku. Jeżeli masz słabe nerwy, czytelniku, opuść trzy następne akapity.

Oto opis Vincenta słowo w słowo:

„Ten drań wrócił niespodziewanie w środku dnia do domu i zastał

swoją żonę w łóżku z innym mężczyzną. Tamten próbował zwać przez okno sypialni, ale został

powalony jednym ciosem. Potem facet związał ich oboje, jedno przy drugim, na łóżku, a sam poszedł do kuchni. Po chwili wrócił z nożem do krojenia mięsa o długim, ząb-kowanym ostrzu. W ciągu następnej godziny dźgnął kochankę żony jedenaście razy, pilnując, żeby żył, kiedy na koniec odcinał mu jądra.

Gdy tamten umarł, wlaź na łóżko i zgwałcił swoją żonę, która wciąż była przywiązana do martwego kochanka. W ostatnim momencie spuścił się na twarz trupa. Zszedł z łóżka i przyglądał się rozhiste-ryzowanej żonie. Odczekał jakiś czas, po czym ten nóż do krojenia mięsa wbił jej głęboko w waginę. Następnie wolno kroił ostrzem jej ciało.

Na procesie oznajmił sędziom przysięgłym, że zabił żonę, żeby udowodnić, jak bardzo ją kochał. Został skazany na dożywocie bez szans na zwolnienie warunkowe”.

- Pamiętaj, żeby go unikać za wszelką cenę - powtarza Vincent. -

Poderżnąłby ci gardło za pół uncji tytoniu, a ponieważ będzie tu sie-56

dział do końca życia, nic więcej mu nie grozi, choćby nie wiadomo co zmalował.

Jestem pewien, że to właśnie taki gość, z jakim życzył mi spotkania sędzia Potts.

Włącza się syrena, mało subtelny znak, że naszych czterdzieści pięć minut dobiegło końca. Wołają nas, blok za blokiem, żebyśmy wraca-li do cel mniejszymi grupami. Jestem w bloku trzecim, więc muszę czekać. Kiedy wzywają więźniów z bloku drugiego, widzę, że podwój-ny morderca kroczy zdecydowanie w moją stronę. Spuszczam głowę, z nadzieją że nie zwróci uwagi, ale kiedy ją podnoszę, widzę, że patrzy wprost na mnie i ku mnie idzie. Spoglądam na stojących przy bramie czterech funkcjonariuszy, którzy sztywnieją, gdy tymczasem grupa czarnych mężczyzn przy ogrodzeniu patrzy obojętnie. Podwójny morderca staje o kilka kroków przede mną.

- Czy mogę z panem zamienić kilka słów? - pyta.

- Tak, oczywiście - odpowiadam, przybierając taki ton, jakbyśmy byli przygodnymi znajomymi na garden party.

- Chcę tylko powiedzieć, że bardzo mi się podobają pańskie książ-

ki, a szczególnie „Córka marnotrawna”. Jestem tu jedenaście lat i przeczytałem wszystko, co pan napisał. Po prostu chciałem, żeby pan wiedział.

Zaniemówiłem.

- Przy okazji - dodaje - gdyby pan chciał sprzątnąć tę sukę sekre tarzę, chętnie to panu załatwię.

Naprawdę myślałem, że zwymiotuję, gdy patrzyłem, jak idzie przez bramę. Dzięki Bogu, na inny blok.

5.00 po południu

Tkwię w zamknięciu tylko przez dwie godziny, po czym rozlega się dzwonek oznajmiający kolację. Chwytam tacę i puszkę z owocami, którą ofiarował mi James - mój pierwszy Powiernik - w wieczór po-przedzający jego przeniesienie do Whitemoor. Staję w kolejce do kuchenki i pytam Vincenta, czy ma otwieracz do puszek. Pokazuje mi otwieracz przymocowany do ściany w głębi pomieszczenia.

- Ale nie wolno ci go użyć, póki nie odbierzesz swojego zarcia - mówi.

Widzę, że trzyma w ręku puszkę mielonki Shipham's Spam.

57

- Oddam pół puszek z owocami za połowę twojej - proponuję.

- Zgoda - odpowiada. - Przyniosę ci ją do celi, jak tylko odbiorę swoją porcję.

I znowu nie mogę znaleźć dla siebie nic, co by chociaż miało jaki taki wygląd, więc zadowolam się dwoma ziemniakami.

- Powinieneś przejść, bracie, na kuchnię wegetariańską - odzywa się głos.

Oglądam się i widzę Pata.

- Mary się zmartwi, jak się dowie, że nic nie jesz, a poza tym po trawy wegetariańskie to jedna z niewielu rzeczy, której nie potrafią do końca zepsuć.

Stosuję się do rady i wybieram jarzyny w cieście. Kiedy docieramy do końca kontuaru, otrzymuję plastikową torbę z jutrzejszym śniadaniem.

- Przy okazji - mówi Pat, wskazując człowieka, który właśnie mnie obsłużył - to jest Peter Żelazko, on ci upierze i uprasuje tę koszulę.

- Dziękuję, Pat - mówię i zwracając się do Petera, dodaję: - Jutro odwiedzą mnie moje dzieci i chciałbym wyglądać jak najlepiej.

- Postaram się, żeby pan wyglądał tak, jakby pan dopiero co wyszedł od krawca z Savile Row - odpowiada Peter. - Zajrzę do pana celi i zabiorę koszulę, jak tylko skończę rozdawać śniadania.

Idę dalej i inny więzień wręcza mi termos z gorącą wodą - połowę zużyję na zupę, połowę do golenia. Kiedy wchodzę po żółtych żelaznych schodach, wracając do celi numer 29 na drugim piętrze, słyszę, jak Mark, entuzjasta Arsenалу, rozmawia z dyżurnym funkcjonariuszem nazwiskiem Tuck. Nadzwyczaj grzecznie zwraca uwagę, że wśród osób wybranych na Powierników, roznosiciele herbaty i serwujących posiłki brak przedstawicieli mniejszości etnicznych, mimo że stanowią oni ponad pięćdziesiąt procent populacji więziennej. Tuck, który sprawia wrażenie przyzwoitego faceta, potakuje i obiecuje, że pomówi z naczelnikiem. Nie mam sposobu, żeby się dowiedzieć, czy to zrobił, czy nie*.

Kiedy wracam na drugie piętro, Vincent już na mnie czeka. Przelewam połowę kompotu z owoców do jego miski, a on dzieli mielon-

* Mark dlatego tak nalegał, że roznosiciele herbaty, Powiernicy i serwujący posiłki w kuchence spędzają o wiele więcej czasu niż reszta więźniów poza swoimi celami, co jest prawdziwym przywilejem.

58

kę na dwie części i podaje mi tę większą; kładę ją na talerzu obok jarzyn w cieście i dwóch ziemniaków. Daje mi też biały podkoszulek, który mam na sobie, kiedy piszę te słowa.

Drzwi celi przez dziesięć minut są otwarte i w tym czasie przychodzi Peter i zabiera moją brudną białą koszulę, kalesonki i skarpetki.

- Zaraz z rana je panu przyniosę, dziedzicu - mówi żartobliwie i znika, nim zdążyłem go zapytać, co by za to chciał.

Moim ostatnim gościem tego dnia jest Kevin, mój Powiernik, któ-

ry mówi, że podobno zostanie jutro przeniesiony do bloku pierwszego, gdzie panuje nieco łagodniejszy reżim i nie ma takiego hałasu. Zmartwiłem się, bo tu już nawiązałem kilka przyjaźni - z Kevinem, Jamesem, Patem, Vincentem, Peterem i Markiem - i zacząłem się orientować, jak funkcjonuje blok trzeci. Kevin siedzi na łóżku i trajkocze zgodnie z zapowiedzią Jamesa, ale jest mi miło w jego towarzystwie, nie mówiąc już o tym, że kiedy Powiernik jest w celi, drzwi są otwarte.

Tego popołudnia Kevina odwiedziła żona i dzieci. Opowiada mi, że jego czternastoletni syn jest już wyższy od niego, a dziewięcioletni nie rozumie, dlaczego tata nie wraca na noc do domu.

Oddziałowy Gilford kręci się przy drzwiach celi; sygnał, że mimo swojej funkcji Kevin powinien już sobie pójść. Pytam Gilforda, czy mogę wyrzucić resztki kolacji do kosza na podeście schodów - spoży-

łem tylko jeden kęs wegetariańskiej potrawy. Zgadza się. Gdy tylko wracam, zatrzaskuje drzwi.

Siadam na łóżku i przeglądam listy. Pierwsza poczta przyniosła ich ponad sto i ani jeden mnie

nie potępia. Zdumiewające, jak Anglicy nie podzielają opinii prasy - zatrzymuję wszystkie listy, na wypadek gdyby moi adwokaci chcieli się z nimi zapoznać: wśród nadawców są trzej członkowie parlamentu: David Faber, John Gummer i Peter Lilley oraz dwaj przedstawiciele Izby Lordów: Bertie Denham i Robin Ferrers. Pewien były minister nie tylko pisze, jak mu przykro, że jestem w więzieniu, ale dodaje, iż mowa końcowa sędziego Potts'a to kpina ze sprawiedliwości, a wydany przez niego wyrok jest niezrozumiały.

Zaczynam układać w pamięci listę moich prawdziwych przyjaciół.

Dzień szósty

Wtorek, 24 lipca 2001

5.44 rano

Wygląda na to, że wróciłem do swojego zwykłego rytmu dzieńnocnego. Budzę się około wpół do szóstej rano i zaczynam pierwszą, dwugodziną sesję pisania, podobnie jak to czynię w zaciszu mojego do-mu. Piszę bez przerwy do ósmej.

Sporządzam obszerne notatki o wydarzeniach dnia, a następnego ranka piszę pełny tekst, zwykle liczący około trzech tysięcy słów. No-tuję również zasłyszane przypadkiem uwagi albo informacje, które po kilku chwilach mogą mi wylecieć z pamięci.

Właśnie zabieram się do golenia - poświęcam teraz temu zajęciu sporo czasu, nie tylko dlatego, że mam go tak dużo, ale po prostu nie chcę mieć twarzy pokierszowanej przez więzienną maszynkę - kiedy słyhać uderzenie w drzwi celi. Otwiera się judasz i dobiega mnie krzyk oddziałowej Newsome:

- Archer! Przenosisz się pan do bloku numer jeden, pakuj pan rzeczy!

Powinienem już wiedzieć, że po takiej zapowiedzi następuje przynajmniej dwugodzinne czekanie, ale brak doświadczenia sprawia, że nawet nie próbuję się golić, tylko naprędce zbieram mój dobytek.

Martwię się jedynie, że dzieci odwiedzą mnie po południu, a nie chciałbym, żeby zobaczyły ojca nieogolonego.

Gromadzę wszystko i tak jak wtedy, kiedy pod koniec wakacji wracam do domu, stwierdzam, że mam o wiele więcej rzeczy niż na początku. Kiedy już je upchnąłem w mojej wielkiej więziennej plastikowej torbie, zaczynam się niepokoić przeniesieniem z Bejrutu na oddział więźniów skazanych na dożywocie.

10.07 rano

Drzwi mojej celi zostają otwarte i dołączam do kilkunastu więźniów, którzy też przenoszą się do bloku pierwszego. Jednego czy dwóch znam ze spacerniaka.

- Dzień dobry, Jeff! Jak milordowi smakowało śniadanie? To mu si być wytworny blok, skoro wybierasz się tam z nami - wita mnie chór głosów.

Kevin wślizguje się na koniec kolejki, żeby mi powiedzieć, że Peter uprał i uprasował mi białą koszulę i przyśle ją po południu na blok pierwszy, ale że muszę zrobić następną listę prowiantów, bo każdy blok ma swoją własną kantynę.

Wędruję do nowej celi przez kilka długich korytarzy, czemu towarzyszy zwykła ceremonia otwierania i zamykania co kilka kroków podwójnie okratowanych furt i kiedy w końcu razem z całą grupą przybywam na miejsce, gromadzą nas w przejściówce i - co było do przewidzenia - każą nam czekać. Nigdy nie opanowałem sztuki czekania. Stoimy zaledwie kilka minut, kiedy młody funkcjonariusz nazwiskiem Aveling otwiera drzwi i oznajmia:

- Archer, pan Loughnane wzywa pana w sprawie przemieszczenia.

Przecież dopiero tu przybyłem.

- Wypuszczają cię! - krzyczy jeden z więźniów.

- Spytaj, kochasiu, czy mogę zamieszkać z tobą w jednej celi! - wrzeszczy drugi.

- Nie płąć więcej, niż wynosi bieżąca stawka! - dorzucą trzeci.

Więzienny humor.

Aveling prowadzi mnie korytarzem do obszernego, bardziej kom-fortowego pokoju w porównaniu ze standardem, do jakiego przywykłem podczas ostatnich dni, i przedstawia mnie panom Loughnane'owi i Gatesowi. Siadam naprzeciwko nich, po drugiej stronie biurka.

- Niestety, znowu wypełnianie formularzy - mówi niemal przez praszająco Loughnane. - Jak się pan adaptuje? - pyta.

Już się przyzwyczailem, że każdy funkcjonariusz więzienny, które-go widzę pierwszy raz, w ten sposób zaczyna rozmowę.

- Czuję się dobrze, tylko z trudem znoszę wielogodzinne zamknięcie w tak ograniczonej przestrzeni.

61

- Czy chodził pan do szkoły prywatnej? - pyta Gates.

- Tak - odpowiadam, zaskoczony tym pytaniem ni z gruszki, ni z pietruszki.

- Po prostu zauważyliśmy, że absolwenci szkół prywatnych adaptują się o wiele szybciej niż przeciętni więźniowie.

Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać.

- Szczerze mówiąc - ciągnie - wypełniłem już większość rubryk, za pytujących, czy umie pan czytać i pisać, czy zażywa pan jakieś narkotyki i ile razy siedział pan w więzieniu. Mogę też potwierdzić, że zaliczono pana do kategorii D i że wkrótce zostanie pan przeniesiony do otwartego więzienia. - „Wkrótce”, podobnie jak „natychmiast”, ma w więzieniu inne od potocznego znaczenie. Loughnane tłumaczy, że najpierw będą musieli znaleźć więzienie, w którym jest wolne miejsce, a po uzyskaniu potwierdzenia trzeba będzie rozwiązać problem transportu.

Zdziwiony unoszę brwi.

- To zawsze przysparza nam najwięcej kłopotów - wyjaśnia Loughnane. - Transporty między

więzieniami organizuje Grupa 4 i musimy się dostosować do ich terminów. - Następnie pyta: - Czy zna pan jakieś więzienie kategorii D, do którego chciałby pan pójść?

- Słyszałem tylko o otwartym więzieniu w Ford - odpowiadam - a od byłego więźnia wiem, że mają tam dobrą bibliotekę.

- Tak, zgadza się - odzywa się Gates, zając się do leżącego na stole informatora więziennego, jakby to był przewodnik po winach Relais Chateaux. - Zatelefonujemy tam jeszcze dziś przed południem i sprawdzimy, czy mają coś wolnego.

Dziękuję im obu i wracam pod eskortą do celi przejściowej, gdzie czekają więźniowie.

- Załatwili ci apartament nad brzegiem rzeki? - pyta jeden z więźniów.

- Nie - odpowiadam - ale obiecali, że nie będę musiał siedzieć z tobą w jednej celi.

Ta niezbyt błyskotliwa riposta zostaje przyjęta radosnymi okrzykami i oklaskami, a to dlatego, że, jak się później dowiedziałem, postawiłem się facetowi, który rozwalił głowę bratu. Dobrze, że powiedziano mi o tym później, bo, zapewniam was, gdybym to wiedział wtedy, trzymałbym buzię zamkniętą na kłódkę.

Drzwi znowu się otwierają i tym razem Aveling oznajmia, że chce mnie widzieć zwierzchnik bloku. To prowokuje następne kpinki i brawa.

62

- Uważaj, Jeff, on myśli, że masz chętkę na jego posadę.

Prowadzą mnie do jeszcze okazalszego pokoju, w którym znajduje się biurko, krzesła i nawet na ścianach wiszą obrazy. Siedzi tam czworo funkcjonariuszy więziennych, trzech mężczyzn i jedna kobieta. Marsland, najwyższy rangą przedstawiciel służby więziennej wśród obecnych, z dwiema gwiazdkami na pagonach*, potwierdza pogłoskę, że ponieważ nie będę tu długo, umieści mnie na oddziale dla do-

żywotnich. Najwidoczniej nie potrafiłem ukryć przerażenia, gdyż śpieszy mnie uspokoić:

- Przekona się pan, że to najspokojniejszy oddział w więzieniu, gdyż większość więźniów ma wyroki od dwunastu do dwudziestu pięć ciu lat i unika ekscesów. Inaczej nie mieliby szans na przeszerogowa nie do kategorii B albo C, nie mówiąc o zwolnieniu warunkowym.

I znowu to, co słyszę, całkiem odbiega od tego, co człowiek mógłby sobie wyobrazić.

- Mamy też prośbę - dodaje Marsland, spoglądając na kartkę papieru. - Pani Williamson prowadzi kurs pisania kreatywnego i chciałaby wiedzieć, czy wygłosiłby pan wykład dla uczestników.

- Oczywiście - odpowiadam. - Ile osób bierze zwykle udział w zajęciach?

- Ze względu na pana spodziewamy się rekordowej frekwencji - oznajmia pani Williamson. - Liczę na dwanaście osób.

Nie przemawiałem do dwunastoosobowego audytorium, od czasu gdy byłem kandydatem do Greater London Council z okręgu Romford trzydzieści lat temu.

- Jest pewien problem - ciągnie Marsland. - Niestety, na oddziale dla dożywotnich nie mamy w tej chwili żadnej wolnej pojedynki, więc nie będzie pan sam w celi.

Zmartwiałem. Czy będę skazany na towarzystwo mordercy, gwałciciela albo narkomana lub połączenie wszystkich trzech w jednej osobie?

- Postaramy się jednak znaleźć panu jakiegoś znośnego współlokatora - obiecuje i wstaje na znak, że rozmowa skończona.

Wracam do swojej gromadki więźniów, ale po kilku chwilach zabierają nas do nowych cel.

Ponownie zostają ulokowany na najwyższym piętrze - przypuszczam, że ze względów bezpieczeństwa.

* Jedna gwiazdka oznacza starszego funkcjonariusza służby więziennej, dwie - przełożonego.

63

Cela numer 40 jest trochę obszerniejsza od celi numer 29, gdzie ostatnio rezydowałem, ale z pewnością nie dwa razy większa, chociaż musi pomieścić dwóch więźniów. Ma siedem kroków na cztery, a nie jak tamta pięć na trzy, a pod ścianą w głębi, na wprost ubikacji, znajduje się małe łóżko piętrowe, które byłoby bardziej na miejscu w przedszkolu.

Okazuje się, że moim współlokatorem jest Terry. Terry pisarz. To ten, który podszedł do mnie na dziedzińcu i spytał, czy przeczytał-

bym jego rękopis. Wsadzono go do jednej celi ze mną, bo nie pali, co jest wśród więźniów rzadkością, a przepis więzienny mówi, że jeśli ktoś nie pali, nie może dzielić celi z palaczem. Kierownictwo więzienia przypuszczało, że znam tę zasadę. Nie znałem jej.

Jak już wspomniałem, Terry ma w połowie gotową powieść i wydaje się zadowolony, że będę jego współtowarzyszem. Później dowiaduję się dlaczego - i wcale nie chodzi o pomoc w szlifowaniu składni.

Z pozoru Terry jest fgrzeczny i przyjacielski i choć wciąż go proszę, żeby mówił mi po imieniu, z uporem tytułuje mnie panem Archerem.

Uzgadniamy, że on zajmie górną pryczę, ja zaś dolną ze względu na wiek. Szybko się przekonuję, że jest bardzo schludny, chętnie ścieli obie prycze, zamiata podłogę i regularnie opróżnia plastikowe wia-derko.

Rozpakowuję plastikową torbę i układam moje rzeczy w małej szafce nad łóżkiem. Kiedy obaj kończymy się rozpakowywać, wyja-

śniam Terry'emu, że piszę sześć godzin dziennie i mam nadzieję, że nie weźmie mi za złe, jeżeli nie będę się do niego odzywał w trakcie dwugodzinnych sesji. Wydaje się zadowolony z takiego układu i tłumaczy, że sam chce szybko pracować nad swoją powieścią. Zamierzam go zapytać, jak mu idzie, kiedy drzwi się otwierają i do celi wchodzi oddziałowy, który przechwycił moją świeżo uprasowaną bia-

łą koszulę. Najpierw przeprasza, a potem oświadcza, że musi skonfiskować koszulę, bo gdybym ją włożył, można by mnie omyłkowo wziąć za członka personelu więziennego. To jest koszula, o której upranie i uprasowanie poprosiłem Petera, żeby dobrze się zaprezentować podczas odwiedzin Williama i Jamesa. Została mi teraz tylko jedna niebieska koszula i jeden (pożyczony) podkoszulek. Strażnik wkła-da moją białą koszulę do kolejnej plastikowej torby, a ja muszę wy-pełnić jeszcze jeden formularz. Zapewnia mnie, że koszula zostanie mi zwrócona, kiedy odsiedzę swój wyrok:

64

12.00 w południe

Skończyłem drugą turę pisania, gdy otworzono drzwi i wypuszczono nas na Godzinę Wspólną. Dożywotni więźniowie (23 morderców plus kilku skazanych za rzeczywiste uszkodzenie ciała i ciężkie uszkodzenie ciała), mężczyźni w wieku od dziewiętnastu do pięćdziesięciu lat, patrzą na mnie podejrzliwie. Nie dość, że jestem konserwatystą i mi-lionerem, ale - co o wiele gorsze - będę razem z nimi tylko przez kilka dni, a potem zostanę wyekspediowany do więzienia otwartego. Oni na to nie mają szans przynajmniej przez dziesięć lat. Z tą szczególną grupą więźniów będzie o wiele trudniej przełamać lody niż z młodymi, świeżo opierzonymi kryminalistami z bloku trzeciego.

Spaceruję w kółko i w pewnym momencie przystaję, żeby rzucić okiem na telewizor. Mężczyzna

mniej więcej w moim wieku ogląda Errola Flynna i Davida Nivena w czarno-białej wersji „Szarzy lekkiej brygady”. Siadam obok niego.

- Jestem David - mówi. - Nie goliłeś się dzisiaj.

Przyznaję się do grzechu i tłumaczę, że właśnie zacząłem, kiedy strażnik mi powiedział, że będę się przenoślił.

- Rozumiem - rzecze David. - Ale wiesz, Jeffrey, jesteś za stary na dwudniową szczecinę. Wszyscy dożywotniacy się golą - mówi. -

W tym piekle człowiek musi się starać zachować chociaż elementarną godność - dodaje - a chyba najlepszy sposób na rozpoczęcie dnia to wziąć gorący prysznic i porządnie się ogolić.

W trakcie oglądania filmu David gawędzi, jakby to był jakiś podkład muzyczny. Usprawiedliwia się, że nie czytał żadnej mojej książki, zapewniając mnie, że jego żonie wszystkie się podobały, on zaś ma czas na czytanie tylko wtedy, gdy jest w więzieniu. Powstrzymuję się od zadania mu oczywistego pytania.

- A co teraz czytasz? - pytam.

- „Life of Dickens” Ackroyda - odpowiada. I, jakby wyczuwając moje niedowierzanie, dodaje: - Ten Micawber, co za typ, ale tak jak mój ojciec zawsze tonie w długach. Przypomnij mi, jak on miał na imię?

- Wilkins - odpowiadam.

- Sprawdzam cię, Jeffrey, tylko sprawdzam. Tak naprawdę próbo- wałem któregoś dnia pożyczyć jakąś twoją książkę w bibliotece, ale zdjęli je z półek. Szczyt bezczelności! Powiedziałem im, że chcę przeczytać tę cholerną książkę, a nie ukraść.

5. Dziennik więzienny

65

Zaczyna do mnie docierać, że niewielu więźniów używa przy mnie ordynarnych słów. Jeden z oglądających telewizję przechyla się w moją stronę i pyta, czy to prawdziwa opowieść. Przypominam sobie wiersz Tennysona o sześciuset walecznych i jestem pewien, że Errol Flynn nie przedarł się konno przez pierwszą linię nieprzyjaciół i nie zatopił szpady w sercu ich dowódcy.

- Pewnie, że to zrobił - powiada David. - Miał to w kontrakcie.

Tym razem udaje się nam obejrzeć ostatnie sceny, bo pełniący służbę funkcjonariusz sprawdził, kiedy film się kończy. Wolał nie mieć do czynienia z trzydziestoma czy czterdziestoma zawiedzionymi więź-
niami skazanymi na dożywocie.

O pierwszej zaprasza się nas z powrotem do cel. Owo zaproszenie zostaje wykrzyczane na cały głos przez funkcjonariusza. W celi na dolnej pryczy czeka na mnie dwieście nowych listów. Wszystkie są otwarte, zgodnie z regulaminem więziennym, który nakazuje sprawdzić, czy w korespondencji nie kryją się narkotyki, żyletki albo pieniądze. Na czytaniu wszystkich po kolei „zaplombowanemu w celi” człowiekowi mijają niepo-strzeżenie dwie godziny. Zaczynam myśleć żargonem więziennym.

Jak się zdaje, ludzie są szczerze zatroskani moim położeniem. Wielu komentuje sędziowskie przemówienie końcowe i surowość wyroku, inni natomiast zauważają, że bandyci napadający na banki, pedofile, a nawet oskarżeni o nieumyślne spowodowanie śmierci często wywi-
-jają się dwu- albo trzyletnim wyrokiem. Często w listach powtarza się pytanie: Czym naraziłeś się sędziemu Pottsowi? Przyznaję, że nie znam na nie odpowiedzi, ale nie przeczę, że trzeciego, czwartego i siódmego dnia procesu prosiłem mojego obrońcę Nicka Purnella, żeby pomówił z sędzią na osobności na temat jego oczywistego uprzedzenia do mnie i poprosił o ponowny proces. Jednak

obrońca odradził

mi ten krok, argumentując, że w rezultacie proces zamieniłby się w otwartą batalię między nami dwoma. Proszę nie podejrzewać, że zmyśliłem sobie to wszystko po fakcie; w trakcie procesu zwierzyłem się również ze swoich obaw radcom królewskim Michaelowi Beloffowi, Gilbertowi Grayowi i Johnniemu Nuttingowi.

Dopiero w drugiej godzinie czytania natrafiłem na list z żądaniem, żebym przeprosił wszystkich, którym sprawiłem zawód. Następny w ster-cie list jest od Mary. Czytam go wiele razy. Na początku zauważa, że nie pamięta, kiedy ostatnio do mnie pisała. Przypomina mi, że tego ranka jest na Uniwersytecie Strathclyde, gdzie prowadzi letnią sesję na temat 66

energii słonecznej. Towarzyszy jej prasa światowa i nasz syn Will. Dzięki Ci, Boże, za Willa. Jest naszą opoką. Pod koniec tygodnia Mary leci do Drezna, żeby wziąć udział w następnej konferencji, i ma nadzieję, że zdąży wrócić i odwiedzić mnie w Belmarsh w niedzielę rano. Brak mi jej i dzieci, jeszcze jak mi brak, ale przede wszystkim chciałbym, żeby prasa wkrótce się mną znudziła i pozwoliła Mary prowadzić własne życie.

Kończę czytać listy i Terry pomaga mi je wkładać do czterech wielkich szarych kopert, w których zostaną wysłane do Alison, mojej asy-stentki, aby każdy, kto zadał sobie trud napisania do mnie, dostał odpowiedź. Pakując listy, Terry zaczyna mi opowiadać historię swojego życia i jak to się stało, że znalazł się w więzieniu. Terry nie odsiaduje dożywocia, co pewno też było argumentem, żeby umieścić nas w jednej celi.

Terry był dwukrotnie w więzieniu, zdobywszy uprzednio ostrogi w zakładzie poprawczym i areszcie śledczym. Zaczął wachać rozpusz-czalnik jako dziecko, a kiedy miał dwanaście lat, przeszedł na haszysz.

Popełnił pierwsze przestępstwo, kiedy obrabował miejscowy sklepik z gazetami, żeby mieć pieniądze na narkotyki. Skazano go na dwa la-ta więzienia, z czego odsiedział rok. Drugi wyrok dostał za obrabowa-nie jubilera w Margate z wyrobów wartości trzech tysięcy funtów, za które miał nadzieję dostać osiemset od londyńskiego pasera. Policja przyłapała go na gorącym uczynku (jego własne słowa) i został

skazany na pięć lat. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata. Odsiedział trzy i pół, po czym go zwolniono.

Terry był na wolności zaledwie siedem miesięcy, kiedy z zakładu optycznego ukradł na zamówienie wyroby znanych projektantów, jak Cartier, Calvin Klein i Christian Dior. Dostał za to dziewięćset funtów gotówką, ale go aresztowano tydzień później. Odciski pozostawione na szybie wystawowej, którą roztrzaskał, zgadzały się z odcis-skami jego palców i policja miała tylko jednego podejrzanego. Sędzia skazał go znów na pięć lat.

Terry liczy na to, że go zwolnią w grudniu tego roku. Twierdzi, że w więzieniu odzwyczaił się od narkotyków, i cieszy się, że nigdy nie spróbował heroiny. Terry nie jest głupcem i mam nadzieję, że kiedy wyjdzie, już nie wróci trzeci raz. Zaklina się, że nie, ale jeden z funkcjonariuszy mi powiedział, że dwie trzecie recydywistów wraca do wię-zienia w ciągu roku.

- Mamy swoich stałych gości, jak każdy hotel w kurorcie, z tym że my nie pobieramy opłat za nocleg ze śniadaniem.

67

Terry opowiada mi o swojej matce, kiedy nagle rozlegają się dzikie wrzaski, rozbrzmiewające rozgłośnym echem w całym bloku. Po raz pierwszy się cieszę, że drzwi mojej celi są zaryglowane. Więźniowie z bloku pierwszego wrzeszczą na mężczyznę, prowadzonego na oddział

medyczny po drugiej stronie dziedzińca. Nie zapomnę tego oddziału.

- O co chodzi? - pytam, spoglądając przez okienko celi.

- To zbok - tłumaczy Terry. -

Zbok?

- Pedofil. Jakby był w naszym bloku, to już dawno byśmy mu zde-fasonowali pysk.

-Jak?

- Do dzbanka wrzątku - tłumaczy Terry - sypie się cukier, żeby zrobić się syrop. Dwóch chłopaków przytrzymuje łobuza, a trzeci ob-lewa mu tym powoli twarz.

- Boże, to musi być straszne!

- Najpierw schodzi skóra z twarzy, a potem cukier wżera się w cia-

ło, tak że taki zbok jest oszpecony do końca życia - na nic innego nie zasługuje.

- Czy byłeś kiedy świadkiem czegoś takiego? - pytam.

- Trzy razy - odpowiada Terry rzeczowo. - Raz, jak załatwiali pedofila, potem handlarza narkotykami i jeszcze przy awanturze z go-

ściem, który nie zwrócił karty telefonicznej za dwa funty. - Po chwili dodaje: - Gdyby tego zboka dali na ten blok, w ciągu dwudziestu czterech godzin byłby martwy.

Jestem przerażony, więc mogę sobie tylko wyobrażać, w jakim strachu żyją tamci. Z chwilą gdy więzień znika w centrum medycznym, krzyki ustają.

4.00 po południu

Drzwi celi w końcu się otwierają i zostajemy wypuszczeni na spacer. Kiedy wykonuję pierwsze okrążenie, około dwustu jardów, podchodzi do mnie młody więzień - jak się zastanowić, to wszyscy oprócz mnie i Davida są młodzi. Ma na imię Nick i gdyby nie krzywy przedni ząb i złamany nos, mógłby uchodzić za przystojnego. Siedzi w więzieniu od czternastu lat, a sam ma ich tylko trzydzieści trzy, ale liczy na to, że wyjdzie na wolność za cztery lata, o ile uda mu się wy-migać od najnowszej pajdy.

68

- Pajdy? - dziwię się.

- Tak, próbują mnie zrobić w podpalenie, po tym jak narozrabiałem w Durham, ale nie mają żadnego dowodu, że to ja podpaliłem celę, i będą musieli wycofać oskarżenie.

Podchodzi do niego inny więzień, który właśnie skończył odsiadywać cztery z osiemnastu lat.

Więźniów skazanych na dożywocie cechuje całkiem inne nastawie-nie niż pozostałych. Często mówią: „Nawet nie próbuj liczyć pierwszych sześciu lat”. Pogodzili się z tym, że nie wyjdą na wolność za tydzień, za miesiąc ani za rok i przygotowali się na długi pobyt w więzieniu. Większość z nich odnosi się do mnie z szacunkiem i nie pozwala sobie na żarty i docinki.

Podczas drugiego okrążenia podchodzi do mnie Mikę (rabunek z bronią w ręku), który mi mówi, że wczoraj wieczorem słuchał w radio Teda Francisa i Maksa ClifForda, i dodaje, że chłopaki nie mogą się wprost doczekać, żeby któryś z nich trafił do kicia.

- Nie lubimy takich, co wrabiają swoich kumpli, zwłaszcza dla for sy - powiada.

Trzymam się wytrwale rady Nicka Purnella i nie komentuję tego ani słowem.

Gdy wracam do celi, Terry akurat wybiera się na kolację. Ja się wzdragam, ale on nalega, żebym mu towarzyszył, bo dziś wieczór jest jego ulubiony pudding ananasowy. Idę z nim i wybieram kilka przy-palonych pieczarek po to, żeby dostać przysmak dla Terry'ego.

Zanim zdążyłem dotrzeć do celi, Terry zabrał się do zamiatania podłogi i mycia umywalki. Mam szczęście, że mieszkam pod jednym dachem z kimś, kto jest schludny i pilnuje, żeby wszystko było na

swoim miejscu. Terry siada na łóżku i przeżuwa swój posiłek, ja natomiast czytam, co napisałem w tym dniu. Terry kończy kolację i myje swój talerz, nóż, widelec i łyżkę, po czym składa je porządnie w kącie na podłodze. Nadal czytam swój tekst, Terry zaś sięga po Biblię. Wybiera List do Hebrajczyków, którego, przyznaję, nigdy nie czytałem, i zgłębia go w ciszy przez następną godzinę.

Skończywszy pracę na ten dzień, powracam do książki „Księżyc jest balonem”, którą odkładam tuż po dziesiątej, w momencie wypowiedzenia wojny. Poduszki są trochę miększe od tych w bloku trzecim, co konstatauję z ulgą.

Dzień siódmy

Środa, 25 lipca 2001

5.17 rano

- Odepierz się! - budzi mnie głośny krzyk.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że to Terry krzyczy przez sen.

Mamrocze jeszcze coś, czego nie mogę zrozumieć, i nagle się budzi. Schodzi z łóżka, jakby nieświadom, że ktoś jest na dolnej pryczy. Leżę bez ruchu, ale oczy mam otwarte i pilnie go obserwuję. Nie boję się, chociaż Terry dopuszczał się w przeszłości przemocy. Nie zauważyłem nic, co by na to wskazywało. W istocie, mimo że używa wulgarnego języka w swojej powieści, nigdy przy mnie nie klnie - w każdym razie nie na jawie.

Terry podchodzi wolno do ściany i wtyka głowę w róg celi jak kot, który czuje nadchodzącą śmierć. Przez pewien czas stoi nieporuszony, potem się odwraca, chwyta ręcznik wiszący przy umywalce, siada na plastikowym krzeselku i ukrywa w ręczniku twarz. Zrozpaczony i nieszczęśliwy. Próbuję sobie wyobrazić, co się dzieje w jego udręczonym umyśle. Podnosi wolno głowę i wpatruje się we mnie, jakby nagle sobie przypomniał, że nie jest sam.

- Przepraszam, panie Archer - mówi. - Czy pana obudziłem?

- Nieważne - odpowiadam. - Czy chce pan ze mną porozmawiać?

- To powracający koszmar - powiada - ale z niewiadomych powodów wciąż ostatnich dwóch tygodni jeszcze bardziej spotworniał.

Kiedy byłem dzieckiem - milknie, niewątpliwie zastanawiając się, czy mi się zwierzyć - ojczym bił mnie i moją mamę skórzanym pasem, i nagle, po tylu latach, zaczęło mi się to śnić.

- Ile miał pan wtedy lat? - pytam.

- Chyba sześć, ale to trwało aż do śmierci mojej mamy, kiedy miałem szesnaście.

- Jak umarła pańska matka? - pytam. - Przecież nie była jeszcze stara.

- To trochę tajemnicza sprawa - mówi Terry cicho. - Na pewno wiem tylko tyle, że jej ciało znaleziono we frontowym pokoju przy ko-minku, a potem mój ojczym zmył się do Brighton razem z moją przyrodnią siostrą.

Odnoszę wrażenie, że Terry dobrze zna okoliczności śmierci matki i świetnie wie, kto był sprawcą, ale nie chce podzielić się ze mną tą informacją. Skądinąd wie też, że piszę dziennik.

- I co się z panem stało, kiedy on się ulotnił do Brighton?

- Zabrano mnie do sierocińca, potem umieszczono w domu poprawczym, w izbie dla nieletnich, a w końcu posłano do więzienia - to inna edukacja od pańskiej.

Jak ci z nas, którzy mieli względnie normalne dzieciństwo, mogą zrozumieć, przez co przeszedł ten młody człowiek - i co teraz przeżywa?

- Przepraszam - powtarza, po czym włązi na górną prycę i bły skawicznie zasypia.

Wstaję z łóżka, myję zęby, ocieram twarz myjką zmoczoną w zim-nej wodzie i przystępuję do pierwszej tego dnia tury pisania. O tak wczesnej porze wszyscy więźniowie śpią albo przynajmniej tak mi się wydaje, bo z sąsiednich cel nie dochodzi najłżejszy dźwięk. Nawet poranny obchód patrolu ze szczekającymi wilczurami już mi nie prze-szkadza.

W Londynie mieszkam w pobliżu linii kolejowej, która biegnie do stacji Waterloo, ale nocne i wczesnoporanne pociągi nigdy mnie nie budzą. W więzieniu to znów muzyka rap, krzyki obrzucających się obelgami więźniów i szczekanie owczarków alzackich nie przerywają snów skazanym na dożywocie. Zakończywszy dwugodzinną se-sję pisania, rozpocynam przydługi proces golenia.

Chociaż moje życie toczy się według bezsensownego porządku, mam nadzieję, że przynajmniej dziś się z niego wyłamie. Zapisalem się na godzinną sesję między dziesiątą a jedenastą na sali gimnastycznej, ponieważ brak mi moich codziennych ćwiczeń.

9.06 rano

Tuż po dziewiątej drzwi celi się otwierają i kobieta w białym fartu-chu podaje mi tygodniowy zestaw prowiantów wartości dwunastu 71

funtów i pięćdziesięciu pensów. Dziękuję jej, ale nie odpowiada. Siadam na łóżku, rozpakowuję po kolei każdą rzecz. Z rozkoszą zabieram się do miski płatków kukurydzianych, pływających w świeżym mleku. Taki posiłek spożywam zwykle w kuchni w moim domu, godzinę przed pójściem na salę gimnastyczną. Zawsze prowadziłem zdy-scyplinowane, uporządkowane życie, ale teraz to już nie jest samody-scyplina, bo kto inny wydaje rozkazy.

10.00 rano

Chodzę tam i z powrotem po celi, czekając na wezwanie na ćwiczenia, kiedy ktoś z dołu ryczy:

- Ćwiczenia fizyczne odwołane!

Posępnieję i spoglądam w zakratowane okno, zastanawiając się, dlaczego. Kiedy w końcu drzwi zostają otwarte, żeby nas wypuścić na Godzinę Wspólną, przed moją celą zjawia się Derek przezwany

„Del Boyem”*, który obsługuje kuchenkę i, jak się wydaje, porusza się swobodnie po całym bloku.

- Dlaczego odwołano ćwiczenia fizyczne? - pytam.

- Jakiś więzień wydostał się na dach sali gimnastycznej przez świetlik - wyjaśnia. - Sala będzie zamknięta do odwołania, dopóki się nie sprawdzi każdego możliwego wyjścia i kierownictwo nie uzna, że jest zabezpieczona. - Szczęrzy zęby, zadowolony ze swej roli wyroczeni więziennej. - Czy jeszcze w czymś mogę pomóc, dziedzicu? - zapytuje.

- Proszę o gotowaną wodę i blok do pisania formatu A cztery -

odpowiadam.

- Już się robi, dziedzicu.

Nauczyłem się, że nie należy pytać, ile trzeba kombinacji, żeby spełnić taką prostą prośbę. James zaznajomił mnie już pierwszego dnia z używanym w więzieniu terminem „dubelt”, oznaczającym, że za niektóre przysługi trzeba odpłacać dwukrotnie. Wczoraj wieczorem podczas Godziny Wspólnej widziałem, jak Derek przecina na pół

skręta i podaje połówkę innemu więźniowi. To było w czwartek i biedak wiedział, że będzie mógł zwrócić dług dopiero dziś, kiedy otrzyma

* Del Boy razem ze swoim bratem Rodneyem to para sympatycznych kombinatorów i cwaniaków, bohaterów niezwykle popularnej komedii BBC „Only Fools and Horses” (przyp. tłum.).

nową dostawę z kantyny. Ale tak bardzo pragnął zapalić, że się zgodził, wiedząc, że będzie musiał oddać Derekowi całego papierosa, al-bo nigdy więcej nie ubije z nim żadnego interesu - ani z nikim innym.

11.10 rano

Pewno było kilka minut po jedenastej, kiedy ktoś szarpnął drzwi mojej celi i zobaczyłem, że stoi w nich Loughnane. Już sam jego widok podnosi mnie na duchu. Mówi, że rozmawiał ze swoim odpowiednikiem w więzieniu otwartym w Ford, który przekaże sprawę naczelnikowi, gdyż sam nie jest uprawniony do podjęcia ostatecznej decyzji.

- Jak pan sądzi, ile to potrwa?

- Najwyżej dwa dni. Przypuszczam, że da mi odpowiedź w piątek, a potem skontaktuję się z Grupą 4.

Tę prostą sprawę przeciętny biznesman załatwiłby w ciągu co najwyżej dwóch godzin. Pierwszy raz od lat muszę się dostosować do cudzego rytmu.

1.00 po południu

Wysyłają nas wszystkich do pracy. Wyznaczono mnie do „warsztatów”, gdzie będę pakował torby ze śniadaniem, które zostaną dostarczone do innych więzień. Moje wynagrodzenie wyniesie 50 pensów za godzinę. Nowa polityka laburzystów w sprawie minimalnej płacy ja-koś nie objęła skazanych przestępców. Prawda wygląda tak, że jeste-

my niewolniczą siłą roboczą. Już mam dołączyć do zespołu więźniów, kiedy Young, funkcjonariusz więzienny, poleca mi czekać, aż więźniowie odejdą do pracy. Wraca kilka minut później i mówi, że dostałem tak dużo przesylek poleconych, iż postanowiono, żebym sam po nie przyszedł, zamiast przynosić mi całą stertę do celi.

Kolejny długi spacer w innym kierunku, jeszcze więcej otwierania i zamykania krat; w trakcie wędrówki dowiaduję się, że Young pracuje w służbie więziennej jedenaście lat i otrzymuje roczną zasadniczą płacę w wysokości dwudziestu czterech tysięcy funtów, za co jest trudno, o ile nie niemożliwe, utrzymać się w Londynie.

Przybywamy do rejestracji, gdzie za kontuarem stoi dwóch funkcjonariuszy przed rzędami niemiłosiernie zatłoczonych drewnianych półek. Pearson zdejmuje trzydzieści dwa polecone listy i paczki z pół-

ki i kładzie je na ladzie. Otwiera jedną po drugiej przy mnie -zgodnie z przepisami. Potem dwaj funkcjonariusze układają osobno Biblie i książki na małą kupkę i osobno prezenty, a następnie wkładają wszystko do plastikowej torby i, kiedy pokwitowałem, wręczają mi.

- Peach - ogłasza Pearson.

Na to wezwanie zgłasza się inny więzień, w którego obecności zostaje otwarta paczka. Znajdują się w niej najmodniejsze buty trenin-gowe Nike, przysłane mu przez dziewczynę.

Ściskając plastikowe torby, obaj idziemy w towarzystwie Younga do bloku pierwszego. Po drodze przeproszam Peacha - nie udało mi się dowiedzieć, jak ma na imię - że musiał przeze mnie czekać.

- Nic nie szkodzi - odpowiada. - Dzięki panu byłem blisko godziny poza celą.

Young opowiada nam o różnych bolączkach służby więziennej. Jesteśmy właśnie przy dodatkowych świadczeniach i pracy na zmiany, kiedy włącza się alarm i ze wszystkich stron biegną ku nam strażnicy.

Young prędko otwiera najbliższą przejściówkę i wpycha tam mnie i Peacha, zamykając dokładnie drzwi. Patrzymy przez okna na prze-biegających strażników, ale nie mamy sposobu, żeby się dowiedzieć, skąd to zamieszanie. Kilka chwil później jakiś więzień, którego trzymają trzech strażnicy i otacza kilku innych, jest wleczony korytarzem w przeciwną stronę. Jeden strażnik przyciska mu głowę do dołu, inny przygina nogi, tak że kiedy przesuwa się koło nas, ma się wrażenie, że to marionetka poruszana niewidzialnymi sznurkami. Peach mi mó-

wi, że chodzi o to, żeby „przydusić” i „spętać”, a sam ten proces nazywa się „opanowanie i ujarzmienie”.

- Co takiego?

- Więźnia wloką do „rozbieralni”, tną na nim ubranie nożycami, zakuwają mu ręce, krępują nogi za plecami, a na koniec opasują go wokół bioder pasem z kajdankami po obu stronach, tak żeby nie mógł

poruszyć rękami ani nogami.

-1 co potem?

- Zabierają go do celi izolacyjnej - objaśnia Peach. - Wsadzają go do pojedynki, w której jest metalowy zlew, metalowy stół i metalowe krzesło, wszystko przymocowane do ściany, tak że niczego nie może zdemolować.

- Jak długo go tam trzymają?

- Około dziesięciu dni - mówi Peach. ”

- Siedział pan kiedy w takiej celi? - pytam.

- Nie - pada zdecydowana odpowiedź. - To najpewniejszy sposób na przedłużenie wyroku, a ja chcę się stąd jak najszybciej wydostać.

Jak tylko sytuacja się uspokaja, wraca Young i wypuszcza nas.

Idziemy, jakby nic się nie wydarzyło, do naszych cel.

Każdy blok składa się z czterech skrzydeł, które biegną od środka na kształt ramion krzyża maltańskiego. W środku jest ośmiokątne przeszklone biuro, tak zwany bąbel, usytuowane w centralnym punkcie trzech pięter. Stamtąd personel więzienny może dostrzec i opanować wszelkie zagrożenia. Kiedy przechodzimy obok, pytam strażnika pełniącego służbę, co się stało.

- Jeden z więźniów - mówi - groził strażniczce i obrzucił ją obelgami. - Nie dodaje ani słowa więcej do tej skąpej informacji.

Już w celi Terry mi mówi, że jutro rano więzień stanie do raportu przed naczelnikiem. Potwierdza też, że prawdopodobnie spędzi dziesięć dni w odosobnieniu.

- Był pan kiedyś w izolatce? - pytam.

- Trzy razy - przyznaje. - Ale byłem wtedy młodszy i zapewniam pana, że tego nie polecam, nawet jako doświadczenia do opisanego w pańskim dzienniku. Co mi przypomina - dodaje - że właśnie telefonowałem do mojego ojca. „Daily Express” oferuje mu tysiąc kawał-

ków za moją fotografię - kryminalisty, z którym Jeffrey musi siedzieć w jednej celi - i proponują następny tysiąc, jeżeli im opisz ze szczegó-

łami moją przestępczą przeszłość. Powiedział im, żeby się odwalili, ale oni depczą mu po piętach. Byli rozczarowani, kiedy im powiedział, że nie jestem mordercą.

- W niedzielnym wydaniu gazety już pan nim będzie - zapewniam go.

2.00 po południu

Jakiś inny funkcjonariusz otwiera drzwi i oznajmia, że popołudniowa Godzina Wspólna zostanie skrócona, ponieważ personel więzienny ma zebranie. Terry mówi mu, że zebranie personelu powinno się odbywać, kiedy jesteśmy zaplombowani, a nie podczas Godziny Wspólnej. Ma rację, ale funkcjonariusz odpowiada tylko, że to nie jego decyzja, i zatrzaskuje drzwi.

2.02 po południu

Prawie nie do opisania w całym swoim okropieństwie jest czas, jaki człowiek spędza zamknięty w celi, zaplombowany. Więc proszę nie uważać tego dziennika za relację na żywo, lecz pomyśleć o niekończących się godzinach pomiędzy. Jeden Bóg wie, jak to oddziałuje na skazanych na dożywocie, którzy nie widzą końca swego uwięzienia i nie mogą wypeł-

nić czasu pisaniem. Ja karmię się nadzieją - to słowo nieustannie gości na ustach więźniów. Mają nadzieję, że wygrają sprawę, że ich wyrok bę-

dzie skrócony, że zostaną zwolnieni warunkowo albo chociaż przeniesieni do pojedynczej celi. Ja, jako więzień kategorii D, po prostu mam nadzieję, że przeniosą mnie jak najszybciej do więzienia otwartego w Ford. Jednak tylko jeden Bóg wie, jaką nadzieją żyje więzień skazany na dożywocie. Postanawiam spróbować się tego dowiedzieć w następnych dniach.

4.30 po południu

Godzina Wspólna. Nareszcie drzwi celi otwierają się na dłużej - na czterdzieści pięć minut. Kiedy schodzę na parter, żeby dołączyć do współwięźniów, Paul (morderstwo) wręcza mi karnet znaczków pierwszej klasy i nie żąda nic w zamian. Może nie ma do kogo pisać, a mo-

że nie umie.

- Słyszałem, że ma pan problemy z opłatą pocztową - mówi tylko i odchodzi. Nie tłumaczę mu, że moja asystentka załatwia całą moją korespondencję, więc nie muszę się tym kłopotać, bo to by tylko umniejszyło jego życzliwy gest.

W czasie Godziny Wspólnej zauważam, że wysoka otwierana krata na końcu sali prowadzi do dalszego, obszerniejszego pomieszczenia, które ma własny telewizor, stół bilardowy i wygodniejsze krzesła. Nie mam wstępu na ten uświęcony teren, bo tylko więzień wyższej kategorii może opuścić obszar ograniczony.

Więźniowie dzielą się według trzech stopni: podstawowego, standardowego i wyższego. Każdy skazaniec zaczyna odsiadywać wyrok ze stopniem standardowym - pośrodku. Z tego poziomu może pójść w górę albo spaść w dół, co zależy wyłącznie od jego zachowania.

Ktoś, kto chce wziąć na siebie większą odpowiedzialność, na przykład zostać Powiernikiem, roznosicielemierbaty albo sprzątaczem, 76

szybko awansuje do statusu wyższego i będzie się cieszył związanymi z nim przywilejami. Jednak ten, kto zaatakuje funkcjonariusza wię-

ziennego albo zostanie przyłapany na zażywaniu narkotyków, zostanie zdegradowany do stopnia podstawowego. Te sprawy mają wpływ na poziom życia człowieka w więzieniu i liczą się, kiedy władze rozwa-

żają sprawę warunkowego albo wcześniejszego zwolnienia.

Terry, mój współtowarzysz, nie znosi władzy i odmawia podporządkowania się systemowi, dlatego żyje, skacząc od stopnia podstawowego do standardowego i z powrotem. Z drugiej strony Derek „Del Boy” Bicknell umiał skorzystać z systemu i szybko uzyskał wyższy status. Derek jest jednak bystry i chętny do podjęcia obowiązków.

Rządzi się na parterze i właściwie nigdy nie siedzi w swojej celi. Mam nadzieję, że w tej chwili już macie obraz Dereka, wysokiego, potężnej wagi Antylczyka z cienkim złotym łańcuszkiem na szyi, grubszym na prawym przegubie i najmodniejszym zegarkiem drogiej marki na rę-

ku. Nosi też modny dres i pantofle Nike. Na dobrą sprawę jestem jedynym więźniem, który

wciąż chodzi w koszuli, ale gdybym tu został
dłużej, też włożyłbym dres.

5.30 po południu

Jest pora kolacji, zwanej tu podwieczorkiem, więc wracam do celi po plastikową tacę i talerz. Dzisiaj w jadłospisie jest jajko i bekon, a ja jestem zbyt głodny, żeby powiedzieć „nie”. Żółtko jest zakrzepłe, a bekon tłusty, skręcony i niejadalny. Wypijam kubek wody Highland Spring (dostałem w zamian za dwa autografy na kartkach uro-dzinowych) i kończę posiłek miską zupy (minestrone, 24 pency). Podczas następnych wyborów nikt nie będzie mógł mi wytknąć, że nie znam cen produktów w supermarketach, nie mówiąc o ich prawdziwej wartości.

Terry myje nasze naczynia, a potem wracamy do współwięźniów zgromadzonych na Godzinę Wspólną na parterze. Na końcu sali Derek prowadzi klub karciany. Dlaczego nie jestem zaskoczony? Zaprasza mnie, żebym się dosiadł. Czterech więźniów skazanych na dożywocie gra w kaluki. Przyglądam się grze, starając się nie przeoczyć kolejki do telefonu, gdyż mam nadzieję porozmawiać z Mary. Powinna już wrócić z zajęć na Uniwersytecie Strathclyde i być w hotelu. Jak się zapewne zorientowaliście, ona do mnie nie może dzwonić.

Paul (morderstwo i znaczki) oznajmia, że musi zatelefonować do swojej dziewczyny, i proponuje, żebym go zastąpił w grze, kiedy pójdzie do kolejki.

- Jeff będzie lepszy od ciebie - mówi Derek, kiedy Paul się podno si, aby odejść.

Przegrywam sromotnie pierwszą partię, z trudem radzę sobie z na-stępną i wygrywam trzecią. Na szczęście przed czwartym rozdaniem Paul wraca.

- Jego Lordowska Mość nie jest zły - powiada Derek. - Można wytrzymać.

Powoli mnie akceptują.

Kolejka do dwóch telefonów wcale się nie zmniejsza, więc wdaję się w rozmowę z młodym dożywotnim, który ma na imię Michael (morderstwo). Jest bardzo blady, chudy jak szczapa i cały w tatuażach, a na rękach od góry do dołu ma ślady igieł. Zaprasza mnie do swojej celi i pokazuje fotografię żony i dziecka. Kiedy Michael wyjdzie z wię-

zienia, jego ośmiomiesięczna córeczka skończy szkołę, pewno wyjdzie za mąż i będzie mieć dzieci. Kiedy ten dwudziestodwuletni chłopak znajdzie się na wolności, może już być dziadkiem.

Wychodzę z celi Michaela, żeby dołączyć do współwięźniów, i wi-dzę panią Roberts, zastępczynię naczelnika, która mnie odwiedziła, kiedy byłem na oddziale medycznym. Otacza ją wianuszek więźniów skazanych na dożywocie. Ta kobieta umie kojąco oddziaływać na tych zdesperowanych mężczyzn.

Poddaję się i ustawiam w kolejce do telefonu, świadom, że szybko się zbliża moment, kiedy nas zamkną w celach. Kiedy nareszcie dopa-dam wolnego telefonu -jednego z dwóch - więzień, który stoi w drugiej kolejce, pochyla się do mnie i uprzedza, że wszystkie rozmowy z tych aparatów są nagrywane przez policję. Dziękuję mu, ale nie mo-gę sobie wyobrazić, żeby policjantów mogła zainteresować moja pogawędka z żoną. Odzywa się telefonista hotelowy i łączy mnie z pokojem Mary. Telefon dzwoni, dzwoni i dzwoni.

7.00 wieczorem

Wracam do celi, gdzie znowu czeka na mnie góra listów. Terry mi pomaga, wyjmując je z kopert i układając w kupki, kartki po jednej stronie, listy po drugiej, ja natomiast przeglądam tekst, który napi-78

sałem tego dnia. Terry pyta, czy może zachować którąś z kartek na pamiątkę.

- Tylko jeżeli nie ma na niej adresu - odpowiadam - bo nadal zamierzam odpowiedzieć wszystkim nadawcom.

Skończywszy poprawianie dziennej porcji tekstu, zabieram się do listów. Podobnie jak moje życie, układają się w samoistny wzór. Jedne zawierają kondolencje z okazji śmierci mojej matki, inne wyrazy życzliwości i poparcia. W

wielu nadal znajduję komentarze na temat przemówienia końcowego sędziego Potts'a i surowości wyroku. Muszę przyznać, że te listy przywracają wiarę w bliźnich... rodzaju męskiego i żeńskiego.

Alison, moja asystentka, pisze mi, że jeszcze więcej korespondencji przychodzi z każdą pocztą do mnie do domu, i potwierdza, że stosunek popierających mnie do tych, którzy mnie potępiają, wynosi trzysta do jednego. Podaję jeden z listów Terry'emu. To od jego kuzyna, który przeczytał w gazetach, że siedzimy w jednej celi. Terry mówi, że kuzyn odsiaduje dożywocie w Parkhurst za morderstwo. Dodaje, że nie rozmawiają ze sobą od lat. I pomyśleć, że ledwie dwie godziny temu byłem w podłym nastroju, bo nie udało mi się dzisiaj porozmawiać z Mary.

Dzień ósmy
Czwartek, 26 lipca 2001

5.03 rano

Spałem siedem godzin. Budzę się i zaczynam rozmyślać o moim pierwszym tygodniu w więzieniu. Najdłuższym tygodniu w moim życiu. Po raz pierwszy zastanawiam się nad przyszłością i nad tym, co mi niesie. Czy będę musiał pójść w ślady dwojga moich ulubionych bohaterów, Emmy Hamilton i Oscara Wilde'a i wybrać odosobnione życie za granicą, bez radości przebywania wśród społeczeństwa, które stanowiło tak ważną część mojej egzystencji?

Czy będę mógł odwiedzać dawne ulubione miejsca - Teatr Narodowy, stadion Lorda, Le Caprice, Tatę Gallery, kino na Fulham Road -

czy choćby chodzić ulicami, nie budząc u ludzi tylko jednego skojarzenia: „To jest ten, co poszedł do więzienia za krzywoprzysięstwo”? Nie mogę tłumaczyć każdemu z osobna, że nie miałem uczciwego procesu. To do mnie tak niepodobne - zagłębiać się w sobie i być pesymistą, ale kiedy człowiek przez wiele godzin dzień po dniu jest zamknię-

ty w celi, która ma siedem kroków na cztery, to zaczyna się zastanawiać, czy ktoś w ogóle wie, że jeszcze żyje.

10.00 rano

Młody funkcjonariusz nazwiskiem Highland otwiera drzwi celi i informuje mnie, że o wpół do jedenastej będę miał wizytę prawników.

Pytam, czy mógłbym wziąć prysznic i umyć włosy.

- Nie - pada odpowiedź. - Masz pan umywalkę.

To dopiero drugi opryskliwy funkcjonariusz więzienny, z jakim mam do czynienia, od kiedy tu jestem. Tłumaczę, że trudno wziąć prysznic w umywalce. Odpowiada, że niam „niewłaściwą postawę”

i że jeżeli będę się tak dalej zachowywał, to zgłosi mnie do raportu.

Mam takie uczucie, jakby film mojego życia nagle się cofnął i jakbym się znalazł z powrotem w szkole.

Gołę się i myję w umywalce najlepiej, jak umiem, po czym idę pod eskortą do innej części budynku na spotkanie z prawnikami. Zostaję ulokowany w pomieszczeniu, które ma na oko osiem kroków na osiem i okna we wszystkich czterech ścianach; zdarza się, że nawet adwokaci przynoszą narkotyki swoim klientom. W środku pokoju stoi wielki podłużny stół, wokół niego sześć krzeseł. Parę chwil później do pokoju wchodzi radca królewski Nick Purnell ze swoim młodszym wspólnikiem Aleksem Cameronem i moja adwokatka Ramona Mehta. Nick objaśnia mi procedurę odwołania od skazania i wyroku. Nie wierzy w pomyślny wynik apelacji w sprawie skazania mimo mnóstwa dowodów uprzedzeń sędziego podczas jego mowy końcowej i mówi, że tylko obecni na sali sądowej będą pamiętać, jak Potts akcentował i z jakim przesadnym naciskiem wymawiał niektóre słowa, zwracając się do ławy przysięgłych. Sędzia bez przerwy przypominał przysięgłym, że nie złożyłem zeznań i, trzymając w górze mały terminarz Angie Peppiatt, a nie mój duży biurowy, kilkakrotnie zauważył, że „nikt nie przeczy, iż to jest prawdziwy terminarz”. Jednakże nie zwrócił uwagi przysięgłych na to, że nawet gdyby ten terminarz został okazany podczas pierwotnego procesu, nie stanowiłby żadnego istotnego dowodu.

W sprawie wyroku Nick Purnell jest większym optymistą, gdyż kilku wybitnych przedstawicieli palestry wyraźnie dało do zrozumienia, że uważają cztery lata za karę nie tylko surową, lecz również niesprawiedliwą. Także szeroki ogół wydaje się powszechnie w zgodzie z profesjonalistami. Zmniejszenie wyroku może stanowić wielką różnicę, ponieważ wyrok czteroletni lub dłuższy wymaga uchylającej decyzji rady penitencjarnej. Wyrok krótszy, choćby nawet o jeden dzień, niż cztery lata oznacza, że skazany może być automatycznie zwolniony po odsiedzeniu połowy, jeżeli był wzorowym więźniem. Może również ubiegać się o za-

łożenie lokalizatora, co oznacza zyskanie kolejnych dwóch miesięcy, kiedy człowiek przebywa w wybranym miejscu zamieszkania między siódmą wieczór a siódmą rano następnego dnia*.

* Na przykład gdyby mój wyrok zmniejszono o jeden rok, z czterech do trzech lat, wtedy odsiedziałbym tylko szesnaście miesięcy i zostałbym zwolniony 19 listopada 2002 r., przy wyroku natomiast czteroletnim mogę być zwolniony najwcześniej 19 lipca 2003 r.

81

Zastanawiamy się wspólnie, czy to odpowiedni moment, żeby wystąpić z pozwem przeciwko Emmie Nicholson za to, iż sugerowała, że miliony funtów, które pomogłem zebrać dla Kurdów, do nich nie dotarły, nie wprost dając do zrozumienia, że trafiły do mojej kieszeni.

Nick podkreśla, że sir Nicholas Young, dyrektor naczelny Czerwonego Krzyża, stanął w mojej obronie, a nawet „Evening Standard”

stwierdził, że nie muszę dowodzić słuszności swojej sprawy. Alex mówi, że ukazało się kilka artykułów z poparciem dla mnie, między innymi autorstwa Trevora Kavanagha w „The Sun”. Zwraca też uwagę, że „Daily Telegraph” zaatakował Maksa Hastingsa.

Mówię Nickowi, że chcę wystąpić z powództwem przeciwko Tedowi Francisowi o zwrot dwunastu tysięcy funtów, które mi jest winien, i odwołanie jego twierdzenia, że ponad dwadzieścia lat temu widział, jak nigeryjska prostytutka wychodziła z okna mojej sypialni.

Byłby to prawdziwy wyczyn, gdyż on i ja mieszkaliśmy wtedy w innych hotelach, a mój pokój znajdował się na najwyższym piętrze.

Mam też nadzieję, że nieszczęsna dziewczyna była członkinią ekipy ratownictwa górskiego w Lagos.

Prawnicy rozumieją mój gniew, ale chcą czekać, aż sytuacja się uspokoi. Niechętnie się zgadzam, ale nie jestem przekonany. Nie mogę zapomnieć, że kiedy skarżyłem się Nickowi na pełną uprzedzeń postawę sędziego Potts'a przed rozprawą i w jej trakcie, odradził poruszanie tego tematu z nim w cztery oczy, uważając, że to tylko zaogni sytuację.

O pełnej godzinie zostawiam ich, aby powrócili do swojego świata, ja zaś wracam pod eskortą do mojego.

12.00 w południe

Rzuciwszy okiem na to, co podano na lunch, wracam do celi z pustym plastikowym talerzem. Wsypuję torebkę chrupków do otwartej puszkii mielonki, nalewam do kubka sok żurawinowy i rozcieńczam go wodą Highland Spring. Moje zapasy się kończą.

2.00 po południu

Do celi przychodzi funkcjonariusz Weedon i zawiadamia mnie, iż o trzeciej mam prywatne odwiedziny. ”

82

- Czyje? - pytam.

Sprawdza listę.

- Williama i Jamesa Archerów.

Już chcę powiedzieć, że szkoda, że nikt nie uprzedził mnie wczoraj, a nie tuż przed przyjściem moich synów. Jednak, skoro Highland już mi groził, że za taką bezczelność zgłosi mnie do raportu, postanawiam siedzieć cicho.

3.00 po południu

Strumień ponad osiemdziesięciu więźniów z wszystkich czterech bloków płynie w stronę sali widzeń. W trakcie długiej wędrówki na drugą stronę budynku natykam się na więźniów poznanych podczas mojego krótkiego pobytu w bloku trzecim. Przypomina to spotkania starych szkolnych kumpli.

- Co słyszeć?

- Co porabiasz?

- Czy spotkałeś...?

Kiedy docieramy przed salę widzeń, poddają nas o wiele bardziej drobiazgowej rewizji niż zwykle. „Del Boy” już mnie uprzedził, że personel obawia się przekazywania przy tej okazji pieniędzy, narkotyków, żyletek, noży, nawet broni i czegokolwiek, co może podać więź-

niowi krewny lub przyjaciel rodziny. Z przyjemnością się przekonuję, że mnie rewidują pobieżnie. Po rewizji proszą, żebym założył przez ramię żółtą szarfę, niczym dziecko, które wybiera się na rower. To znak, że jestem więźniem i nie będę mógł wyjść razem z synami po skończonych odwiedzinach. Muszę powiedzieć, że czuję się tą drob-nostką upokorzony.

Wprowadzają mnie do pomieszczenia wielkości dużej sali gimnastycznej. Krzesła są ustawione w pięciu długich rzędach, oznaczonych literami od A do E. Zgłaszam się do biurka stojącego na podwyższeniu, gdzie strażnik sprawdza listę, po czym każe mi iść do Cl 1. Wszyscy więźniowie siedzą po prawej stronie, naprzeciw odwiedzających, którzy zajmują miejsca po lewej. Pomiędzy nimi znajduje się niewielki, niski stół, przyśrubowany do podłogi, który ma oddzielać jednych od drugich. Górą biegnie balkon, z którego widać całą salę; rozmiesz-czeni na nim funkcjonariusze

pilnują, czy obie strony nie podają sobie czegoś przez stół. W obserwacji pomagają im kilka kamer wideo. Ogło-83

szenie na ścianie oznajmia, że nagrania mogą zostać użyte jako materiał dowodowy w dalszym postępowaniu sądowym, i dużymi literami głosi: TO ODNOSI SIĘ ZARÓWNO DO WIĘŹNIÓW, JAK I DO

ODWIEDZAJĄCYCH.

Mijam trzy rzędy i spostrzegam Williama, który siedzi sam. Zrywa się i miażdży mnie w uścisku, co mi uświadamia, jak bardzo za nim tęskniłem. James, jak mi mówi, jest w kantine i kupuje moje ulubione napoje. Pojawia się kilka minut później, niosąc tacę z dietetyczną colą i batonikami KitKat. Chłopcy wybuchają śmiechem, kiedy przysuwam wszystkie trzy butelki coli w swoją stronę i nie częstuję ich nawet kawałkiem batonika.

Will najpierw opowiada o wizycie Mary na Uniwersytecie Strathclyde, gdzie przed wykładem zwróciła się do dziennikarzy z krótkim oświadczeniem. Rozpoczęła uwagą, że jeszcze nigdy nie udało się jej uzyskać tak dużej frekwencji na wykładzie o konwersji energii słonecznej.

Will nie jest zdziwiony, że dostałem ponad tysiąc listów i kartek w pierwszych dniach w Belmarsh, i mówi mi, że w mieszkaniu jest ich prawie trzy razy tyle. James dodaje, że wyrazy poparcia słyhać ze wszystkich stron, również John Major i George Carey wydali życzliwe oświadczenia.

- Alison wypisała całą listę - ciągnie młodszy syn - ale nie wolno mi tu było nic wnieść, więc jutro wyślę ci ją pocztą.

Ta wiadomość bardzo podnosi mnie na duchu i budzi we mnie poczucie winy, że zważyłem, czy moi przyjaciele będą przy mnie trwać.

Uświadamiam chłopców, że piszę dziennik i będę się musiał zobaczyć z moim agentem Jonathanem Lloydem, wydawczynią Victorią Barnsley i redaktorem Robertem Laceyem, i to niedługo, ale zważywszy, że wolno mi przyjmować odwiedziny prywatne tylko raz na dwa tygodnie, nie chcę widywać nikogo poza rodziną, dopóki mnie nie przeniosą do otwartego więzienia.

Will mi mówi, że już się zapisał na następne odwiedziny za dwa tygodnie, ale ma nadzieję, że do tej pory przeniosą mnie do więzienia otwartego. Ponieważ nie czytam gazet ani nie słucham radia, bo mam serdecznie dość nieścisłych historii o sobie i o tym, co wyprawiam w Belmarsh, więc Jamie przekazuje mi najnowsze wiadomości na temat walki o przywództwo torysów. Relacjonuje, że badania opinii publicznej wyraźnie wskazują, iż ci, którzy opuścili szeregi konserwaty-84

stów w ostatnich wyborach, są za Kenem Clarke'em, faworytem członków partii natomiast jest Iain Duncan Smith. Lubię i podziwiam ich obu, chociaż żaden z nich nie jest moim bliskim przyjacielem. Jednak nie trzeba być geniuszem, żeby wykoncypować, że jeśli chcemy wygrać następne wybory albo przynajmniej na tyle znacząco osłabić większość rządową, by kręgi opiniotwórcze uznały, iż możemy wygrać kolejne, to należałoby wziąć pod uwagę zdanie elektoratu o tym, kto powinien być naszym przywódcą.

Zastanawiam się, czy nie wysłać Kenowi kilku słów, ale uświadamiam sobie, że to by nie pomogło jego sprawie.

Will mi opowiada, że radcy królewscy Michael Beloff, Gilbert Gray i Johnnie Nutting są w stałym kontakcie z moimi prawnikami.

Gilly się zastanawia, czy to nie Nick Purnell budzi niechęć Potts'a, bo w adwokaturze mówi się, że kilka razy podczas rozprawy wstępnej i potem w trakcie samego procesu rozzłościł się na Nicka i stracił panowanie nad sobą, ale nigdy w obecności przysięgłych.

- Nie - odpowiadam. - To nie miało nic wspólnego z Nickiem. To było czysto osobiste.

Atrakcyjna młoda kobieta siedząca tuż na wprost mnie w rzędzie B

zwraca na moment moją uwagę. Więzień odwrócony do mnie plecami pochyła się nad stołem i całuje ją. Przypominam sobie słowa Kevina, który mówił, że to najpospolitszy sposób przekazywania narkotyków.

Patrzę uważniej i dochodzę do wniosku, że tu chodzi o seks, czysto fizyczny seks, i nie ma to nic wspólnego z narkotykami.

James opowiada mi o filmie „Rush Hour 2”, który wraz z Nodem (Nadhimem Zahawim, kurdyjskim przyjacielem) widział w niedzielę wieczorem i który w normalnych okolicznościach oglądałbym z nimi.

- Nie martw się - dodaje. - Odnotowujemy wszystkie filmy, jakie by ci się podobały, tak że będziesz je mógł ostatecznie obejrzeć na wideo.

Słowo „ostatecznie” zazgrzytało mi w uszach.

Rozmawiamy z Willem o tym, kiedy zamierza wrócić do Ameryki i kontynuować pracę operatora dokumentalisty. Mówi, że na razie, póki matka jest tak rozstrojona i potrzebuje jego obecności, pozostanie w Anglii. Mam szczęście, że Bóg mnie obdarzył taką rodziną.

Przez megafon ogłaszają komunikat, że odwiedzający muszą wyjść. Czy naprawdę spędziliśmy razem godzinę? Wszyscy dokoła wymieniają pożegnalne pocałunki, po czym przyjaciele i krewni z ością-

85

ganiem odchodzą. Więźniowie muszą pozostać na swoich miejscach, dopóki ostatni gość nie podpisze listy i nie opuści sali. Czekając, rozglądam się wokół. Mężczyzna, którego pocałunek był tak naładowany erotyzmem, siedzi teraz z twarzą ukrytą w dłoniach. Myślę o tym, jaki ma wyrok i ile będą mieli lat on i jego dziewczyna, kiedy wyjdzie na wolność.

Po wyjściu ostatniego gościa opuszczamy gęsiego salę; i znów jestem tylko pobieżnie sprawdzany. Nie mam okazji się przekonać, przez co przechodzą inni więźniowie, chociaż „Del Boy” mówi mi później, że jeśli kamery wideo zarejestrują coś podejrzanego, więźnia poddaje się rewizji osobistej w asyście psów wykrywających narkotyki.

W drodze powrotnej do celi rozmawiam z więźniem z bloku trzeciego, który mnie powiadamia, że w przyszłym miesiącu kończy mu się odsiadka i wraca do domu. Dodaje, że odwiedziła go żona, która trwa przy nim, ale dała mu wyraźnie do zrozumienia, że porzuci go, jeśli znów trafił do więzienia.

Pozostało mi jeszcze tylko kilka kroków do drzwi celi, kiedy Weedon zatrzymuje mnie i informuje, że chce się ze mną widzieć funkcjonariusz oświatowy. Wykonuję w tył zwrot i pod eskortą Weedona idę na środkowe piętro.

Funkcjonariusz oświatowy ma na sobie szykowny brązowy garnitur. Wstaje, gdy wchodzę do pokoju, i ściska mi dłoń.

- Peter Farrell - przedstawia się. - Zauważyłem, że zgłosił się pan na zajęcia edukacyjne.

- Tak - potwierdzam. - Miałem nadzieję, że dzięki temu będę mógł korzystać z biblioteki.

- Owszem - potwierdza Farrell. - Ale chciałbym pana zapytać, czy pomoże pan nam uczyć więźniów czytać i pisać, bo w tej chwili mamy mało nauczycieli.

- Oczywiście - odpowiadam.

- Dostanie pan funta za godzinę - dodaje z szerokim uśmiechem.

Rozmawiamy przez pewien czas o tym, że wśród więźniów, zwłaszcza tych odsiadujących dożywocie, jest kilku takich, którzy śmiało mogliby uzyskać dyplom uniwersytetu otwartego.

- Mój największy kłopot - tłumaczy Farrell - to ten, że w warsz tatach więźniowie mogą zarobić

od dziesięciu do dwunastu funtów tygodniowo, wkładając torebki herbaciane, dżem i cukier do plastyko wych pojemników, za zajęcia edukacyjne natomiast dostają tylko 86

sześć funtów pięćdziesiąt pensów. No i często tracę zdolnych uczniów, bo zabrakłoby im pieniędzy na tytoń.

Mój Boże, jakież to materiały do przemówień, które wygłoszę, jeżeli jeszcze kiedyś powrócę do Izby Lordów.

Słysząc pukanie do drzwi i do środka zagląda wysokiej rangi funkcjonariusz, Marsland, który przypomina, że za chwilę mam dla więźniów skazanych na dożywocie pogadankę na temat kreatywnego pisania.

4.00 po południu

Wykład odbywa się w jednej z cel przejściowych. Obecnych jest dwunastu więźniów odsiadujących wyrok dożywocia, oraz dwóch strażników, którzy mają na nich oko. Są dwa rodzaje wyroków dożywotnich: obligatoryjny i uznaniowy, ale najważniejsze jest, jaki sędzia ustali minimalny wymiar kary podczas procesu.

Zaczynam od tego, że pisaniem nie zajmowałem się do trzydzieste-go czwartego roku życia, kiedy odszedłem z parlamentu i stanąłem przed perspektywą bankructwa. Próbuję ich w ten sposób przekonać, że można rozpocząć nowy zawód w każdym wieku. Powołuję się na Prousta, który powiedział, że koniec końców, wszyscy robimy nie to, w czym jesteśmy najlepsi.

Ledwo skończyłem, padają dwa pytania o pisanie powieści, ale prędko się przekonuję, że innych więźniów najbardziej ciekawi, co są-

dzą o życiu za kratami i jakich zmian bym dokonał.

- Jestem tutaj tylko osiem dni - przypominam.

Próbuję mężnie odpierać ich pytania, ale Marsland i jego zastępca muszą wkrótce pośpieszyć mi w sukurs, kiedy rozpala się dyskusja o tym, jak rządzone są więzienia, a zwłaszcza gdy zaczynają się skargi na czas zamknięcia w celach, na wyżywienie, na to, że w celach brak gniazdek do włączenia telewizora, wreszcie na wysokość zarobków.

Są to słuszne pytania, chociaż nie mają nic wspólnego z pisaniem.

Funkcjonariusze więzienni starają się na nie odpowiadać bez uników i widać, że obaj poświęcają wiele uwagi problemom więźniów. Czę-

sto im współczują, ale mają ręce związane przepisami, biurokracją i brakiem pieniędzy.

Tony, więzień, który nie dość, że jest bystry, to jeszcze doskonale liczy, analizuje drobiazgowo dwudziestosiedmiomilionowy budżet 87

Belmarsh i zadaje pytanie, ile kosztuje całodzienne wyżywienie więź-

nia. Nigdy nie zapomnę odpowiedzi na to pytanie - na trzy posiłki dziennie dla jednego więźnia przeznaczają się funt dwadzieścia siedem pensów.

- Czyli że firma gastronomiczna zarabia funta dziennie na każdym z nas - konstatuje z sarkazmem Tony.

Spotkanie przeciąga się sporo ponad planowaną godzinę i mija trochę czasu, zanim pochodzący z Glasgow Billy Little zadaje pytanie dotyczące pisania. Czy wykorzystuję moje powieści jako wykładnię jakichś szczególnych uprzedzeń politycznych? Nie, odpowiadam stanowczo, w przeciwnym wypadku miałbym bardzo niewielu czytelników. Billy jest lewicowcem z tradycji domowej i z przekonania i umiejętnie dowodzi słuszności swojej sprawy. Sprawia mu przyjemność przypieranie mnie do muru i robi wszystko, żebym nie czuł się swobodnie z innymi więźniami. Pod koniec zajadłej dyskusji już przynajmniej słucha, gdy przedstawiam swój punkt widzenia.

W drodze powrotnej do cel Billy mówi, że napisał nowelkę i kilka wierszy. Pyta, czy chciałbym

to przeczytać i wyrazić swoją opinię -

na takie pytanie zwykle reaguję paniką. Billy wbiega do swojej celi na parterze, wyjmując z teczki plik kartek i wręcza mi. Rozstaję się z nim i natykam się na Dereka „Del Boya” Bicknella, który na mnie czeka.

Ostrzega mnie, że Terry, mój kolega z celi, rozmawiał z prasą i że mam się przed nim mieć na baczności i nic mu o sobie nie mówić.

- Rozmawiał z prasą?

- Tak, klawisze go nakryli, jak telefonował do „The Sun”. Podobno za wywiad na wyłączność z więźniem, który siedzi w jednej celi z panem, płacą teraz pięć patoli.

Dziękuję Derekowi i zapewniam go, że nie rozmawiałem z Terryem ani o mojej sprawie, ani o niczym ważnym i że nigdy bym tego nie robił.

Wracam do celi i widzę, że Terry ma skruszoną minę. Przyznaje się, że rozmawiał z dziennikarzem „The Sun”, który bardzo chciał się dowiedzieć, kiedy mnie przeniosą do więzienia w Ford.

- Jutro znajdzie się pan na pierwszej stronie - ostrzegam go.

- Nie, nie - broni się. - Nic takiego im nie powiedziałem.

Tłumię śmiech i siadam do czytania kolejnych trzech setek listów, które zostały otwarte przez cenzora i pozostawione na moim łóżku.

Nie wierzę, żeby miał czas przeczytać ich wiele, jeśli w ogóle.

Odkładam ostatni, wyciągam się na łóżku i niechętnie sięgam po dwudziestostronicowy esej Billy'ego Little'a. Przewracam pierwszą kartkę.

Jestem po prostu zaskoczony. Billy tak doskonale włada językiem, jest tak wnikliwy i ma tak rzadki dar

interesującego
przedstawiania
spraw

przyjemnych, że chłonę każde słowo, zanim kilka minut po dziesiątej zgaszę światło. Mam wrażenie, że usłyszycie dużo więcej o Billym, i to nie tylko ode mnie.

Dzień dziewiąty

Piątek, 27 lipca 2001

2.11 w nocy

W środku nocy budzą mnie ogłuszające dźwięki muzyki rap, dobiegające z drugiej strony bloku. Nie mogę sobie wyobrazić, jak się czuje usiłujący zasnąć lokator sąsiedniej celi albo - co gorsza - ten na pryczy poniżej. Podobno z powodu muzyki rap wybucha w więzieniu najwięcej bójek. Wcale się nie dziwię. Dopiero kiedy ucichła, mogłem ponownie zasnąć. Obudziłem się osiem minut po szóstej. Zdumiewające, ale Terry może spać, choćby się waliło i paliło.

6.08 rano

Piszę przez dwie godziny i zaraz po ukończeniu pierwszej wersji opisu wczorajszych zdarzeń rozbieram się do slipów, okręcam się w pasie jednym ręcznikiem, a drugi wraz z mydłem i szamponem kładę na łóżku.

Drzwi celi otwierają się dwadzieścia trzy po ósmej. Wybiegam rą-

czo niby rumak pełnej krwi, pędzę korytarzem i wpadam do pomieszczenia z prysznicami. Trzy z czterech już są zajęte przez szybszych ode mnie. Jednak udaje mi się dopaść czwartej kabiny i po długim natrysku czuję się pierwszy raz od wielu dni domyty.

Kiedy wracam do celi, Terry nadal mocno śpi i nie budzi się nawet wtedy, gdy zostają otwarte drzwi. Nowy funkcjonariusz przedstawia się jako Ray Marcus, tłumaczy, że jest cenzorem i odpowiednikiem June Stelfox, która zajmowała się moją korespondencją w bloku trzecim. Jego praca polega na sprawdzaniu poczty otrzymywanej przez więźniów i upewnianiu się, że nie otrzymali oni nic nie-90

dozwolonego: zyletek, narkotyków, pieniędzy, nawet żywności. Trzeba powiedzieć, że chociaż cenzorzy otwierają wszystkie listy, to ich nie czytają. Ray ma ze sobą poleconą paczkę, którą otwiera w mojej obecności i wyjmuję z niej Biblię. To jedenasta w ciągu dziewięciu dni. Ofiarowuję ją, jak pozostałe, kaplicy. Potem Ray pyta, czy mógł-

by mi być w jakiś sposób pomocny w sprawach mojej poczty. Proponuje, żeby mówić mu po imieniu, jest uprzejmy i wydaje się niemal zakłopotany tym, że nie wolno mi otwierać moich listów. Mówię mu, żeby się nie przejmował, bo już od wielu lat nie otwieram sam mojej korespondencji.

Wręczam mu trzy duże szare koperty, zawierające wszystkie listy, które otrzymałem poprzedniego dnia, oraz mój rękopis z pierwszego tygodnia (siedemdziesiąt stron) w więzieniu, a także dwanaście znaczków na listy pierwszej klasy, i pytam, czy mógłby to wszystko odesłać mojej asystentce Alison, aby się tym zajęła, tak jakbym był na wakacjach albo za granicą. Chętnie się zgadza, ale zauważa, że jako główny cenzor jest uprawniony do czytania wszystkiego, co wysyłam.

- Proszę bardzo - mówię.

- Wolę poczekać, aż będzie opublikowane - odpowiada z szerokim uśmiechem. - W końcu czytałem wszystko, co pan napisał.

Wychodząc, nie domyka drzwi, jakby wiedział, jaką taki prosty gest czyni różnicę człowiekowi, który co dzień siedzi pod kluczem przez dwadzieścia dwie godziny. Cieszę się tym przywilejem zaledwie kilka minut, gdyż jakiś inny funkcjonariusz, przechodząc obok, zatrzaskuje drzwi. Niemniej jednak czuję wdzięczność.

9.00 rano

Śniadanie. Miska płatków kukurydzianych z mlekiem UHT z kartonu, który stał otwarty przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny i nie zaznajomił się z lodówką. Coś wspaniałego...

10.09 rano

Przychodzi inny funkcjonariusz więzienny i oznajmia, że chce się ze mną zobaczyć kapelan. Wybawienie z celi. Funkcjonariusz eskortuje mnie do kaplicy - tym razem nie jestem rewidowany - gdzie czeka na mnie David Powe. Ma na sobie tę samą jasnobieżową marynarkę, 91

spodnie z szarej flaneli i prawdopodobnie tę samą koloratkę, co podczas niedzielnego nabożeństwa - widać jest biedny jak mysz kościelna.

Gawędzimy o tym, jak się tutaj adaptuję - w końcu każdy się przy-zwyczaja, czyż nie? - a potem komentujemy fakt, że jego kazanie o Kainie i Ablu trafiło do „Private Eye”. Chichocze, najwyraźniej zadowolony z rozgłosu.

Potem David opowiada mi o swojej żonie, która jest dyrektorką lokalnej szkoły podstawowej i która napisała dwie książki na temat religii, wydane przez HarperaCollinsa. Mają dwójkę dzieci, trzynasto- i szesnastoletnie. Kiedy mówi o swojej parafii - czyli o więźniach

- prędko dochodzę do wniosku, że jest gorliwym chrześcijaninem, mimo że jego wąpiąca i wąpiwa trzódka składa się z morderców, gwałcicieli i narkomanów. Na wieść, że Terry, mój współlokator, codziennie czyta Biblię, David się rozpromienia. Wyznaję, że nie czyta-
łem Listu do Hebrajczyków.

David pyta, czy jestem człowiekiem wierzącym, na co odpowiadam, że kiedy z ramienia Partii Konserwatywnej kandydowałem na burmistrza Londynu, dowiedziałem się, jak liczne religie są prakty-kowane w stolicy i że jeżeli Bóg istnieje, to bardzo wiele bardzo róż-

nych grup reprezentuje Go na Ziemi. David zauważa, że w Belmarsh jest ponad stu muzułmanów, stu katolików, ale jednak większość więź-
niów to anglikanie.

- A żydzi? - zapytuję.

- Jeden czy dwóch, o których wiem - odpowiada. - Tradycja rodzinna i poczucie wspólnoty są u nich tak silne, że rzadko trafiają do sądu czy za kratki.

Kiedy mija godzina - tu na wszystko jest wyznaczony czas - udziela mi błogosławieństwa i mówi, że ma nadzieję ujrzeć mnie znowu w niedzielę w kaplicy.

Ponieważ to największa cela w więzieniu, z całą pewnością się nie zawiedzie.

11.10 rano

Weedon czeka przy drzwiach kaplicy - przepraszam, przy okratowanej furcie - żeby odprowadzić mnie do celi. Mówi, że Marsland znowu chce mnie widzieć. Czy to znaczy, że wie, kiedy opuszczę Belmarsh i dokąd zostaną przeniesiony? Pytam Weedona, ale nie otrzymuję odpowiedzi. W biurze Marslanda jest również Loughnane i Gates. Mają ponure miny. Ogarnia mnie lęk i pojmuję, dlaczego Weedon nie odpowiedział na moje pytanie.

Marsland mówi, że otwarte więzienie w Ford odrzuciło mój wniosek, bojąc się zainteresowania prasy moją osobą, i sprawa została przekazana na wyższy szczebel. Przez moment ogarnia mnie wątpliwość, czy w ogóle wydostanę się z tego piekła. Marsland dodaje na ośmieszając, że przeniesie mnie do pojedynki, gdyż Fossett (Terry) został przyłapany na telefonowaniu do „The Sun”.

- Widzę, że jest pan rozczarowany odmową więzienia w Ford - dodaje - ale jak tylko będziemy wiedzieli, damy panu znać, gdzie i kiedy będzie pan przeniesiony.

Wstaję, żeby odejść.

- Czy zechciałby pan wygłosić jeszcze jedną pogadankę o kreatywnym pisaniu? - pyta Marsland. - Po pańskim ostatnim wystąpieniu inni więźniowie zgłosili chęć posłuchania pana.

- Czemu nie miałbym poprowadzić ośmiotygodniowego kursu - mówię na to - skoro i tak w najbliższej przyszłości jesteśmy na siebie skazani? - Od razu żałuję swego sarkazmu. Przecież to nie ich wina, że naczelnikowi więzienia w Ford zabrakło odwagi, żeby się zmierzyć z trudnym problemem. Powinien albo powinna przeczytać sobie ustawę o prawach człowieka i dowiedzieć się, że to nie jest słuszny powód, żeby odrzucić moją prośbę.

2.00 po południu

Oddziałowa otwiera drzwi i nie wyjmując papierosa z ust*, powiadamia Terry'ego, że ma gościa. Terry'emu trudno w to uwierzyć i zastanawia się, kto to może być. Ojciec rzadko z nim rozmawia, matka nie żyje, brat umiera na AIDS, z siostrą stracił kontakt, a kuzyn siedzi w więzieniu skazany za morderstwo. Schodzi z górnej pryczy, uśmiecha się pierwszy raz od dawna i zadowolony drepcze na korytarz. Drzwi celi znów się zamykają. Korzystam z nieobecności Terry'ego i zabieram się do drugiej wersji wczorajszych notatek.

* Później Martin Narey, dyrektor generalny więziennictwa, wydał zalecenie, żeby strażnicy podczas służby nie palili papierosów.

93

3.07 po południu

Terry wraca do celi po godzinie. Jest przybity. Musiała zajść pomyłka, bo okazało się, że nie ma żadnego gościa. Czekał w osobnej celi ponad godzinę, podczas gdy inni więźniowie cieszyli się bliskością rodziny i przyjaciół.

Czasami zapominam, jaki jestem szczęśliwy.

4.00 po południu

Godzina Wspólna. Opuszczam celę i wędruję górnym podestem.

Derek Jones, młody recydywista, mówi, że chce mi coś pokazać, i zaprasza mnie do swojej celi. Jest jednym z więźniów skazanych na czas nieokreślony, i chociaż jego sprawa zostanie rozpatrzona przez komisję penitencjarną w 2005 roku, nie jest pewien, czy wyjdzie na wolność.

- Słyszałem, Jeff, że piszesz książkę - mówi. - Czy interesują cię sprawy, o których nie wiedzą

ludzie z tamtej strony murów? - pyta, spoglądając przez okratowane okno.

Potakuję skinieniem głowy.

- Wobec tego powiem ci o czymś, o czym nawet tutaj nie mają po-jęcia. - Pokazuje stojące w kącie, wielkie radio - przypuszczalnie to, którego ryk obudził mnie poprzedniej nocy. Przypomina pojazd ko-smiczny. - To mój największy skarb - mówi; nie przerywam mu. - Ale mam pewien problem. - Nadal się nie odzywam. - Chodzi na baterie, bo nie mam tu gniazdka.

- Rozumiem.

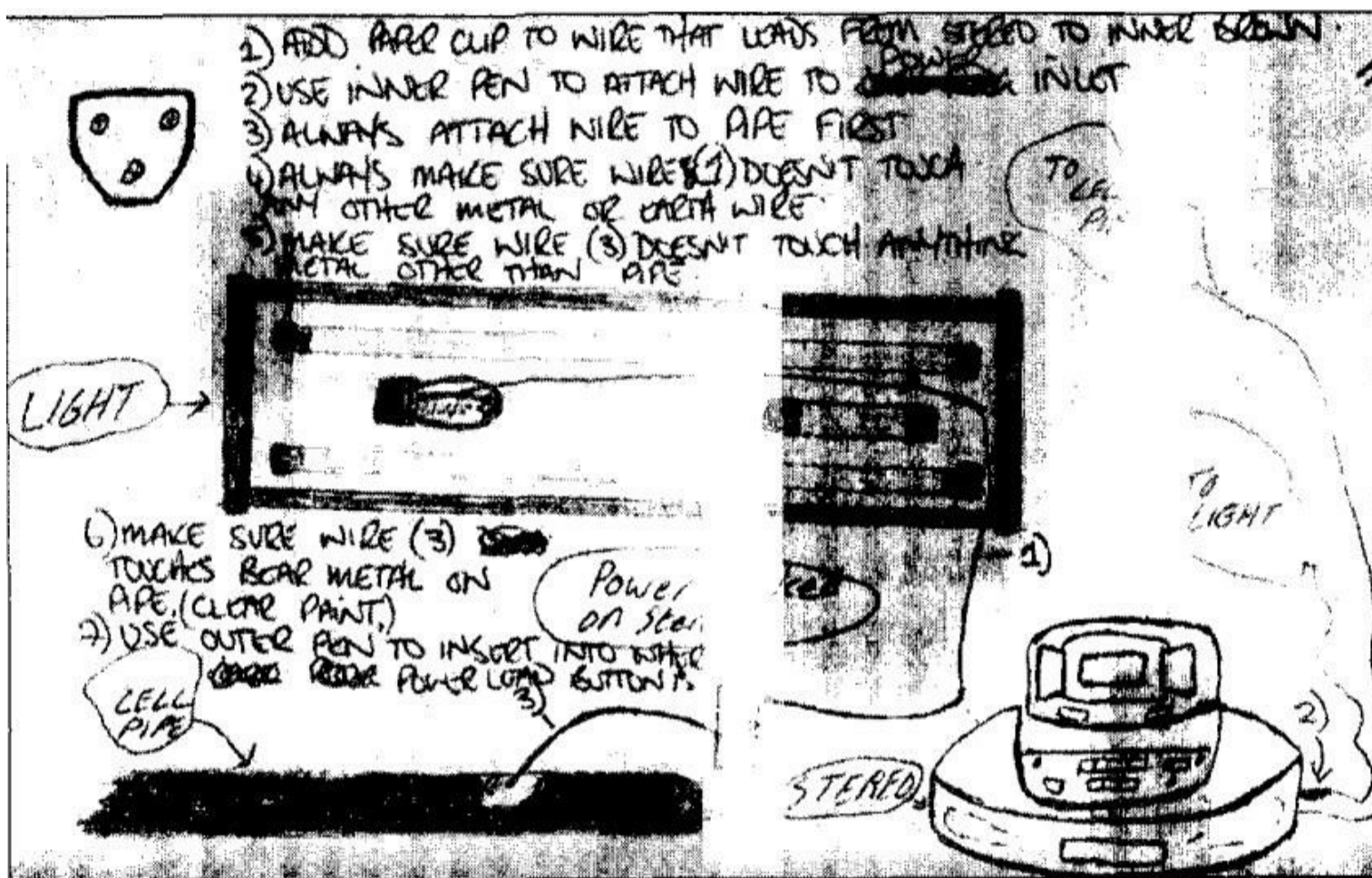
- Czy masz pojęcie, ile kosztują baterie? - pyta.

- Nie - odpowiadam.

- Sześć funtów czterdzieści pensów jednorazowo i starczą tylko na dwanaście godzin. Gdybym musiał co tydzień kupować nowe baterie, nie byłoby mnie stać na tytoń. - Wciąż nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. - Ale ja nie muszę kupować baterii, no nie?

-Nie?

- Nie - odpowiada, podchodzi do półki za łóżkiem i bierze długo pis. Zdejmuje nasadkę i wyciąga wkład, okręcony zwojem cienkiego drucika. - Najpierw - mówi - odkrobuję trochę farby z rury wodnej za moim łóżkiem, żeby było uziemienie, potem zdejmuję plastikową 94



osłonkę z łączówki do gniazdka lampy na suficie i podłączam koniec przewodu do kostki przyłączającej lampę. - Derek widzi, że z trudem pojmuję jego sprytną sztuczkę, i dodaje: - O detale się nie martw, Jeff. Narysowałem ci schemat. W ten sposób - mówi - mam nieprzerwaną dostawę energii elektrycznej na koszt Jej Królewskiej Mości.

Schemat połączeń autorstwa Dereka Jonesa

1) Nałóż osłonkę z papieru na przewód, który prowadzi od radia do brązowego kabelka przy oświetleniu.

- 2) Użyj wkładu długopisu do połączenia tegoż przewodu z instalacją elektryczną.
- 3) Pamiętaj, aby najpierw przyłączyć (drugi) przewód do rury .
- 4) Upewnij się, czy przewód (1) nie dotyka żadnego metalu ani innego przewodu.
- 5) Upewnij się też, czy przewód (3) nie dotyka innego metalu poza rurą.
- 6) Sprawdź, czy przewód (3) zamocowany jest do odcinka rury oczyszczzonego z farby.
- 7) Użyj zewnętrznej części długopisu jako wtyku do gniazdka sieciowego radia.

Pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to pytanie, dlaczego Derek nie jest na wolności i nie robi tego, na czym się zna. Dziękuję mu i zapewniam, że w swoim dzienniku wspomnę o tym, co mi opowiedział.

95

- A co ja będę z tego miał? - pyta. - Bo jak stąd wyjdę, całym moim dobytkiem będzie tylko to radio i dziewięćdziesiąt funtów wypisowego*.

Zapewniam Dereka, że moi wydawcy zapłacą mu za zamieszczenie schematu, jeżeli ukaże się w książce. Tak oto dobijamy targu.

5.05 po południu

Wraca Weedon i powiadamia mnie, że zostaję przeniesiony do pojedynczej celi. Terry z miejsca się unosi i krzyczy, że obiecano mu pojedynek, jeszcze zanim się tu pojawiłem.

- I dostałbyś ją, Foster - replikuje Weedon - gdybyś nie telefonował do gazety i nie kablował na kolegę z celi za parę marnych funciaków.

Terry nie przestaje pyskować, a ja myślę sobie, czy długo przetrwa na wolności, skoro taki z niego narwaniec.

Zbieram swoje rzeczy i przeprowadzam się z celi numer 40 do celi 30 po drugiej stronie korytarza. To moje czwarte przenosiny w ciągu dziewięciu dni. Taal, potężnego wzrostu Ghańczyk, który został skazany za zamordowanie mężczyzny w Peckham, mimo że twierdzi, iż w tym czasie przebywał w Brighton ze swoją dziewczyną, wraca na swoją dawne pryczę w celi numer 40. Czuję się podle, że pozbawiłem Taala jego celi, i tym bardziej chciałbym jak najszybciej się przenieść do więzienia kategorii D, żeby on mógł wrócić do swojej pojedynki.

Spędzam godzinę, pakując moją plastikową torbę, wypakowując ją i na nowo układając rzeczy w celi numer 30. Właśnie kończę te czynności, kiedy drzwi celi zostają otwarte i dostaję polecenie, żeby zejść na dół do kuchni po kolację.

6.00 po południu

Znowu chcę wybrać zestaw wegetariański, ale Paul (morderstwo i znaczki), który odznacza każde nazwisko na swojej tabliczce, mówi mi, że kurczak jest jadalny. Ryzykuję. Paul znów się myli. Trzeci raz go nie posłucham.

* Więźniowie niemający stałego miejsca zamieszkania, wychodząc na wolność, otrzymują 90 funtów, a 45 funtów, jeżeli mają gdzie mieszkać. Po dwóch tygodniach mogą przejść na zasiłek.

96

Podczas Godziny Wspólnej spędzam trzydzieści minut w celi Billy'ego Little'a (morderstwo), omawiając z nim jego pracę. Billy mó-

wi, że musi odsiedzieć jeszcze co najmniej dwadzieścia lat, bo nie ma ustalonej górnej granicy wyroku, więc radzę mu, żeby zaczął pisać powieść, najlepiej trylogię. Robi powątpiewającą minę. Nie jest człowiekiem, który by ufał słowom konserwatysty.

Ktoś puka do drzwi i do celi wchodzi wolnym krokiem istny olbrzym, jak napastnik z tyłów rwący się do młyna w meczu rugby. Dostrzegłem go pierwszego dnia, gdy stał sam w kącie w głębi sali, świdrując mnie w milczeniu oczyma. Trudno było nie zauważyć kogoś tak potężnej postury. Od

kiedy przybyłem na oddział, nie odezwał się do mnie ani słowem i przyznaję, że jego widok napawa mnie lękiem.

Nazywają go Fletch.

Przyszedł, żeby mnie „powiadomić”, iż Terry już nie narzeka, że przeniesiono mnie do pojedynki, ponieważ przyznaje, że dzwoniąc do

„The Sun” był „nie w porządku”, ale tymczasem ostrzeżono go, że jedna z gazet niedzielnych zamierza zamieścić artykuł o tym, jak uderzył kobietę w głowę bilą wpuszczoną do skarpetki. Fletch mówi, że Terry się boi, że współwięźniowie spuszczą mu manto, kiedy artykuł

się ukaże*. Fletch rozpowiada, że nie życzy sobie żadnych kłopotów

„choć zgadza się, że chłopak był głupi, że w ogóle gadał z prasą”. Potem Fletch patrzy na mnie i mówi:

- Pewno jestem jedynym człowiekiem w tym skrzydle, który z panem nie zamienił słowa, ale ja nienawidzę wszystkiego, co pan reprezentuje. Proszę nie brać tego do siebie - dodaje i wychodzi.

Billy mówi, że Fletch jest jednym z najbardziej szanowanych więź-

niów w skrzydle i, ku mojemu zdumieniu, pełni funkcję Powiernika.

- Niech się pan nim nie przejmuje - dodaje. - Powiem panu, że mamy w tym skrzydle tak mało kłopotów między innymi dzięki temu, że Fletch, zanim tu trafił, był wykidajką w londyńskim nocnym klubie.

W tamtym roku poradził sobie sam z buntem więźniów, którzy doma gali się lepszego wyżywienia. Klawisze nigdy by się z tym sami nie uporali i wiedzą o tym.

* Bicie (lanie, łomot) ma zwykle miejsce w pomieszczeniu z prysznicami, co powoduje, że niektórzy więźniowie unikają latami kąpeli. Pomieszczenie to dlatego jest ulubionym miejscem wymierzania kar, bo znajduje się na najwyższym piętrze na końcu długiego korytarza, wolno tam przebywać więcej niż czterem więźniom naraz, a nadmierne hałasy kładzie się na karb ich żywiołowości.

97

Zostawiam Billy'ego i wracam do współwięźniów, żeby rozegrać dwie partie kaluki z „Del Boyem” (morderstwo), Colinem (ciężkie uszkodzenie ciała) i Paulem (morderstwo). Wszyscy trzej łącznie skazani na siedemdziesiąt pięć lat więzienia. Najpierw wygrywam, potem przegrywam 124 punktami. Taki dzień.

Już mam wracać do celi pod klucz, kiedy pojawia się pani Roberts.

Terry podbiega do niej i zaczyna coś mówić ze wzburzeniem. Kobieta stara się go ułagodzić. Kiedy się uspokaja i może odejść, pytam ją, czy kontaktował się z nią mój adwokat.

- Tak - odpowiada. - Porozumiem się z panem z samego rana.

Mam nadzieję, że ucieszy pana to, co mam do przekazania.

Nie nalegam, żeby zastępczyni naczelnika powiedziała mi coś więcej, bo kilku więźniów ustawiło się w kolejce, żeby również zamienić z nią kilka słów, nim zamkną ich w celach.

9.00 wieczorem

To był, jak wspominałem, trochę nerwowy dzień, ale słowa zastępczyni naczelnika dodały mi otuchy. Co mi powie jutro?

Przez następne dwie godziny czytam kolejną setkę listów, które cenzor zostawił mi na łóżku. Wszystkie układają się według pewnego wzoru, ale jeden list szczególnie mnie rozbawił - *Piszę, żeby wyrazić panu moje pełne poparcie, bo podejrzewam, że nikt więcej nie zadaje sobie trudu, żeby to uczynić w obecnym czasie.* - Uśmiecham się, bo pani Buxton z Northamptonshire

uświadamia mi, jakie mam szczęście, że tak wielu ludzi staje w mojej obronie. Wystarczy pomyśleć o wid-mowym gościu Terry'ego, żeby sobie zdać sprawę, że los mi sprzyja.

Dzień dziesiąty

Sobota, 28 lipca 2001

5.42 rano

Budzę się zlany zimnym potem z dziwnego snu. Jestem znowu w Oksfordzie w latach sześćdziesiątych, gdzie wygrywam uniwersyteckie zawody kwalifikacyjne w biegu na przełaj, co automatycznie zapewnia mi udział w reprezentacji uniwersytetu i uczestnictwo w dru-

żynie przeciw Cambridge. W młodości biegałem na dystansie stu jardów, więc ten scenariusz wydaje się mało prawdopodobny. Dzieje się jednak coś gorszego. Zostaję zdyskwalifikowany i pierwsze miejsce zdobywa zawodnik drugi na mecie. Kiedy otrzymuje puchar, ponoszą mnie nerwy i sprzeciwiam się sędziom. Są nimi David Coleman i nieżyjący Ron Pickering - dwóch najprzystojniejszych ludzi, jakich nosiła ziemia. Mówią mi, że musieli mnie zdyskwalifikować, bo po prostu nie wierzyli, że mógłbym zwyciężyć. Bez wątpienia psychiatra więzienny miałby tu jakąś swoją teorię.

6.11 rano

Nie siadam od razu do pisania, ponieważ rozmyślam nad zadaniem, jakie sobie postawiłem w ostatnich dniach: dogłębne studia nad więźniami skazanymi na dożywocie.

W pierwszym skrzydle przebywa pięćdziesięciu dwóch mężczyzn, odsiadujących dożywocie*. Odbyłem długie rozmowy z około dwu-

* W dniu 30 czerwca 1990 roku 1725 więźniów odsiadywało wyrok dożywocia.

30 czerwca 2000 roku ta liczba wzrosła o 163 procent do 4540 osób, przy czym 97 procent stanowili mężczyźni, z których 3405 skazano za morderstwo. Ważne jest, aby pamiętać, że mordercy są inni niż pozostali przestępcy. W przypadku ponad 50 procent morderców jest to ich pierwsze przestępstwo i kiedy zostaną zwolnieni, nigdy nie popełniają następnego. Prawdą jest też, że pozostałe 50 procent to zawodowi kryminaliści, którzy nie zasługują na najmniejszy odruch współczucia.

99

dziestoma i doszedłem do wniosku, że z grubsza biorąc, dzielą się oni na dwie kategorie. Oczywiście jest to uproszczenie, gdyż każdy człowiek jest skomplikowany i wyjątkowy. Pierwsza grupa składa się z tych, którzy z uporem twierdzą: „To nie ja, szefie, wrobili mnie. Nie znaleźli nawet narzędzia zbrodni, ale że byłem już notowany, no to w sam raz pasowałem policji”.

Ci z drugiej grupy wznoszą ręce do góry i przyznają się do chwili szaleństwa, której będą na wieki żałować i godzą się z tym, że muszą ponieść karę wymaganą przez prawo. Niektórzy nawet czasem mó-

wią: „Na nic lepszego nie zasłużyłem”.

Instynktowne poczucie sprawiedliwości każe mi się martwić o tych pierwszych: czy oni wszyscy kłamią, czy też w tym skrzydle odsiaduje dożywocie ktoś niewinny? Więcej o tym później.

9.00 rano

Soboty się różnią od wszystkich innych dni tygodnia, gdyż więźniowie nie dostają plastikowej torby ze śniadaniem poprzedniego wieczoru, kiedy stoją w kolejce po kolację. O dziewiątej rano drzwi celi się otwierają i schodzi się do kantyny na gorące śniadanie - jajka, fasolka i frytki. Akceptuję jajka i fasolkę i zastanawiam się, ile minie sobót, zanim skuszę się na frytki.

10.00 rano

Mam do wyboru: albo zażyć ruchu na dziedzińcu, albo siedzieć pod kluczem w celi. Wybieram to pierwsze.

Kiedy robię dwa pierwsze okrażenia, podchodzą do mnie handla-rze narkotyków i pytają, czy nie potrzebuję marihuany, cracku bądź

heroiny. Dopiero po dłuższej chwili do nich dociera, że nigdy w życiu nie brałem narkotyków i nie zamierzam teraz zaczynać.

- Dużo handlujemy z ludźmi pańskiej profesji - rzuca od niechce-nia jeden z nich.

Chętnie bym na to odpowiedział: „I życzę wam, żebyście gnili za to w więzieniu do końca życia” - ale brak mi odwagi.

Następny więzień, który do mnie podchodzi, to nawiedzony ka-znodzieja, który ma nadzieję, że w Belmarsh odnajdę Chrystusa. Tłumaczę, że - moim zdaniem - religia jest sprawą osobistą, ale dzięki-100

ję mu za okazaną troskę. Nie tak łatwo się go pozbyć, tkwi przy mnie przez następnych pięć okrażeń; niestety, nie można, jak w przypadku wizyty świadka Jehowy, po prostu zatrzaskać drzwi.

Chciałbym zrobić kilka okrażeń sam, żeby móc zebrać myśli, ale nic z tego, bo przyczepia się do mnie dwójka łobuziaków z East Endu, którzy chcą zasięgnąć mojej opinii w sprawie czekającego ich wkrót-ce procesu. Mówię im, że moja wiedza prawnicza jest bardzo powierz-chowna i że może lepiej byłoby spytać kogo innego. Jeden z nich zaczyna zachowywać się wobec mnie agresywnie i pierwszy raz odkąd znalazłem się w Belmarsh, jestem przestraszony i lękam się o swoje bezpieczeństwo. Paul mnie przestrzegł, że może się znaleźć w więzieniu jakiś cudak, który zechce mi wbić nóż w plecy, żeby trafić na pierwsze strony gazet i zaimponować swojej dziewczynie.

Nie mija kilka chwil, a już Billy Little i Fletch, którzy najwyraźniej wyczuli niebezpieczeństwo, idą krok w krok za mną, i choć dwaj łobu-ziacy nie są z naszego oddziału, widok Fletcha studzi ich zapędy. Od-czepiają się, ale czuję, że będą się pętać i czekać na właściwy moment.

Może lepiej, żebyśmy przez dwa dni unikał spacerniaka.

Na koniec podchodzi do mnie uroczy, młody czarny więzień, który chce mi opowiedzieć, jaki ma problem z grą na bębnie. Dopiero po dwóch okrażeniach pojmuję, że chłopak nie gra w zespole rockowym; bębnienie to po prostu slangowe określenie włamania. To szczególne doświadczenie otwiera mi oczy. Jeżeli ktoś nie wiedział, co znaczy

„bębnienie”, zanim zaczął czytać ten dziennik, jest prawdopodobnie równie naiwny jak ja. A jeżeli wiedział, to tę pisaninę może uznać za banał.

12.00 w południe

Jestem teraz pełnoprawnym wegeterianinem. Na wolności utworzy-łem klub pod nazwą WNB albo WWS, którego członkami zostało wielu moich przyjaciół po wysłaniu darowizny do Szpitala Brompton*. WNB znaczy „wegeterianin na bankiecie”. Od dawna uważam, że jest niemożliwe, nawet w najlepszych restauracjach, przygotować trzysta steków, bo każdy klient będzie chciał, aby były świeżo przyrzą-

* Jestem wielbicielem wybitnego kardiochirurga, jakim jest sir Magdi Yacoub, a wszelkie darowizny pomogą w prowadzonych przez niego badaniach.

dzone, dlatego zawsze zamawiam potrawę wegeteriańską, gdyż wiem, że będzie indywidualnie wykonana. WWS oznacza „wegeterianin w samolocie”. Przypuszczam, że wielu z was jest już

członkami tego klubu, a jeśli tak, to wysupłajcie, proszę, pięć funtów i natychmiast wyślijcie do Szpitala Brompton. Teraz dołączam do tej listy WWW i mam nadzieję, że nikt z was nigdy nie zakwalifikuje się na członka tego klubu.

2.00 po południu

Otwierają się drzwi celi i dowiaduję się, że czeka na mnie pani Roberts. Serce bije mi mocno, gdy usiłuję sobie przypomnieć, co dokładnie powiedziała wczoraj wieczorem.

Kiedy wchodzę do pokoju tuż przy „bąblu”, gdzie urzęduje, od ra-zu oznajmia, że moi adwokaci się z nią kontaktowali i że powiedziała im, iż chce, abym jak najszybciej wyszedł z Belmarsh. Dodaje, że dziś rano przeniesiono Barry’ego George’a (morderstwo Jill Dando) i że teraz moja kolej. Jednakże przed chwilą dzwonił do niej główny inspektor policji londyńskiej i uprzedził, że otrzymał list od baronessy Emmy Nicholson z żądaniem wszczęcia śledztwa, żeby wyjaśnić, co się stało z 57 milionami funtów, które zebrałem na rzecz Kurdów.

Zapewniam panią Roberts, że nie miałem nic wspólnego z przyjmowaniem i rozdzielaniem pieniędzy dla Kurdów, gdyż zajmował się tym wyłącznie Czerwony Krzyż. Moja rozmówczyni potakująco kiwa głową.

- Jeżeli policja potwierdzi, że nie podejmie śledztwa sugerowanego przez panią Nicholson, to przeniesiemy pana z Belmarsh do zakładu kategorii D z końcem tygodnia.

Ponieważ zawsze w przeszłości wierzyłem w sprawiedliwość, zakładam, że policja prędko potwierdzi, iż w nie jestem w tę sprawę w żaden sposób zamieszany.

Zastępczyni naczelnika powiadamia również, że więzienie w Ford, które na początku wybrałem, nie jest skłonne mnie przyjąć ze względu-

du na rozgłos wokół mojej osoby, ale ma nadzieję, że w poniedziałek przedyskutujemy inne możliwości.

Sugeruje też, że skoro mój następny wykład ma się odbyć w czwartek, powinienem być zwolniony z celi od dziewiątej rano do piątej po południu, aby móc się przygotować w bibliotece, gdzie będę miał do-102

stęp do odpowiednich publikacji. Pani Roberts dobrze wie, że mogę wygłosić ten wykład bez żadnego przygotowania, ale w odróżnieniu od baronessy Nicholson obchodzi ją to, co przeżywam.

4.00 po południu

Godzina Wspólna. W sobotniej przerwie popołudniowej schodzę na parter, mając nadzieję, że obejrzę krykieta w telewizji, ale muszę się zadowolić wyścigami konnymi, gdyż liczne audytorium już obsiadło odbiornik z zamiarem oglądania wyścigu o nagrodę króla Jerzego i królowej Elżbiety w Epsom. Sport monarchów nigdy nie był rozrywką, która by budziła moje największe zainteresowanie. Od dawna zgadzałem się z maksymą George’a Bernarda Shawa o wyścigach konnych, że „to tylko spisek między klasą wyższą i niższą, żeby osku-bać klasę średnią”. Odwracam się od telewizora i widzę drobnego, dość anemicznego młodzieńca, który stoi samotnie w kącie. Ma na sobie dres w kolorze malinowym, oficjalny strój więźniów, którzy nie mają własnego ubrania. Nie natknąłem się na niego wcześniej, ale absolutnie nie wygląda na mordercę. Podchodzę do Fletcha, który, jestem tego pewien, będzie wiedział, kto to taki.

- Dostał dwadzieścia jeden dni za kradzież w sklepie - mówi Fletch - a ma umysł jedenastolatka. - Milknie, a po chwili dodaje: -

Przede wszystkim nie powinni go wysłać do Belmarsh.

- To dlaczego umieścili go w skrzydle dla dożywcotnych? - zapytuję.

- Dla jego bezpieczeństwa - mówi Fletch. - Został zaatakowany na spacerunku dzisiaj po południu, a potem jacyś więźniowie znęcali się nad nim, kiedy wrócił do bloku drugiego. Ma jeszcze

tylko dziewięć dni do odsiadki, więc dali go do mojej celi.

Teraz rozumiem, dlaczego w celi Fletcha są dwa łóżka; podejrzewam, że nie jest to rozwiązanie wyjątkowe w przypadku kogoś, komu grozi niebezpieczeństwo.

Jeden z aparatów telefonicznych jest wolny - rzadki przypadek -

więc korzystam z okazji i dzwonię do Mary do Grantchester. Ma mnóstwo nowin, w tym taką, że były dyrektor służb więziennych, sir David Ramsbotham, napisał do dziennika „The Times”, że wysłanie mnie do więzienia było rzeczą niewłaściwą - praca na rzecz społeczności lokalnej byłaby o wiele pożyteczniejsza. Mówi mi, że także ma góry listów krytykujących sędziowską mowę końcową -
nie wspomni-103

nając o wyroku -jako niesprawiedliwą i że zastanawia się, czy nie był-

by możliwy ponowny proces. Moim zdaniem, nie. Sędzia Potts przeszedł na emeryturę i stawianie go w kłopotliwej sytuacji byłoby ostatnią rzeczą, jakiej by pragnął establishment.

Po trzydziestu siedmiu latach małżeństwa znam Mary tak dobrze, że słyszę w jej głosie ślad przeżyć ostatnich tygodni. Przypominam sobie słowa pani Roberts, jakie wypowiedziała przy naszym pierwszym spotkaniu: „To może być tak samo rujnujące psychicznie dla pańskiej najbliższej rodziny na wolności, jak dla pana w więzieniu”.

Moja karta telefoniczna wartości dwóch funtów już się kończy, ale przedtem mówię Mary, że z niej prawdziwa Porcja, a ja nie jestem Brutusem.

Odkładam słuchawkę i widzę, że stoi przy mnie inny więzień, odsiadujący dożywocie, Colin (ciężkie uszkodzenie ciała). Chce pomówić ze mną o swoim podaniu o przyjęcie na studia eksternistyczne w Ruskin College w Oksfordzie. Rozmawiałem już kilka razy z Colinem; to ciekawy przypadek. W swej młodości (ma teraz trzydzieści pięć lat) był skończonym nicponiem i łobuzem - a w pewnym okresie noto-rycznym chuliganem na stadionach piłkarskich. Napisał na ten temat fascynujący tekst, w którym przyznaje, że jest mu wstyd za to, co wyprawiał. Swoje dorosłe życie Colin spędza przeważnie w więzieniu, a kiedy tam jest, to uważa, że ma obowiązek od czasu do czasu przy-

łożyć jakiemuś funkcjonariuszowi. To zawsze się kończy pobytem w celi izolacyjnej i przedłużeniem wyroku. Kiedyś nawet stracił dwa zęby, co widać, kiedy się śmieje.

- To już historia - mówi, ponieważ teraz ma przed sobą cel. Chce wyjść z więzienia z dyplomem wyższej uczelni i kwalifikacjami, które zapewnią mu przyzwoitą pracę.

Colin jest zdolny, elokwentny i bystry i nie wątpię - przeczytawszy jego eseje i krytyki literackie - że jeżeli zechce zrobić dyplom, to potrafi. I pomyśleć, że ten człowiek nie umiał czytać ani pisać, zanim znalazł się w więzieniu. Przypuszczam na niego atak, zapewniając, że jest wystarczająco zdolny, żeby podjąć studia i dać sobie na nich radę.

Grzmocę pięściami w jego pierś, jakby to był worek treningowy. Colin zwraca się z uśmiechem do dyżurnego, który siedzi za biurkiem po drugiej stronie sali.

- Panie King, ten więzień się nade mną znęca - mówi płaczącym głosem.

104

- Archer, coś mu pan powiedział? - pyta funkcjonariusz, szczerząc zęby.

Powtarzam naszą rozmowę słowo w słowo.

- Archer, masz pan rację - mówi i wraca do czytania „The Sun”.

6.00 po południu

Kolacja. Paluszki wegetariańskie, rozgotowane i tłuste, kleisty groszek i plastikowy kubek wody Highland Spring (49 pensów).

8.00 wieczorem

Właśnie skończyłem czytać moje notatki z tego dnia, kiedy oddziałowy otwiera drzwi celi i staje w nich Fletch. Pyta, czy może do mnie wstąpić na chwilę, co przyjmuję z radością. Siada na brzegu łóżka, a ja częstuję go sokiem z czarnej porzeczki. Fletch przypomina mi, że jest Powiernikiem i dodaje, żebym się do niego zwracał w razie potrzeby.

Następnie wyjaśnia, na czym polega rola Powiernika, i opowiada, że powołano tę instytucję do życia, kiedy piętnastoletni chłopak po-wiesił się w więzieniu w Cardiff około dziesięciu lat temu. Wręcza mi kartkę, na której znajduje się opis tej funkcji. Do obowiązków Fletcha należy między innymi rozpoznanie potencjalnych dręczycieli i - co chyba ważniejsze - potencjalnych ofiar, które przeważnie nie skarżą się ze strachu przed późniejszą zemstą w więzieniu albo poza nim.

POWIERNICY

Kto to taki?

Jak się z nimi skontaktować?

Dlaczego mogę im zaufać?

Powiernicy, tak jak ty, są więźniami, którzy zostali przeszkoleni przez organizację Samarytan zarówno w dziedzinie wiedzy o samobójstwach, jak i umiejętności nawiązywania przyjaźni.

Możesz mówić Powiernikowi o wszystkim z całkowitym zaufaniem, tak jak Samarytaninowi. Wszystko, co powiesz, jest traktowane jako poufne.

Powierników trudno zaszokować i nie musisz mieć skłonności samobójczych, żeby z którymś z nich rozmawiać. Jeżeli masz 105

jakiś zmartwienia czy obawy, czy to duże, czy małe, oni są tutaj dla ciebie. Jeżeli niepokoisz się o przyjaciela albo współto-warzysza z celi i nie jesteś w stanie zwrócić się do funkcjonariusza oddziałowego albo do personelu lekarskiego, to zwierz się Powiernikowi. To nie jest donosicielstwo i może uratować ko-muś życie.

Z Powiernikami łatwo nawiązać kontakt. Ich nazwiska są wypisane na pomarańczowych kartkach na drzwiach ich cel i na większości tablic z ogłoszeniami w bloku, można też zapytać każdego oddziałowego.

Wszystkich Powierników wiąże kodeks zachowania tajemnicy, który obowiązuje nie tylko w budynku więziennym, ale także w wielu więzieniach w całym kraju. Wszelkie naruszenie tajemnicy zniweczyłoby osiągnięte korzyści i dzięki temu kodeksowi pozycja Powierników jest obecnie tak niewzruszona jak drzwi waszej celi.

Proszę go, żeby mi podał jakieś przykłady. Mówi, że w naszym skrzydle jest dwóch narkomanów, uzależnionych od heroiny, i chociaż nie wymienia ich nazwisk, nietrudno zauważyć, że dwójka młodszych więźniów z parteru, odsiadujących dożywocie, ma całe ramiona upstrzone śladami po igłach. Jeden z nich ma zaledwie dziewiętnaście lat i dwukrotnie próbował odebrać sobie życie; pierwszy raz przyjmując za dużą dawkę narkotyku, drugi raz tnąc sobie żyły żyłką.

- Zdążyliśmy w samą porę - oznajmia Fletch. - A potem chłopaka na pięć tygodni zakwaterowano u mnie.

Zdaniem Fletcha, ważna jest dobra współpraca z personelem więziennym - nie nazywa funkcjonariuszy klawiszami ani kangurami -

bo w przeciwnym wypadku system nie będzie działał. Przyznaje, że zawsze będzie istnieć nieprzekraczalna bariera, którą określa mianem żelaznych drzwi, ale zrobił, co mógł, żeby ją obalić, zakładając komitet więzienny, składający się z trzech więźniów i trzech funkcjonariuszy, który się

spotyka raz w miesiącu, żeby dyskutować o wspólnych problemach. Mówi z wyraźną dumą, że w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy w jego skrzydle nie zdarzył się żaden poważny incydent.

Potem opowiada mi o zdarzeniu, jakie miało miejsce, kiedy przed laty został zwolniony z więzienia po odsiedzeniu kary za poprzednie przestępstwo. Postanowił zająć się realizacją czek. Wszedł

106

po schodach, stanął przed bankiem i czekał, aż ktoś otworzy mu drzwi. Fletch spogląda na zamknięte drzwi celi.

- Widzisz - zauważa - one od naszej strony nie mają klamki, więc zawsze musisz czekać, aż ktoś je otworzy.

Byłem tak długo w więzieniu, że po prostu zapomniałem, jak się otwiera drzwi.

W dalszym ciągu Fletch mówi, że dzięki temu, że jest Powiernikiem, ma powód, aby co rano wstać z łóżka. Ale jak my wszyscy, ma swoje problemy. Ma trzydzieści siedem lat i będzie w moim wieku - sześćdziesięciu jeden lat

- kiedy w końcu wyjdzie na wolność.

- Ja już nie zobaczę wolnego świata. - Milknie. - Umrę w więzie

niu. - Milknie znowu. - Tylko jeszcze nie zdecydowałem kiedy.

Fletch bezwiednie uczynił mnie swoim Powiernikiem.

Dzień jedenasty

Niedziela, 29 lipca 2001

6.27 rano

Niedziela w więzieniu nie jest dobrym dniem, bo człowiek spędza bardzo dużo czasu zamknięty w celi. Kiedy pada pytanie dlaczego, funkcjonariusze po prostu odpowiadają:

- Dlatego, że jest za mało personelu.

Ja przynajmniej mogę zająć sześć godzin pisaniem.

Wielu więźniów dożywotnich ma dalekosiężne plany, o niektórych już wspomniałem. Jeden pisze książkę, drugi podejmuje studia, trzeci jest oddanym swojej misji Powiernikiem. I chociaż ja prawie cały dzisiejszy dzień spędzę zamknięty w celi, to Fletch, Billy, Tony, Paul, Andy i „Del Boy” dzięki odpowiedzialnym funkcjom, które pełnią, mogą się poruszać po całym bloku właściwie bez ograniczeń. Jest to sensowne, bo więzień odsiadujący długoletni wyrok może uważać, że sprawiając kłopoty i tak nie ma nic do stracenia, ale jeśli dać mu przywileje - a nieprzebywanie w celi przez cały dzień jest niewątpliwie przywilejem - nie zechce tak łatwo wyrzec się tej swobody.

8.03 rano

Gołę się maszynką Bic, dostarczoną przez więzienie Jej Królewskiej Mości. Codziennie otrzymuje się nową, ale trzymanie w celi dwóch jest karalne, więc co wieczór, tuż przed zaryglowaniem drzwi, trzeba wymienić starą na nową.

Kiedy otwierają się drzwi celi, rzucam się biegiem do łazienki, ale uprzedza mnie czterech młodych Antylczyków. Jeden z nich, Dennis (ciężkie uszkodzenie ciała), ma największą torbę z przyborami toaletowymi, jaką w życiu widziałem. Wypełniają ją różnego rodzaju dezo-doranty i płyny po goleniu. Dennis to wysoki, dobrze zbudowany fa-108

ceť, który rzadko opuszcza ćwiczenia fizyczne. Kiedy sobie pokpiwam z jego torby, odpowiada po prostu:

- Trzeba długo siedzieć, Jeff, żeby za dwanaście pięćdziesiąt tygo dniowo dorobić się takiej kolekcji.

Inny Antylczyk w końcu wychodzi z kabiny i zauważa, że jestem boso.

- To najszybszy sposób, żeby się nabawić kurzajek - ostrzega. -

Niech ci Mary prędko przyśle japonki.

Wielokrotne naciskanie dłonią jednej ręki guzika uruchamiające-go prysznic i równoczesne namydlenie się drugą jest nową umiejętno-nością, którą już prawie opanowałem. Jednak do umycia głowy przydałaby się trzecia. Żałuję, że nie jestem ośmiornicą.

Kiedy w końcu udaje mi się osuszyć, trzy cienkie zielone ręczniczki więzienne są kompletnie mokre - powinienem mieć tylko jeden, ale dzięki „Del Boyowi”... Wracam do celi i ponieważ jestem taki czysty, dotkliwie czuję więzienny zapach. Jeżeli kiedyś przez dwanaście godzin jechaliście pociągiem, a potem jeszcze przez osiem spaliście w poczekal-ni dworcowej, możecie mieć jego połowiczne wyobrażenie. Włożywszy od wczoraj noszone rzeczy, wsypuję do miski płatki kukurydziane. My-

ślę, że jedno opakowanie (funt czterdzieści siedem pensów) wystarczy mi na siedem porcji. Słyszę, jak funkcjonariusz ze stanowiska na parterze wykrzykuje moje nazwisko, ale postanawiam najpierw zjeść płatki i dopiero potem się do niego zgłosić - czy to początki buntu?

Kiedy się melduję, funkcjonariusz Bentley informuje, że w rejestracji mam odebrać paczkę. Nikt tym razem mnie nie eskortuje, gdy tam idę, ani nie rewiduje, kiedy przybywam na miejsce. Okazuje się, że paczka to plastikowa torba, pełna ubrań przysłanych przez Mary: dwie koszule, pięć podkoszulków, siedem par kalesonków, siedem par skarpetek, dwie pary szortów, dres i dwa swetry. Dokładnie tyle, na ile pozwala regulamin więzienny. Wróciwszy do celi, zrzucam od dwóch dni noszone kalesonki i skarpetki, wkładam świeżą odzież i teraz czuję się nie tylko czysty, ale prawie jak człowiek.

Poświęcam sporo czasu, żeby ułożyć resztę rzeczy w małej szafce nad łóżkiem, a ponieważ brak w niej półek, zadanie jest dość karko-

łomne*. Uporawszy się z tym, siadam na łóżku i czekam, aż mnie za-wołają do kościoła.

* Ten rysunek mojej celi wykonał Derek Jones. Nie pozwolono mi jej sfotografować (s. 110-111).

109

,10.39 rano

Funkcjonariusz z parteru wykrzykuje moje nazwisko pośród kilku innych, po czym dodaje jedno słowo: „kościół”. Wszyscy, którzy chcą uczestniczyć w nabożeństwie, meldują się na drugim piętrze i

czekają przy otwieranej kracie koło „bąbla”. Czekanie w więzieniu na następne zajęcia to trochę jak wypatrywanie autobusu. Może nadjechać za kilka minut albo za pół godziny. Zwykle to drugie.

Kiedy tam stoję, podchodzi do mnie Fletch i ostrzega, że w „News of the World” ukazał się artykuł sugerujący, iż „wynoszę się” nad innych więźniów. Przechadzam się swobodnie po strefie, w której nie obowiązują żadne ograniczenia, w białej koszuli i oglądam telewizję, podczas kiedy inni więźniowie siedzą pod kluczem. Mówi, że chociaż wszyscy w skrzydle wiedzą, że to żart, to reszta bloku (trzy skrzydła) nie zdaje sobie z tego sprawy. Radzi, żebym dzisiaj unikał spacerniaka, bo a nuż ktoś będzie chciał „jakoś to zinterpretować”.

Uważniejsi czytelnicy przypomną sobie, że biała koszula została mi odebrana w zeszłym tygodniu, aby mnie nie pomyłono z funkcjonariuszem więziennym, że moje nieudolne próby obejrzenia krykieta w telewizji skończyły się na śledzeniu wyścigu o nagrodę króla Jerzego i królowej Elżbiety i wszyscy z was już wiedzą, jak wiele godzin przesiedziałem zamknięty w celi. Że „News of the World” tak potrafi przekręcić każdy fakt, nawet mnie wprawia w zdumienie.

Ciężka, okratowana furta na drugim piętrze w końcu się otwiera i dołączam do więźniów z pozostałych trzech skrzydeł, którzy chcą uczestniczyć w porannym nabożeństwie. Chociaż każdy jest poddawany rewizji, mnie sprawdzają pobieżnie. Przypomina to trochę kontrolę celną na Heathrow. Tego przedpołudnia pełni służbę dwoje funkcjonariuszy przeprowadzających rewizję, mężczyzna i kobieta. Widzę, że kolejka do kobiety jest dłuższa niż ta do mężczyzny.

- Oni nie mogą zwiększyć człowiekowi wyroku za jego myśli -
szepce jeden z więźniów.

Wchodzę do kaplicy i zajmuję, jak przedtem, miejsce w drugim rzędzie. Dzisiaj czarni stanowią prawie osiemdziesiąt procent wiernych, chociaż proporcja w więzieniu kształtuje się mniej więcej jak pół na pół. Nabożeństwo odprawia biały oficer Armii Zbawienia, a prawie cały chórek towarzyszący też jest biały. Kiedy następnym razem będę widział się z Powe'em, muszę pamiętać, żeby mu powie-112

dzieć, jak wiele kościołów, wcale nie tak daleko od Belmarsh, ma wspaniałe czarne chóry i niezwykłych kaznodziejów, którzy zachęcają wiernych do okrzyków „Alleluja!”. To jeszcze jedna rzecz, jakiej się dowiedziałem, kiedy byłem kandydatem na burmistrza.

W tym tygodniu zgromadzeni w kaplicy dzielą się na dwie grupy, przy czym linia rozgraniczająca przebiega mniej więcej w połowie.

Więźniowie siedzący w ośmiu pierwszych rzędach przyszli tu tylko w jednym celu - żeby słuchać każdego wersu Biblii, na który powołuje się kapelan, śpiewać pełną mocą głosu i w pełni uczestniczyć duchowo w nabożeństwie. Dziewięć tylnych rzędów wykazuje niewielkie zainteresowanie przebiegiem nabożeństwa i, jak zauważyłem, ludzie tam siedzący skupiają się w małe, dwu-, trzy- i czteroosobowe grupki i z pochylonymi głowami o czymś rozprawiają. Przypuszczam, że są przyjaciółmi z różnych oddziałów, dla których nabożeństwo stanowi jedną z niewielu okazji, żeby się spotkać, pogawędzić i przekazać wiadomości. Możliwe, że również narkotyki - jeżeli nie wzdragają się przed upokarzającymi czynnościami*.

Kapelan wybrał na tę niedzielę fragment Ewangelii św. Jana i skoncentrował się szczególnie na synu marnotrawnym. W zeszłym tygodniu tematem kazania był Kain i Abel. Zatem mogę przypuszczać, że w przyszłym będzie złodziejski honor**.

Kapelan oznajmia swojej trzódce, że jego kazanie będzie trwało tylko pięć minut, po czym mówi przez dwanaście, ale trzeba zauwa-

żyć, że regularnie przerywają mu okrzyki „Alleluja!” i „Błogosław nas, Panie”. Przewodnim wątkiem kazania jest przesłanie, że jeżeli opuścisz łono swej rodziny, spróbujesz żyć na własną ręką

i coś się nie uda, to nieznaczy, że twój ojciec nie przyjmie cię z powrotem, jeśli przyznasz, że popełniłeś błędy. Liczni wierni z pierwszych czterech rzędów zaczynają podskakiwać i wznosić radosne okrzyki.

Nabożeństwo skończone, wszystkich znowu rewidują, wracam pod eskortą do bloku pierwszego, ale przedtem kilku współwięźniów z bloku trzeciego podchodzi do mnie, żeby się przywitać. Pamiętacie Marka, Kevina i Dave'a? Opowiadają mi o swoich najnowszych na-dziejach i oczekiwaniach, gdy powoli rozchodzimy się do innych blo-

* Narkotyki są często pakowane do kondomu i wpychane do odbytu. Przekazywanie ich w tylnej ławce kaplicy nie należy do przyjemności. ** „Córka marnotrawna” i „Złodziejski honor” - to tytuły kolejnych bestsellerów Jeffreya Archera (przyp. tłum.).

113

ków. W więzieniu nikt się prędko nie porusza, bo jest to jeszcze jeden sposób, żeby spędzić więcej czasu poza celą. Przechodząc obok stanowiska strażnika na końcu mojego skrzydła, spostrzegam na biurku stertę niedzielnych gazet. Jeżeli chodzi o popularność, to prym wiedzie „The News of the World”, w następnej kolejności jest „Sunday Mirror”, ale całkiem duże zapotrzebowanie jest również na „Sunday Timesa”.

Zastaję moją celę zamiecioną i uporządkowaną, na łóżku leży świeża pościel. Jestem zaskoczony, bo w informatorze więziennym nie było żadnej wzmianki o sprzątaniu cel. Później się dowiedziałem, że Taal (Ghańczyk, morderstwo, dożywocie) chciał mi podziękować za pomoc w napisaniu listu do matki. Odwdzięczanie się za przysługi jest w więzieniu bardziej powszechne niż na wolności.

12.00 w południe

Lunch: tarty ser, pomidor, zielone jabłko i kubek wody mineralnej Highland Spring. Kończy mi się woda i w przyszłości będę musiał zamawiać w kantynie więziennej więcej butelek Highland Spring, a mniej czekolady.

Po lunchu siadam do pisania drugiej wersji porannego tekstu, ponieważ wypuszczą mnie z celi dopiero po czwartej, i to tylko na czterdzieści pięć minut. Przecieram okulary i łapię się na tym, że bezwiednie zacząłem rozdzielać podwójną chusteczkę higieniczną na dwie pojedyncze części, żeby ją jak najlepiej wykorzystać.

4.00 po południu

Godzina Wspólna. Podczas godzinnej przerwy nie dołączam do innych więźniów na spacerunku ze względu na artykuł w „News of the World”, co znaczy, że będę tkwił wewnątrz murów przez cały dzień.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz przez całą dobę nie wychodziłem z domu.

Jestem w celi Fletcha (morderstwo) wraz z Billym (morderstwo) i Tonym (tylko marihuana, ucieczka do Paryża). Dyskutują, roztrzą-

sając wszelkie szczegóły, o artykule zamieszczonym w „Sunday Timesie” o pedofilach, czemu uważnie się przysłuchuję. Zarówno przy tym temacie, jak i przy innych dotyczących tego, co dzieje się w wię-

114

zieniu, przychodzą mi na myśl słowa lorda Longforda: „Nie sądz, że wszyscy więźniowie mają ustalone poglądy”. Czuję się pewniej, kiedy dyskusja schodzi na przywództwo partii torysowskiej. Tylko Tony, który czytuje dziennik „The Times”, może być uznany za zaangażowanego liberała. Większość innych, jeżeli można ich gdziekolwiek przypisać, to Nowi Laburzyści*.

Wszyscy obecni się zgadzają, że Ken Ciarke to porządny gość -

piwko w pubie i tak dalej - i nie przywiązuje wagi do swojego wyglą-

du, ale wiedzą bardzo mało na temat Iaina Duncana Smitha poza tym, że wywodzi się z prawego skrzydła partii, a zatem musi być ich wrogiem. Sugeruję, że to nigdy nie jest takie proste. IDS ma wyraźne poglądy na większość zagadnień i nie powinno się go szufladkować tak stereotypowo. To skomplikowany i rozumny człowiek - jego ojciec, przypominam im, był bohaterem drugiej wojny światowej, jako pilot spitfire'a walczył z Niemcami i zdobył Distinguished Service Order z galonem. To im się podoba. Przypuszczam, że gdybyśmy teraz toczyli wojnę, jego syn robiłby dokładnie to samo.

- Ale on ma takie same odruchy jak Ann Widdecombe - mówi Fletch. - Zapudłować ich i wyrzucić klucz.

- Może masz rację, ale nie zapominaj, że Ann popiera Kena Ciarke[^] mimo jego poglądów na Europę.

- To się nie trzyma kupy - powiada Billy.

- Polityka jest jak więzienie - mówię. - Nie wolno niczego przyjmować za pewnik, bo często rzeczywistość okazuje się całkiem inna od tego, co się nam wydaje.

5.00 po południu

- Wracać do cel! - huczy głos.

Rozstaję się z dożywotnimi i wracam do swojej celi na najwyższym piętrze, gdzie będę zamknięty do jutra rano do dziewiątej - szesna-

ście godzin. Tylko pomyśleć, szesnaście godzin. To czas, jaki człowiek spędza między wstaniem rano a położeniem się do łóżka wieczorem.

W chwili gdy stoję przed drzwiami celi, inny więzień skazany na dożywocie (Dough) podaje mi kopertę.

* Skazani na karę więzienia, członkowie Izby Lordów oraz uznani sądownie za obłąkanych nie mają prawa głosu. Ja obecnie należę do dwu z tych kategorii.

115

- To od więźnia z bloku drugiego - wyjaśnia. - On ci powiedział o tym wszystko wczoraj na spacerunku.

Rzucam kopertę na łóżko i włączam radio, które przypomina, że dziś mamy najgorętszy dzień w roku (+33°C). Otwieram małe okienko na całą szerokość (sześć cali), żeby wpuścić choć najlżejszy powiew wiatru, ale i tak czuję, że się pocę, kiedy siadam przy stole, żeby sprawdzić dzisiejsze zapiski. Spoglądam w górę na szafkę za łóżkiem, wdzięczny za czyste ubrania, przysłane mi przez Mary tego ranka.

6.00 wieczorem

Kolacja. Nie mogę patrzeć na potrawy w kuchence, mimo że Tony za-chwala krokiet z mięsem, więc znów pożywiam się tartym serem, otwieram małą puszkę z surówką z białej kapusty (41 pensów) i -

katastrofa - wypijam do ostatniej kropli ostatnią butelkę wody Highland Spring. Całe szczęście, że jutro wypada dzień zamówień w kantynie i będę mógł znów wydać dwanaście funtów pięćdziesiąt pensów.

Wczesnym wieczorem przeglądam swój rękopis, a ponieważ nie mam żadnych listów, którymi powinienem się zająć, zwracam uwagę na kopertę, wręczoną na spacerunku Dougowi. Okazuje się, że w środku jest scenariusz telewizyjny do trzydziestominutowego odcinka, zapowiadającego serial z akcją w więzieniu kobiecym. W jakiś sposób przeszmurowano go z Holloway do Belmarsh (nic dziwnego, że łatwo zaopatrzyć się w narkotyki). Autor zrezygnował z języka więzienny i daje

interesujący wgląd w życie w więzieniu kobiecym, ale boję się, że ten temat wyeksploatował do znudzenia „Blok więzienny H” i

„Oddział dla trudnych więźniarek”. To fascynujące śledzić bezpo-

średnie różnice między więzieniem kobiecym a Belmarsh. Szczególnie metody przeprowadzania rewizji, fakt, że miłość lesbijska jest o wiele powszechniejsza w więzieniach kobiecych niż homoseksualizm w męskich i, choć trudno w to uwierzyć, poziom przemocy wyższy. One nie czekają z zadaniem pierwszego ciosu, aż ofiara znajdzie się w łazience. Dopadną gdziekolwiek, kiedykolwiek.

Jest długi, upalny wieczór i przychodzą do mnie w odwiedzinach

„Del Boy”, Paul, Fletch i na koniec Tony.

Tony (kuchenka, tylko marihuana, ucieczka do Paryża) rozpoczął

życie kryminalisty jako więzień kategorii B i po upływie trzech i pół

roku został przeniesiony do więzienia otwartego w Ford (pierwsze 116 przestępstwo, nienotowany za użycie przemocy). Po ośmiu miesiącach sprawowania bez zarzutu pozwolono mu odwiedzić jakieś miasto, więc wybrał się ochoczo do Bognor Regis. Jednakże zwiedziwszy czte-rokrotnie ten nadmorski kurort w ciągu następnych czterech miesięcy, trochę się znudził zimną, opuszczoną plażą i ubogim centrum handlowym. Pomyślał wtedy, że chciałby też zobaczyć inne miasta.

Kiedy wypuszczono go w następnym miesiącu, wsiadł do pociągu kursującego do portu promowego i wysiadł w Paryżu.

Władze więzienne nie były zachwycone. Dopiero kiedy dwa lata później przeniósł się do Hiszpanii, wytropiono go i aresztowano. Spę-

dziwszy rok i cztery miesiące w więzieniu hiszpańskim (kantyna, pięć-

dziesiąt funtów tygodniowo i żadnego zamykania w celi aż do dziewiątej), został odesłany do

Anglii. Tony obecnie przebywa w tym przeznaczonym dla szczególnie niebezpiecznych przestępców, o zaostrzonym rygorze więzieniu, z którego nikt nigdy nie uciekł, i zostanie tu, dopóki nie odsiedzi całego wyroku (dwanaście lat). Nie podwyższono mu wyroku, ale nie zostanie umorzony (zwykle do połowy za dobre zachowanie) i z pewnością Tony nie ma szans na otwarte więzienie. Jednak ten pięćdziesięcioczworoletni mężczyzna uśmiecha się i nawet potrafi opowiadać swoją historię, pokpiwając z siebie.

Tony zostawia mi „Sunday Mirror”. Wprawdzie nie jest to gazeta, którą normalnie czytuję, ale przynajmniej mogę się na bieżąco zorientować w wynikach rozgrywek krykietowych między hrabstwami, nie mówiąc już o tym, że się dowiaduję, który z zawodników atakujących znajdzie się w składzie narodowej drużyny angielskiej w trzecim meczu przeciw reprezentacji Australii w czwartek. Moje ukochane Somerset jest na drugim miejscu w mistrzostwach hrabstw i osiąga dobre wyniki w odbywających się właśnie zawodach przeciwko Glamorgan.

Jeżeli chodzi o reprezentację narodową, to sprawozdawca krykietowy „Mirror” sugeruje, że czas przywrócić Tufnella. Prowadziłem aukcję na rzecz Phila jednego roku pod koniec jego kariery i chociaż nie zawsze cieszy się on powodzeniem u selekcjonerów, to tłumnie wypeł-

niona sala bankietowa hotelu Dorchester była najlepszym dowodem na to, jaką estymą darzą go kibice z Middleseksu. Jak się wydaje, Thorpe, Hussain, Vaughan i Croft są kontuzjowani i nie będą mogli stanąć na linii startowej, podczas gdy Atherton, który się wcale do tego nie pali, jeszcze raz zostanie wezwany, żeby dowodzić drużyną.

To chyba nie wpłynie na poprawę jego umiejętności rozgrywającego.

Wreszcie kończę „Księżyc jest balonem”; po przeczytaniu książki ma się wrażenie, że Niven prowadził czarowne życie. Spotkałem go tylko raz, podczas uroczystego literackiego lunchu w Yorkshire, gdzie był na tournée autorskim z „Bring on the Empty Horses”, kontynuacją książki, którą dopiero co skończyłem czytać. Nigdy tego nie zapomnę, bo drugim autorem był James Herriot, któremu sławę przyniosła książka „To nie powinno się zdarzyć”. Ja tam się znalazłem, żeby promować swoją debiutancką powieść „Co do grosza” i oczywi-

ście cieszyłem się, że jestem w tak świetnym towarzystwie. Kiedy zakończyły się przemówienia, autorów odprowadzono do stołu, gdzie mieli podpisywać książki.

Kolejka do Nivena ciągnęła się przez całą salę jadalną i wystawała na zewnątrz, wielbicieli Herriota było prawie tyle samo. Do mnie - psa z kulawą nogą. Skończywszy podpisywać, Niven podszedł łaskawie do mojego stołu, zakupił egzemplarz „Co do grosza” i powiedział, że przeczyta książkę nazajutrz w samolocie do Los Angeles. Był

jedną z trzech osób, które zapłaciły za książkę. Hojny gest, typowy dla niego, jak mi potem mówiło wielu ludzi. Proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy kilka dni później dostałem odręcznie napisany list z Bel Air Hotel.

Drogi Jeffreyu!

Bardzo mi się podobało „Co do grosza” i nie wątpię, że do czasu, kiedy będziesz w moim wieku, sprzeda się jeszcze więcej egzemplarzy tej książki niż moich „Horses”.

Twój oddany

David

10.00 wieczorem

Punkt dziesiąta zaczyna się ryk muzyki rap.

cwel to twój cel, bracie, w łeb mu strzel

cwel to twój cel, bracie, w łeb mu strzel

cwel to twój cel, bracie, w łeb mu strzel

cwel to twój cel, bracie, w łeb mu strzel

cwel to twój cel, bracie, w łeb mu strzel

cwel to twój cel, bracie, w łeb mu strzel

118

Czy się wam zdarzyło kiedyś stanąć na światłach ulicznych przy otwartym samochodzie z radiem włączonym na cały regulator? Czyż nie pozwalacie wtedy hałaśliwemu kierowcy odjechać na pełnym gazie? Wyobraźcie sobie, że jesteście w celi, z której obu stron ryczy muzyka, ale wy nie możecie nacisnąć na pedał gazu i odjechać.

Dzień dwunasty

Poniedziałek, 30 lipca 2001

6.03 rano

Zaspałem, ale zbudziły mnie wilczury na porannym obchodzie. Są równie niezawodne jak budzik, ale nie tak radosne i nastrajające optymistycznie jak kogut. Wkładam dres, siadam przy stole i piszę przez dwie godziny.

8.10 rano

Miska płatków kukurydzianych z mlekiem UHT plus luksusowy do-datek banana, przeschumowanego przez „Del Boya” ze sklepiu. Siedzę na skraju łóżka i czekam, co los przyniesie.

10.00 rano

Mówią mi, że muszę się zgłosić do warsztatów, chociaż zapisałem się na edukację. Znowu długa wędrówka do innej części budynku. Tym razem prowadzą nas do wielkiej kwadratowej sali, rozmiarami zbliżonej do kaplicy, ale z bielonymi, nagimi ścianami z cegieł. Pierwszą osobą, jaką rozpoznaję, jest Fletch, który siedzi w głębi sali obok strażnika za stołem na koziołkach. Najwyraźniej jest tu szefem.

W pracowni stoi pięć rzędów stołów długości trzydziestu stóp i po obu ich stronach siedzą więźniowie w zwartym kręgu. Moja grupa składa się z czterech osób, których praca polega na napełnianiu woreczków plastikowych wszelkimi ingrediencjami, potrzebnymi do za-parzenia filiżanki herbaty. Na środku stołu stoją wielkie kubły plastikowe, w których piętują się małe pakieciki. Na końcu stołu siedzi milczący Serb, który wkłada cztery saszetki z cukrem do każdego woreczka i następnie posyła swoje dzieło przez stół Libańczykowi, który dodaje trzy saszetki z mlekiem, po czym pof zesuwa woreczek do face-120

ta z Esseksu, który dorzuca trzy torebki herbaciane i przekazuje woreczek mnie. Moje zadanie polega na zamknięciu woreczka i wrzuceniu go do wielkiego otwartego kubła z mojej strony stołu.

Mniej więcej co piętnaście minut przychodzi inny więzień, którego imienia nie udało mi się dowiedzieć, i opróżnia kubel. To otępiające zajęcie ciągnie się około dwóch godzin, za co na rachunku w kantynie dopiszają mi dwa funty.

Serb (cukier), który siedzi po przeciwnej stronie stołu, ma, jak przypuszczam, około trzydziestki. Nie interesuje go żaden temat oprócz losu byłego prezydenta Miloševića i tego, że nie współpracuje on z Trybunałem Europejskim w Hadze. Nie chce mówić, za co się tu znalazł i jaki ma wyrok.

Ali, Libańczyk (mleko w proszku), który siedzi naprzeciwko mnie, jest bardziej przystępny. Skazano go za „nadużycie zaufania”. Ali mi mó-

wi, że pracował w znanej firmie, specjalizującej się w kartach kredy-towych, i po kilku latach dostał awans na kierownika oddziału londyń-

skiego. Zadzurzył się wtedy w pewnej Amerykance z kosztownymi wyma-ganiami, która przywykła do stylu życia, na jaki nie było go stać. Ali zaczął

co wieczór pożyczać (jego słowa) pieniądze z firmowego sejfu. Zabierał kobietę do kasyna, gdzie jedli darmowy posiłek, po czym przystępował do gry. Jeżeli wygrywał, następnego ranka wkładał pieniądze z powrotem do sejfu. Jeżeli przegrywał, następnego wieczoru pożyczal więcej. Kiedyś wygrał pięć tysięcy funtów i nazajutrz oddał wszystko co do pensa.

Do chwili kiedy dziewczyna go rzuciła i odleciała do Stanów, Ali zdążył „pożyczyć” dwadzieścia osiem tysięcy funtów. Postanowił wyznać prawdę i opowiedzieć o wszystkim szefowi, zapewniając firmę, że ma zamiar zwrócić dług co do pensa.

Ali sprzedał dom, spieniężył polisę ubezpieczeniową, zastawił wartościowe rzeczy i zwrócił firmie wszystkie pieniądze. Został później aresztowany, oskarżony o nadużycie zaufania i w zeszyły piątek skazany na półtora roku. Prawdopodobnie odsiedzi siedem miesięcy, a w przyszłym tygodniu mają go przenieść do więzienia otwartego w Ford. Ma pięćdziesiąt trzy lata, jest inteligentnym i potrafiącym się wysławić mężczyzną, który godzi się z tym, że już nigdy nie będzie mógł pracować w tym kraju. Zamierza wyjechać do Ameryki albo wrócić do Libanu, gdzie ma nadzieję zacząć nowe życie.

Moją była sekretarka, Angie Peppiatt, główny świadek oskarżenia w mojej sprawie, przyznała się do tego samego przestępstwa - naduży-121

cia zaufania - składając zeznanie w trakcie procesu. Nie potrafiła wytłumaczyć, gdzie się podziały tysiące funtów, uśmiechnęła się tylko do sędziego i powiedziała: „Robiłam rzeczy, których się teraz wstydzę, ale taka była poetyka tego czasu”. Ostatnio poprosiłem mojego adwokata, żeby przekazał policji tę sprawę ze wszystkimi szczegółami i sprawdził, czy zostanie poddana tak surowemu śledztwu jak ja. Możliwe, że do czasu opublikowania tej książki poznamy odpowiedź.

Facet z Esseksu (torebki herbaciane), siedzący koło Alego, chełpi się przed każdym, kto go słucha, że jest zawodowym gangsterem, specjalizującym się w rabowaniu banków. Gang składa się z jego szwagra, przyjaciela i jego samego. Mówi, że bardzo dobrze im się powodzi, ale się spodziewają, że przynajmniej połowę swoich lat aktywności zawodowej spędzą w więzieniu. Trudno spotkać dwóch tak różnych ludzi jak facet z Esseksu i Ali.

Więzień, który się pojawia co piętnaście minut, aby opróżnić wielki kubek na krańcu stołu, zaraz odchodzi, więc nie mogę się o nim wiele dowiedzieć oprócz tego, że ma dwadzieścia trzy lata, po raz pierwszy poróżnił się z prawem, jego proces jeszcze się nie odbył i ma nadzieję, że wyjdzie na wolność. A gdyby nie, mówi, to wykorzysta czas w więzieniu na studia historyczne na otwartym uniwersytecie.

Pewno nie zdaje sobie sprawy, iż właśnie się przyznał, że jest winny.

Syrena wyje na znak, że dwie godziny dobiegły końca, i wszyscy zostajemy zaprowadzeni na swoje oddziały i zamknięci w celach aż do lunchu.

12.00 w południe

Lunch. Potrawy są beznadziejne, więc muszę się zadowolić puszczką sałatki ziemniaczanej Heinza (61 pensów) i herbatnikami McVitie's (17 pensów). Kiedy wracam z kuchenki, widzę Andy'ego przy ogrodzeniu odgraniczającym oddział od kantyny. Przez otwór w drucianej siatce przeciska butelkę wody mineralnej Highland Spring - mój radosny akcent tego dnia.

2.00 po południu

Odwiedza mnie niespodziewanie kapelan David Powe. Jest w kolorat-ce, tej samej beżowej marynarce, tych samych ciemnoszarych 122

spodniach i tych samych butach, co poprzednio. Mogę z tego tylko wnioskować, że ma jeszcze niższą pensję niż funkcjonariusze więzienni. Kapelan dotrzymał obietnicy i zdobył papier rysunkowy dla Dereka Jonesa, który nie może sobie pozwolić na więcej niż jeden blok tygodniowo.

Kapelan oznajmia, że na najbliższe trzy tygodnie wyjeżdża wraz z rodziną na wakacje i na wypadek, gdyby mnie już nie zobaczył, życzy mi, żeby mi się poszczęściło z apelacją, i ma nadzieję, że wkrótce zostaną przeniesiony do mniej odstręczającego miejsca niż Belmarsh.

Czytam mu mój opis nabożeństwa, które odprawiał w zeszłym tygodniu. Chichocze na wzmiankę o Kainie i Ablu - jest więc człowiekiem umiejącym się śmiać z samego siebie. Po chwili odchodzi, żeby poszukać Dereka i wręczyć mu blok rysunkowy.

Dopiero kilka godzin później przyszło mi do głowy, że pewno zapłacił za papier ze swojej kieszeni, i ogarnęło mnie poczucie winy.

2.48 po południu

Drzwi celi otwiera funkcjonariuszka Taylor i wchodzi do środka z przyrządem przypominającym kamerton. Podchodzi do okienka i opukuje po kolei każdy z czterech prętów krat.

- Chcę się upewnić, czy pan ich nie poluzował albo czegoś nie podmienił - wyjaśnia. - Lepiej, żeby pan nam nie uciekł, no nie?

Zdumiewają mnie jej słowa, ponieważ trzecie piętro dzieli od dziedzińca więziennego, bagatela, siedemdziesiąt stóp, a stamtąd trzeba by wleźć na mur wysoki na trzydzieści pięć stóp, zwieńczony zasiekami z drutu kolczastego. Magik Houdini musiałby się dobrze natężyć, żeby dokonać

takiego wyczynu. Jak się potem dowiedziałem, za tym murem jest następny, równie wysoki, nie wspominając już o sforcie wilczurów, które nie reagują na komendę

„Siad, Reks!”.

Mogę tylko przypuszczać, że ta czynność jest ujęta w instrukcji więziennej w rozdziale pod tytułem „Zadania do wykonania, raz na dzień, raz na tydzień, raz w roku, raz w życiu”*.

* Sprawdziłem później. To jest w przepisach więziennych pod nagłówkiem „Zam-ki, rygle i kraty”.

123

4.00 po południu

Zgłosiłem się znowu na salę gimnastyczną, bo odczuwam dotkliwie brak ćwiczeń fizycznych. Kiedy funkcjonariusz wykrzykuje: „Gim-nastyka!”, staję pierwszy w kolejce, która się ustawia na środkowym piętrze. Kiedy otwiera się furta, dyżurny instruktor mnie informuje, że w zajęciach może uczestniczyć tylko ośmiu więźniów z jednego skrzydła, a ja zapisałem się jako dwunasty. Dla mnie to najgorsza chwila te-go dnia.

Wracam na parter i oglądam pierwszą część czarno-białego filmu z Humphreym Bogartem, gdzie aktor występuje w charakterze wil-ka morskiego, który odgrywa ważną rolę w wygraniu wojny na pół-

nocnym Atlantyku. Jednak o piątej odsyłają nas wszystkich do cel, tak że nigdy już się nie dowiem, czy to Niemcy, czy Amerykanie wy-grali ostatnią wojnę.

5.20 po południu

Mam niezapowiedzianą wizytę dwóch starszych rangą funkcjonariuszy więziennych, Scanella i Greena. Trzeba powiedzieć, że większość spotkań w więzieniu jest niezapowiedziana; nikt tu nie telefonuje z gó-

ry, żeby umówić termin spotkania przez sekretarkę. Panowie są za-niepokojeni, że przestałem wychodzić po południu na spacer, aby przez czterdzieści pięć minut zaczerpnąć świeżego powietrza i rozru-szać się. Dotarła do nich pogłoska, że ostatnim razem groził mi wię-

zien i dlatego zostaję w celi. Opowiadam im, co się zdarzyło na dziedzińcu, ale dodaję, że nie powiem, jak się nazywa ani jak wygląda młody łobuz. Wychodzą dwadzieścia minut później z pustymi kart-kami, bez sprawozdania.

Pytam Tony’ego, co by się stało, gdybym im podał nazwiska dwóch winowajców.

- Jeszcze dzisiaj zostaliby przeniesieni do innego więzienia - odpowiada Tony.

- Czy nie łatwiej byłoby mnie przenieść? - sugeruję.

- Na Boga, nie - rzece Tony. - To by wymagało odrobiny wyobraźni, nie mówiąc o zdrowym rozsądku.

124

6.00 wieczorem

Kolacja. Duszone jarzyny i lody owocowe na patyku. Lody pyszne.

6.43 wieczorem

Do mojej celi przychodzi Fletch i próbuje mnie przekonać, że moim obowiązkiem jest podać nazwiska chuliganów, którzy grozili mi na spacerunku, bo jeżeli tego nie zrobię, to wkrótce powtórzą to samo wobec kogoś innego, kto nie potrafi się obronić. To słuszny argument, ale odpowiadam, że gdybym podał Scanellowi i Greenowi nazwiska tamtych, to nazajutrz tytuły w gazetach by oznajmiały: „Archer pobity na spacerunku”, „Archer domaga się superochrony”, „Szczypty personel więzienny pracuje w nadgodzinach, żeby ochronić Archera”,

„Archer donosi klawiszowi na więźnia”. Nie, dziękuję, mówię Fletchowi, raczej posiedzę w celi i popiszę. Wzdycha i wychodząc, zostawia mi swój egzemplarz gazety „Daily Telegraph”. Co za luksus zagłę-

bić się w gazecie liczącej siedemdziesiąt dwie strony, choćby wczoraj-szej. Pożeram każdą stronę.

Tematem dnia są wyniki sondażu przeprowadzonego na zlecenie

„Telegraph” przez youGov.com, świadczące o tym, że chociaż Iain Duncan Smith plasuje się za Kenem Clarke’em od 40 do 60 punktów w ogólnokrajowych badaniach opinii publicznej, to ma znaczną przewagę wśród członków partii. Wydaje się, że sytuacja konserwatystów jest bez wyjścia. Jedyną osobą, która może podążyć do urny wyborczej, śmiejąc się do rozpuku, to na pewno Tony Blair.

7.08 wieczorem

Odwiedza mnie Paul, roznosiciel herbaty - dzięki tej funkcji może się włóczyć po więzieniu, podczas gdy reszta nas „siedzi pod celą”.

Oznajmia, że ma mi coś do powiedzenia, więc biorę do ręki notes, siadam na brzegu łóżka i słucham.

Paul jest słusznego wzrostu i dobrej wagi i wygląda na faceta, który dałby sobie radę w bójce. Zaczyna od tego, że dopiero co skończył

kurację odwykową w ośrodku księżnej Diany w Norfolkku dla narkomanów. Leczone go z uzależnienia od heroiny osiem miesięcy. Od razu pytam, czy uważa się za w pełni wyleczonego. Paul siedzi, mil-125

cząc, i nie odpowiada na moje pytanie. Najwyraźniej nie po to przyszedł do mnie, żeby o tym mówić. Potem tłumaczy, że w trakcie kuracji polecono mu napisać obszerną samoocenę i pyta, czy zechcę ją przeczytać, lecz nalega, żeby nikt na oddziale nie dowiedział się, co zawiera.

- Nie zawracałbym ci tym głowy - dodaje - gdyby nie to, że kilku więźniów na tym oddziale miało podobne doświadczenia, i wcale nie są to ci, po których byś się tego spodziewał. - Nie mówi nic więcej i wychodzi.

Gdybyście się natknęli na Paula w pobliskim pubie, pomyślelibyście, że to dobrze prosperujący biznesmen z klasy średniej (znalazł się w więzieniu za oszustwa z kartami kredytowymi). Jest inteligentny, elokwentny i pełen wdzięku. W gruncie rzeczy nie wygląda na innego niż my wszyscy, ale niby dlaczego miałyby wyglądać inaczej? Nie chce, żeby ktoś znał jego przeszłość; nie mówię o jego „przeszłości kryminalnej”.

Ledwo zamykają się za nim drzwi celi, zaczynam czytać spisana je-go własną ręką relację. Miał szczęśliwe dzieciństwo do szóstego roku życia, kiedy jego rodzice się rozwiedli. Dwa lata później matka wyszła powtórnie za mąż. Potem on i jego bracia dostawali regularnie w skórę od ojczyma. Jediną osobą, do której miał zaufanie, był wujek, który się z nim zaprzyjaźnił i okazał się pedofilem. Tej drugiej re-welacji nie włączyłbym do fabuły powieści, gdyż okazuje się, że ów wujek siedzi obecnie w bloku drugim, skazany za czyn lubieżny na młodocianym. Obaj mężczyźni widują się przez siatkę ogrodzenia przedzielającego dziedziniec podczas popołudniowych spacerów. Paul nie wie, co by zrobił, gdyby kiedyś stanął twarzą w twarz z wujem. W

swojej spowiedzi ani razu nie eksponuje tego jako usprawiedliwienia swego przestępstwa, ale zauważa, że syndrom molestowania dzieci często występuje u więźniów odsiadujących długoletnie wyroki.

Trudno mi się z tą myślą pogodzić, gdyż sam miałem beztrudne dzieciństwo. Jednak postanawiam spytać Fletcha, czy Paul: a) mówi prawdę, b) czy jego ogólna ocena jest słuszna.

Kiedy w końcu zapytałem o to Fletcha, jego odpowiedź mnie zaszokowała*.

* To zdanie zostało dodane w dwa tygodnie pó napisaniu pierwotnego tekstu.

10.00 wieczorem

Odczytawszy dwukrotnie relację Paula, zabieram się do sterty najnowszej korespondencji - trochę ponad sto listów - która dodaje mi otuchy, topniejącej w momencie, gdy włączam program czwarty na wiadomości o dziewiątej i dowiaduję się, że na razie nie zanosi się na przeniesienie mnie z tej piekielnej dziury.

11.00 wieczorem

Otwieram książkę Johna Grishama „Wspólnik” i udaje mi się przeczytać siedem rozdziałów do momentu zgaszenia światła tuż po północy. Trudno uwierzyć, ale nie ma rapu.

Dzień trzynasty

Wtorek, 31 lipca 2001

5.55 rano

Dziś budzę się jeszcze przed wilczurami. Wreszcie wpadłem na to, dlaczego tak głośno ujadają. Bo jedzą to samo, co więźniowie. Piszę przez dwie godziny.

8.00 rano

Kończę pudełko płatków kukurydzianych i wypijam do ostatniej kropli mleko, z nadzieją że moje zamówienie w kantynie zmaterializuje się za kilka godzin. Ubieram się. Mogę zapiąć pasek o jedną dziurkę ciaśniej - pewno straciłem kilka funtów wagi, ale nie mam żadnego innego sposobu, żeby to sprawdzić.

9.00 rano

Otwierają się drzwi mojej celi, ale nie idę razem z innymi więźniami do warsztatów, gdyż mam spotkanie z biegłą do spraw edukacji, zwaną przez więźniów Niedobiegłą - żart, którego musi mieć serdecznie dość.

Widać już jest, bo funkcjonariusz z rejestracji wzywa mnie, a, do-kładniej mówiąc, wyrzaskuje moje nazwisko, gdyż ja jestem na najwyższym piętrze, a urzędujący na parterze funkcjonariusze więzienni nigdy się stamtąd nie ruszają, o ile nie muszą. Schodzę na dół. Judy jest niską blondynką przy kości, ma około czterdziestki i miło, optymistycznie się uśmiecha. Biorę dwa krzesła ze sterty przy telewizorze i stawiam je pod oknem na drugim końcu sali. Chyba jest zdziwiona, 128

że niosę jej krzesło. Siadamy, po czym ona zapoznaje mnie z programem nauczania, począwszy od nauki czytania i pisania, a na dyplomie wyższej uczelni kończąc. Sądząc z jej entuzjazmu, jest jednym z tych urzędników, którzy są oddani swojej pracy. Podsuwa mi myśl, że mógłbym się uczyć gotować, rysować, a nawet, po tych wszystkich latach, kiedy się przed tym broniłem - opanować komputer. To by zaimponowało Mary.

Mówię Judy, że prawdopodobnie zostanę w Belmarsh jeszcze tylko kilka dni i chciałbym spożytkować ten czas, ucząc więźniów czytania i pisania. Rozważa tę propozycję, ale wolałaby, żebym poprowadził kurs kreatywnego pisania, ponieważ kilku więźniów pisze książki, wiersze i eseje i mają sporo pytań. Zgadza się, a ona, wiedząc, że chcę stąd jak najszybciej uciec, proponuje, żebym jutro poprowadził pierwszą lekcję. Milknie, jakby trochę zakłopotana.

- Ale najpierw - mówi - muszę pana zapisać do działu edukacji. -

Podaje mi kilka formularzy. - Czy mógłby pan wypełnić te testy i zwrócić mi je dzisiaj, tak żebym w kilka godzin załatwiła formalności?

- Postaram się, żeby do południa były gotowe.

- To nie zajmie panu tyle czasu - odpowiada ze śmiechem.

Wracam do celi, a ponieważ mam wolne pół godziny przed lunchem, wypełniam rubryczki na arkuszu zatytułowanym „Test edukacyjny”.

Oto kilka wrywkowych przykładów:

1) Ortografia - napisz prawidłowo następujące słowa: beł, wu-os, pszedtem, grył, muc, affera.

2) Matematyka -

a) $13 + 34$, $125 + 386$?

b) Ile reszty dostaniesz z 5 funtów, jeżeli wydasz 1,20 funta?

3) Co to znaczy 7.15 wieczorem na zegarze z oznaczeniami dwudziestu czterech godzin?

4) Ile upłynie czasu między 4.30 a 6.15?

5) Ile wyniesie 25% od 300?

6) Jeżeli jedno ciastko kosztuje 25 pensów, sześć - 1,38 funta, dwanaście - 2,64 funta, dwadzieścia cztery - 6 funtów, to ile najbardziej się opłaca kupić?

Odpowiedziałem na pytania na sześciu stronach i przekazałem je Judy przez Billy'ego Little'a (morderstwo), który ma lekcję po południu.

129

12.00 w południe

Lunch. Prowianty zamówione w kantine jeszcze nie nadeszły. Pół

porcji makaronu zapiekanego z serem i kubek wody mineralnej Highland Spring. Czy

zauważyliście, że zaczynam jeść więzienne potrawy?

1.40 po południu

Otwierają się drzwi mojej celi i zostaję powiadomiony, że chce się ze mną widzieć pani Roberts. Wędruję do biura naczelnika, eskortowany przez Weedona. Nie pytam go o powód wezwania, gdyż go nie zna, a nawet gdyby znał, to nie powie. Już za moment dowiaduję się, że zastępczyni naczelnika ma dla mnie złą wiadomość i że Belmarsh nie ma z tym nic wspólnego. Zmieniono mój status z kategorii D na C, ponieważ policja twierdzi, że nie ma innego wyjścia, niż wziąć pod uwagę zarzuty baronessy Nicholson i wszcząć śledztwo w sprawie lo-su pieniędzy zebranych na rzecz Kurdów. Nie dość tego, więzienie dla skazanych kategorii C, do którego mam być przeniesiony, znajduje się na wyspie Wight. Czy chodzi o to, żebym mnie odsunąć jak najdalej od rodziny?

Zmiana mojego statusu, tłumaczy pani Roberts, wynika z obawy, żebym w trakcie dalszego śledztwa nie próbował uciec. Nie ma co, Scotland Yard ma poczucie humoru! Jak daleko mógłbym dotrzeć, nim by mnie rozpoznano?

Zastępczyni naczelnika informuje jeszcze, że mogę się odwołać od obu decyzji i jeżeli to zrobię, moje odwołanie zostanie rozpatrzone do czwartku. Zwraca uwagę, że wyspa Wight jest odległa od mego miejsca zamieszkania w Cambridge, a obowiązkiem ministerstwa spraw wewnętrznych jest umieścić więźnia jak najbliżej domu. Jeżeli tak, to dziwię się, że nie wysyłają mnie na Szetlandy. Obiecuje, że porozmawia z moimi adwokatami i poinformuje ich o prawach, jakie mi przysługują. Gdyby nie pani Roberts i Ramona Mehta, prawdopodobnie utkwilibym na wieki w więziennej izolatce.

Wprost nie umiem wyrazić gniewu na Emmę Nicholson, szczególnie po tylu latach mojej pracy na rzecz Kurdów. Wystarczyłby jeden telefon do sir Nicholasa Younga w Czerwonym Krzyżu i otrzymała-by odpowiedź na wszystkie pytania co do roli, jaką odegrałem w kampanii Simple Truth. Ale ona wolała zwrócić się do prasy.

130

Pani Roberts zwraca uwagę, że moi adwokaci mają mnie odwiedzić o drugiej, więc pora się rozstać. Dziękuję jej. Baronessa Nicholson mogłaby się wiele nauczyć od tej dwudziestosześcioletniej kobiety.

2.00 po południu

Spotykam się z Alekssem Cameronem i Ramoną Mehtą w strefie odwiedzin. Dzisiaj wyznaczono nam salkę niewiele większą od mojej ce-li. Jest pewna różnica - z trzech stron są duże okna. Jeżeli człowiek dniem i nocą przebywa za kratami, dostrzega okna.

Zanim adwokaci poruszą sprawę mojej apelacji od skazania i od wyroku, podnoszę trzy kwestie, w których potrzebuję opinii prawnej.

Po pierwsze, czy baronessa się nie zagalopowała. Prawnicy się obawiają, że dobrała tak ostrożne sformułowania, żeby zapewnić sobie maksimum rozgłosu, przy tym o nic w szczególności mnie nie oskar-

żając. Podkreślam, że chętnie będę współpracował z policją, jeżeli podejmie śledztwo, a im szybciej to uczyni, tym lepiej. Kampania Simple Truth została zorganizowana przez Czerwony Krzyż i ówczesny skarbnik potwierdzi, że nie miałem nic wspólnego ze zbieraniem i rozdzielaniem pieniędzy. Ramona zauważyła, że kilka osób z dawnego i obecnego kierownictwa Czerwonego Krzyża już wystąpiło publicznie z takim potwierdzeniem.

Potem opowiadam prawnikom historię Alego (ukradł i zwrócił

dwadzieścia osiem tysięcy funtów, ale teraz odsiadyuje półtoraroczny wyrok za nadużycie

zaufania). Proszę, aby przypomnieć policji, że Angie Peppiatt, składając w sądzie zeznania w charakterze świadka, przyznała się do wystawiania podwójnych rachunków, kradzieży samochodu, zabierania dzieci na darmowe wakacje na Korfu, kupowania prezentów dla kochanek, których nie było, i żądania zwrotu wydatków za posiłki z nieistniejącymi osobami. Czy mogę mieć nadzieję, że prokuratura poddają równie surowemu śledztwu, jak Alego i mnie?

Po trzecie, przypominam im, że Ted Francis, człowiek, który sprzedał swoją opowieść gazecie „News of the World” za czternaście tysięcy

cy funtów, wciąż jest mi winien dwanaście tysięcy. Chcę, żeby mi je oddał.

Adwokaci obiecują zająć się tymi sprawami. Jednakże uważają, że w tej chwili najważniejsze jest przywrócenie mi kategorii D i niedopuszczenie do tego, żeby mnie przeniesiono na wyspę Wight.

131

Proszę Ramonę, żeby zabrała moje notatki z kolejnych pięciu dni i doręczyła rękopis Alison do przepisania. Ramona opuszcza małą salkę, żeby zapytać dyżurnego funkcjonariusza, czy na to zezwoli, lecz on odmawia. Alex doradza mi, żebym zatrzymał rękopis do momentu, kiedy będą mnie przenosić do więzienia niestosującego tak ostrych środków bezpieczeństwa. Sugeruje też, że byłoby nierozsądnie myśleć o opublikowaniu czegokolwiek przed rozpatrzeniem apelacji. Ostrzegam moich prawników, że jeśli apelacja zostanie odrzucona, a ja zachowam nadal taką wydajność do końca wyroku, to spłodzę milion słów.

O pełnej godzinie pojawia się funkcjonariusz i oznajmia, że widzenie skończone. Ramona odchodzi, obiecując natychmiast się zająć sprawą kategorii D i wyspy Wight.

Kiedy czekam na odprowadzenie do bloku pierwszego, wdaję się w pogawędkę z Grekiem z Cypru imieniem Nazraf, który czeka w areszcie śledczym na proces. Jest oskarżony o „przetrzymywanie żony w samochodzie osobowym” - nie miałem pojęcia, że takie oskarżenie jest możliwe. Przytaczam tutaj jego historię, jak zwykle z proś-

bą o zachowanie dystansu. Nazraf mówi, że zamknął żonę w samochodzie dla jej bezpieczeństwa, ponieważ przewoził wtedy dużą go-tówkę z miejsca pracy do miejscowego banku. Prowadzi restaurację i przez kilka lat bardzo dobrze mu się powodziło, osiągał roczny dochód blisko dwustu tysięcy funtów. Dodaje z pasją, że wciąż kocha żonę i chciałby się z nią pogodzić, ale ona już wystąpiła o rozwód.

Nazraf sprawia wrażenie bystrego, inteligentnego człowieka, więc pytam go, dlaczego się nie postara o zwolnienie za kaucją. Wyjaśnia, że sąd zażądał sumy czterdziestu tysięcy funtów, którą miałyby wyło-

żyć co najmniej cztery różne osoby, a on nie chce, żeby jego przyjaciele albo partnerzy od interesów dowiedzieli się, że wpadł w tarapaty.

Od początku przypuszczał, że kiedy go wyślą do więzienia, jego żona odzyska zdrowy rozsądek i odstąpi od oskarżenia. To się stało pięć tygodni temu, a ona do tej pory się nie złamała. Sprawa odbędzie się w połowie września...

To wszystko, czego się zdążyłem dowiedzieć, zanim rozeszliśmy się w różne strony - ja do bloku pierwszego, Nazraf do czwartego. To mnie zresztą zastanawia, ponieważ w bloku czwartym zwykle przebywają terroryści albo więźniowie o wysokim stopniu zagrożenia.

Chciałbym jeszcze kiedyś spotkać Nazrafa, ale mam przeczucie, że to się nigdy nie zdarzy.

132

6.00 wieczorem

Kolacja. Dostarczono prowianty z kantyny i zostawiono je w plastikowej torbie na skraju łóżka. Zjadam konserwową mielonkę, kawałek czekolady Cadbury z rodzynkami i orzechami, dwa

peinoziarniste herbatniki McVitie's i popijam sokiem z czarnej porzeczki z wodą Evian. Czego jeszcze można chcieć?

8.00 wieczorem

Godzina Wspólna. Proszą mnie, żebym dołączył do grupy „bardziej dojrzałych” więźniów - mając sześćdziesiąt jeden lat, jestem tu naj-starszy, o ile nie najdojrzały - i wziął udział w cotygodniowym zebraniu ich komitetu w celi Fletcha. Wśród uczestników znajduje się też Tony (tylko marihuana), Billy (morderstwo), Colin (ciężkie uszkodzenie ciała) i Paul (morderstwo).

Jak w dobrze prowadzonym zebraniu zarządu jakiejś firmy, mamy przewodniczącego, którym jest Fletch, a także porządek obrad. Najpierw mówimy o czasie, jaki nam wolno spędzać poza celami, i o tym, że od kiedy Marsland awansował, warunki stały się bardziej znośne.

Fletch uważa, że stosunki pomiędzy obiema grupami, które żyją po dwóch stronach „żelaznej bariery”, są poprawniejsze - a nawet bardziej przyjazne - niż w przeszłości. Colin nadal się uskarża na jednego ze strażników, na którego jeszcze się nie natknąłem. Według Colina, odnosi się on do więźniów jak do wyrzutek i za byle co podaje ich do raportu. Najwyraźniej szczyli się tym, że odesłał do raportu więcej ludzi niż inni, co, zdaniem Colina, mówi o nim wszystko.

Postanawiam poobserwować faceta z daleka i przekonać się, czy Colin ma rację. Przeważnie służba więzienna stara się panować nad sytuacją i woli atmosferę spokoju, gdyż jest świadoma, że ludzie skazani na dożywocie mają zmienne nastroje i w ciągu paru chwil potrafią przerzucić się z rozpacz do nadziei i znowu wpaść w rozpacz.

W tej sytuacji bezmyślny funkcjonariusz mógłby doprowadzić do wybuchu zamieszek. Boję się, że Colin jest w gorącej wodzie kąpany i nie potrafi się zdobyć na moment zastanowienia, kiedy sprawy potoczą się po jego myśli.

Następny punkt dyskusji to finanse więzienne. Tony informuje, że naczelniczka Hazel Banks otrzymała premię, dwadzieścia cztery ty-

siące funtów, za obniżenie o czterysta tysięcy wydatków na więzienie Belmarsh. Jako zwolennik wolnej przedsiębiorczości z pewnością bym na to nie narzekał. Jednak Paul uważa, że lepiej byłoby przeznaczyć te pieniądze na edukację więźniów i na założenie gniazdek elektrycznych w celach. Nie mam pojęcia, czy te liczby są ścisłe, ale Tony mó-

wi, że sprawdził je w rocznym sprawozdaniu sir Davida Ramsbothama (dyrektor generalny służb więziennych).

Po spotkaniu Derek „Del Boy” Bicknell (morderstwo) - ciekawe, że go nie zaproszono na zebranie komitetu - pyta, czy może ze mną zamienić na osobności kilka słów.

- Mam dla ciebie coś do czytania - mówi.

Przechodzę z celi dziewiątej do szóstej, też mieszczącej się na parterze. Derek proponuje mi kilka książek w papierowych okładkach, po czym się dowiaduję, dlaczego naprawdę chciał się ze mną zobaczyć.

Pragnie porozmawiać ze mną o swojej apelacji i pokazuje mi list od swego adwokata. Głównym uzasadnieniem apelacji ma być fakt, że poprzedni adwokat odradził mi wystąpienie w charakterze świadka, kiedy chciał to zrobić. Później rozstał się z adwokatem i obrońcą i wybrał nowych doradców prawnych, ale jeszcze nie zdecydował się na obrońcę. Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, kiedy się dowiedziałem, że jednym z podanych przez niego powodów wniesienia apelacji jest brak umiejętności czytania i pisanie, co sprawiało, że nigdy nie rozumiał właściwie, jakie są jego prawa. Spoglądałam na pełną książkę pół-

kę nad jego głową.

- Nie umiesz czytać?

- Nie, ale nikomu nie mów. Widzisz, właściwie nigdy nie było mi to potrzebne jako sprzedawcy samochodów.

Ten więzień sprawuje wiele obowiązków na oddziale. Jest Powiernikiem i rządzi kuchenką. Wcześniej określiłem go jako człowieka, który mógłby prowadzić prywatną firmę i nie zmieniam tej opinii.

„Del Boy” przywodzi na myśl poruszające opowiadanie Somerseta Maughama „The Bell Ringer”. Jednak fakt, że nie może się zapoznać z własnymi dokumentami prawnymi, pogarsza jego sytuację. Zastanawiam się, jak wielu innych więźniów ma podobny problem i, co gorsza, nie przyznaje się do tego. Omawiam z Derekiem linijka po linijce tekst odwołania. Przysłuchuje się uważnie, ale nie może robić notatek.

8.45 wieczorem

Ogłaszają powrót do cel, więc idę do swojej i widzę - ku wielkiej radości - stos listów, jakie na łóżku zostawił cenzor Ray. Przychodzi mi do głowy, że ten stos będzie jeszcze większy jutro, kiedy gazety poinformują czytelników, że nie zostaną przeniesiony do otwartego więzienia, skoro Emma Nicholson dołała oliwy do ognia słówkami: „Spełniłam tylko swój obowiązek”.

Mam teraz ustalony porządek dnia, podobnie jak na wolności. Jednak wielka różnica polega na tym, że nie sam, albo tylko w niewielkim stopniu, decyduję, kiedy mogę, a kiedy nie mogę pisać, więc dopasowuję swój plan do więziennego rozkładu zajęć. Czas tuż po wieczornym zamknięciu celi przeznaczam na czytanie listów, potem robię przerwę, następnie poprawiam rękopis - przerwa, czytam książkę tygodnia -

przerwa, rozbieram się, kładę się do łóżka - przerwa, usiłuję nie zwracać uwagi na nieuchronną muzykę rap. Ale to niemożliwe.

Za każdym razem, kiedy kończę codzienne notatki, zastanawiam się, czy jutro będzie coś nowego do powiedzenia. Wciąż jednak pnę się pod stromą górę wiedzy, ale jeszcze nie dosięgłem szczytu. Pragnę opuścić Belmarsh dla nowych podbojów, a podboje są tu słowem kluczowym. Marzę o przechadzkach wśród zielonych pól, tęsknię za świeżym powietrzem.

Billy (dożywocie, pisarz, student) mówi mi, że będzie lepiej, jak już gdzieś osiadę na dłużej i nie będę wydatkował energii na zastanawianie się, kiedy i gdzie spędzę czas do końca wyroku. Billy siedzi w Belmarsh dwa lata i siedem miesięcy i wciąż nie wie, dokąd go wy-

ślą. Tony (marihuana tylko, ucieczka z otwartego więzienia) przestrzega mnie, że niezależnie od tego, dokąd trafię, szybko się znudzę, jeżeli nie będę miał jakiegoś projektu na tapecie. Na szczęście pisanie tego dziennika rozwiązało ten problem. Ale na jak długo?

Dzień czternasty

Środa, 1 sierpnia 2001

6.21 rano

Długa, upalna, bezsenna noc. Muzyka rap grzmiała do około czwartej nad ranem, tak że tylko od czasu do czasu zdrzemnąłem się przez kilka minut. Kiedy w końcu ucichła, rozgorzała kłótnia między jakimś Mitchellem, którego cela jest chyba nad źródłem dźwięku, i więźniem o imieniu Vaz, właścicielem radia stereo, który siedzi w celi poniżej.

Wkrótce można się było dowiedzieć, co Mitchell zrobi Vazowi, jak tylko zostaną otwarte drzwi jego celi. Ich język trochę przypominał dialogi z powieści Martina Amisa, ale pozbawione jego stylu i polotu.

8.37 rano

Śniadanie. Między produktami ze sklepu więziennego jest opakowanie płatków zbożowych o nazwie Variety, w którym znajduje się osiem różnych ich rodzajów w małych pudełkach. Na początek próbuję Coco Pops. Niezłe, ale dobre stare płatki kukurydziane Kellogga są nie do pobicia.

9.31 rano

Dyżurny funkcjonariusz przynosi poranne gazety. Pełno w nich relacji o tym, że zmieniono mi kategorię D na C z powodu oskarżeń Em-my Nicholson.

9.50 rano

Pani Labersham grzecznie puka do drzwi mojej celi, tak jakbym mógł je otworzyć. Odryglowuje „żelazną barierę” i oznajmia, że przychodzi, aby mnie zaprowadzić na zajęcia z kreatywnego pisania.

136

Znalazłem się w salce pełnej dymu papierosowego, bez krzeseł, tylko ze stołem. Cóż, dobry sposób na zapewnienie owacji na stojąco. Po chwili zaczynają się schodzić więźniowie, każdy niesie plastikowe krzesło. Jest ich dziewięciu. Wszyscy siadają, po czym pani Labersham przypomina, że spotkanie potrwa dwie godziny. Proponuje, żebym mówił godzinę, a potem zainicjował dyskusję.

Nigdy w życiu nie przemawiałem godzinę; zwykle mówię przez trzydzieści, najwyżej czterdzieści minut, a potem odpowiadam na pytania. Teraz przez ponad czterdzieści minut opowiadam, jak w wieku trzydziestu czterech lat, po odejściu z parlamentu, z długami w wysokości czterystu dwudziestu siedmiu tysięcy funtów i zagrożony ban-kructwem, zacząłem pisać książki. Ostatni raz wygłosiłem taką mowę na konferencji w Las Vegas jako główny gość amerykańskiej grupy hotelowej. Zafundowali mi lot pierwszą klasą, umieścili mnie w hote-lowym apartamencie i na odjeźdźnym wręczyli mi czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Dziś mam przed sobą audytorium dziewięciu współwięźniów w Belmarsh, a funkcjonariuszka Labersham potwierdza, że mój rachunek więzienny zostanie zasilony dwoma funtami (równowartość butelki Highland Spring i tubki pasty do zębów).

Kończę mówić i zaczyna się zadziwiająco ożywiona dyskusja. Jeden z więźniów, Michael (21 lat, morderstwo) chce mówić o pisaniu piosenek, ale ja na ten temat wiem bardzo niewiele. Przecież mu nie powiem, że autor tekstów piosenek tak się różni od autora powieści, jak neurochirurg od ginekologa. Michael chce, żebym przeczytał jego ostatni utwór. Liczy on aż czterdzieści zwrotek. Oto jedna: Nie ma wyjścia, trzeba odejść

Wzywasz mnie

żeby wrócić

ale słyszysz tylko swój głos

powtarzający moje imię

Wczoraj Michael się dowiedział, że sędzia ustalił mu minimalny wymiar kary na osiemnaście lat.

- Przynajmniej nie jest to numer telefonu - mówi.

- Co takiego?

- Dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć lat - odpowiada.

137

Odczytałem cały tekst piosenki Michaela i grupa go ocenia, a potem Terry (włamanie, mój były współlokator) czyta trzy strony swojej powieści, którą ma nadzieję skończyć, zanim wyjdzie w grudniu z więzienia.

Rozwija się dyskusja na temat użycia w powieści wulgarnego języka. Czy mówi on coś o postaci opisywanej przez autora? Czy odwraca uwagę od narracji? Następnie grupa omawia mocne i słabe strony powieści Terry'ego. Dyskutanci nie oszczędzają autora.

Z kolei Tony (tylko marihuana) oznajmia, że pisze podręcznik mechaniki kwantowej, która od lat jest jego konikiem. Tłumaczy, że jego interpretacje nie wniosą nic nowego do tej dziedziny - to słowa Tony'ego

- ale dzięki pracy nad podręcznikiem ma zajęcie na wiele godzin.

Ostatni utwór to jeden z wierszy Billy'ego Little'a. Różni się klasą od wszystkiego, co słyszeliśmy do tej pory i każdy w tym pokoju o tym wie.

Łomot, huk, trzask

Pogardzany koleś, pohulał łomem,
złamany, zraniony, wciąż łomotany,
ukryty, zamknięty, w stanie izolacji,
popychadło rodziców, ofiara sędziów.

Pozbawiony racji.

Złoczone kajdanki, srebrne łańcuchy,
pozory poprawy - fałsz akomodacji,
brylantowe skazy, szafirowe krzyki,
cegła, stal, sklezione skarbczyki.

Uran, pluton - nuklearny kielich,
trujące reżimy, polityczne wybryki,
plugawa ciemność, czyhający grzech,
rozbite na atomy, zdruzgotane dusze.

Czerwony duplikat religii - ułuda mas,

pozór sprawiedliwości, proletariacki gniew, rujnująca bieda, razy upokorzeń, zapowiedź
równości, barbarzyński bóg.

Świątokradczy kapitaliści, pokalana ziemia, wojowniczy ogień, niecierpliwe pragnienie -
kres ludzkiego więzienia.

Billy Little (BX7974)

138

Pod sam koniec więźniowie rozmawiają o tym, kiedy się znowu spotkamy. Najbardziej ich interesuje, czy powinno to być podczas Godziny Wspólnej, czy też w ramach zajęć edukacyjnych. W tej sprawie poglądy są podzielone i zastanawiam się, czy w ogóle dojdzie jeszcze do spotkania.

12.00 w południe

Lunch. Otwieram puszkę z szynką (67 pensów), wyjmuję połowę zawartości, dodaję do tego dwa niedogotowane ziemniaki (przydział

więzienny). W trakcie popołudnia pochłaniam trzy pełnoziarniste herbatniki i wypijam prawie całą butelkę wody Evian. Jak tak dalej pójdzie, do soboty zabraknie mi wody i, podobnie jak wielu więźniów, bę-

dę się musiał zdecydować na „dubelt”. Przypominacie sobie, jak „Del Boy” przeciął papierosa na pół, żeby nazajutrz dostać całego?

1.07 po południu

Przynoszą mi do podpisu odwołanie w sprawie zmiany mojego statusu i wysłania mnie na wyspę Wight. Funkcjonariuszka Taylor mnie informuje, że zastępczyni naczelnika prosi, aby formularze jak najszybciej zwrócić jej do biura. Powoli czytam dwustronicowy dokument prawny i dokonuję tylko jednej drobnej poprawki. Podpisuję na wykropkowanej linii, ale jestem pewien, że ministerstwo spraw we-wnętrznych już podjęło decyzję i że nic na to nie poradzę. Przyjęto ja-ko zasadę: nie można stwarzać wrażenia, że Archer jest traktowany wyjątkowo, nawet jeżeli traktuje się go niesprawiedliwie.

2.24 po południu

Oddziałowy Bentley otwiera drzwi i poleca mi zgłosić się do rejestracji, gdzie czeka na mnie

kilka paczek.

Przy opuszczaniu skrzydła po raz pierwszy mnie nie rewidują, dyżurny funkcjonariusz tylko wskazuje na koniec korytarza i mówi, że kolega pokaże mi drogę. Dopiero po dwóch tygodniach nabrali pewności, że nie będę uciekał ani handlował narkotykami. W

istocie, gdyby ktoś chciał uciec z Belmarsh - a najdalej komuś się udało dostać na dach - musiałby mieć plan architekta; ten budynek 139

to labirynt. Wyobrażam sobie, że nawet ci, którzy tu przychodzą do pracy, dopiero po kilku tygodniach zaczynają się orientować, jak się poruszać. Czasem się dziwię, w jaki sposób funkcjonariusze trafiają do wyjścia nocą.

Na końcu kolejnych korytarzy otwierają się kraty i jestem prze-puszczany dalej. Żaden strażnik pilnujący okratowanych furt nie dziwi się, że jestem sam. Wreszcie staję przed małą klitką o nazwie Rejestracja. Otwierają się drzwi, ukazując dwóch funkcjonariuszy -

Pearsona i Leecha.

- Dzień dobry panu - wita mnie Pearson i zaraz się poprawia -

Archer. W tym tygodniu - ciągnie - dostałeś pan tylko czternaście przesyłek poleconych. - Zdejmuje je po kolei z półek za sobą.

Pół godziny później jestem dumnym posiadaczem kolejnych czterech Biblii, trzech egzemplarzy Nowego Testamentu i książeczki do nabożeństwa. Zatrzymuję sobie jeden Nowy Testament oprawny w skórę, bo czuję, że ucieszę nim Terry'ego. Proponuję Leechowi, żeby całą resztę przekazano kapelanowi. W pozostałych przesyłkach znajduję trzy powieści, dwa rękopisy oraz propozycję małżeństwa od blondynki około pięćdziesiątki, która zaznacza, że gdyby nie by-

ła w moim guście, to ma dwudziestoczeroletnią córkę (fotografia załączona).

Chciałem zamieścić jej list, zatytułowany „Drogi Geoffreju” (sic!) oraz zdjęcie, ale adwokaci mi odradzili.

Kiedy strażnicy otwierają ostatnią paczkę, pokazuję pudełko jed-norazowych chusteczek i pytam:

- Czy przypadkiem to też jest moje?

- Myślę, że tak - odpowiada Person, spoglądając na Leecha.

Podsuwa mi dwa pudełka chusteczek, dzięki czemu moja wyprawa nabiera sensu.

Pearson towarzyszy mi - używam tego słowa, bo nie czuję, że jestem eskortowany - do mojej celi. Mówi, że więzienie zostało zbudowane dziesięć lat temu przez kanadyjskiego architekta, który wszę-

dzie zastosował kąty proste.

- Byłby większy pożytek - mruczy pod nosem - gdyby skonsultowano się ze służbą więzienną, bo wtedy zwrócilibyśmy uwagę na problemy, wobec których co dzień staje personel i więźniowie.

Zanim zdążyłem wyrazić swoje zdanie, zamknięto mnie w celi.

140

2.57 po południu

Jestem w celi dopiero od kilku minut, kiedy pojawia się Weedon z jakimś świstkiem w ręku. Jest to dokument przeniesienia, potwierdzający moje najgorsze obawy. Zostanę przeniesiony na wyspę Wight w ciągu tygodnia, licząc od szóstego sierpnia 2001 roku. Jest tak jak myślałem; ministerstwo spraw wewnętrznych podjęło decyzję i nie ma ochoty zważać na względy osobiste. Przygnębiony, opadam na łóżko.

Jestem bezradny.

ZAWIADOMIENIE O PRZENIESIENIU 1-1-30

Nazwisko: ARCHER

Numer:

FF8282

Zawiadamiamy o tymczasowym przeniesieniu do więzienia Jej Królewskiej Mości: CAMPHILL

Przeniesienie odbędzie się w ciągu tygodnia, licząc od: 06-08-01. Jeżeli ma pan istotne powody, które, pana zdaniem, uniemożliwiają przeniesienie, proszę omówić ten problem ze zwierzchnikiem swojego bloku więziennego.

3.14 po południu

Piszę drugą wersję dzisiejszych notatek, kiedy rozlega się dzwonek alarmowy. Słyszę odgłosy bieganiny, podniesione głosy i tupot nóg strażników. Wyglądam przez zakratowane okienko celi, ale nie widzę nic oprócz pustego dziedzińca. Patrząc przez otwór w drzwiach o wymiarach cztery na dziewięć cali i uświadamiam sobie, że to dzieje się w innym skrzydle. Dopiero podczas Godziny Wspólnej czegoś się dowiem.

4.00 po południu

Godzina Wspólna. Znowu nie udaje mi się dostać na zajęcia gimnastyczne i podejrzewam, że codziennie typowana jest ta sama ósemka więźniów, a ja nie należę do tego klubu wystarczająco długo, żeby mnie zakwalifikowano. Miejmy nadzieję, że na wyspie Wight jest większa sala gimnastyczna.

141

Kiedy docieram na parter, widzę, że Fletch ulokował się strategicznie w rogu sali, jak zawsze na początku Godziny Wspólnej, na wypadek gdyby ktoś potrzebował jego pomocy albo rady. Podchodzę do niego, żeby zamienić kilka słów.

- Co to był za hałas? - pytam.

- W drugim bloku była bójka.

- Wiesz coś bliżej?

- Tak, jeden taki, Vaz, puszczał przez całą noc muzykę rap i facet w celi nad nim trzy dni nie spał.

- Współczuję mu - mówię Fletchowi.

- Dopiero dzisiaj po południu spotkali się twarzą w twarz - ciągnie Fletch - i Mitchell, ten z celi na górze, nie dość że załatwił Vazę jednym ciosem, ale jeszcze podpalił mu celę i na koniec podeptał jego stereo. - Fletch zawiesza głos. - To była jedna z tych rzadkich okazji, kiedy personel więzienny specjalnie się nie śpieszył na miejsce przestępstwa; w końcu więźniowie kilkakrotnie w ciągu tygodnia skarżyli się na „niewłaściwą postawę” Vaza.

- A co się stało z tym drugim?

- Z Mitchellem? Oficjalnie zaplombowany w izolatce, ale jutro przeniosą go do innego skrzydła.

Ostatecznie, jak wyjaśniłem Marslandowi, facet tylko wyraził poglądy większości współwięźniów. - Oto przykład dający wyobrażenie o polityce więziennej, z Fletchem występującym jako rzecznik tutejszych pensjonariuszy.

Billy Little (morderstwo) pyta, czy mógłbym wpaść do jego celi, żeby porozmawiać o pracy, którą pisze na temat globalizacji. Chce omówić rolę i odpowiedzialność BBC jako publicznego środka przekazu. Przedstawia wykres, ilustrujący fakt, że między 1990 a 1995 rokiem oglądalność spadła o cztery procent i o następne cztery procent w latach 1995-2000. Zauważam, że Greg Dyke, nowy dyrektor generalny BBC, który spędził większość życia w telewizji komercyjnej, zechce odwrócić ten trend. Skorzystały na tym, mówi Billy, Sky Digital i inne stacje telewizji cyfrowej, i

przytacza szczegółowe dane statystyczne. Oglądalność ich programów ciągle rośnie.

Pytam Billy'ego, kiedy kończy studia.

- We wrześniu - odpowiada, wyjąwszy wpierw kartkę papieru z teczki pod oknem.

- I co potem?

142

- Może posłucham twojej rady i napiszę powieść. Nie mam pojęcie, czy potrafię, ale sędzia dał mi dość czasu, żeby się dowiedzieć.

Nie zawsze chwytam każde słowo wypowiedziane przez tego chłopaka z Glasgow, ale co dzień rozszyfrowuję parę sylab więcej. Postanowiłem, że poproszę Alison, żeby wysłała mu egzemplarz książki Vi-krama Setha „Prezydent do ręki”. Myślę, że jest to akurat coś dla Billy'ego, zwłaszcza że to pierwsza powieść Setha, więc zorientuje się, z czym będzie się musiał zmierzyć.

Kiedy wychodzę od Billa, stół bilardowy jest zajęty, kolejka do telefonów tasiemcowa, a w telewizji pokazują film „Carry on Camping”. Wracam do mojej celi i piszę przy otwartych drzwiach.

6.00 wieczorem

Kolacja. Ryzykuję jarzyny zapiekane w cieście i dwa więzienne karto-fle (trzy błędy). Nadal piję butelkowaną wodę, jakby miał jej wielką obfitość (dziś jest wielki upał). Groźba „dubeltu” jest bliska i jeżeli mam przeżyć, muszę prędko zobaczyć się z „Del Boyem”. W kuchence Andy (morderstwo) kładzie mi na tacę dwa opakowania lodów czekoladowych.

- Schowaj jedno do kieszeni - szepcze.

Teraz dopiero wiem, co to znaczy komuś dogodzić.

„Del Boy” stoi na końcu lady w charakterze pierwszego kuchenne-go. To oficjalny tytuł. Przechodząc obok tarty z kremem, pytam go, czy moglibyśmy później się spotkać. Potakuje ruchem głowy. Wyczuwa, jeżeli ktoś ma kłopoty. Jest Powiernikiem i wolno mu odwiedzać każdą celę, jeżeli więzień chce porozmawiać o problemach osobistych.

A ja mam taki problem: kończy mi się woda.

7.00 wieczorem

Siadam, żeby przejrzeć dzisiejszy tekst, a potem zabieram się do poczty. Ton korespondencji taki jak zwykle, ale, o dziwo, niewiele wzmianek o Kurdach. Kiedy staliśmy w kolejce w kantine, Paul (oszustwa z kartami kredytowymi) powiedział, że „The Times” wyraźnie napisał, iż nie miałem do czynienia ze zbieraniem ani rozdzielaniem pieniędzy-

dzy. Tym się zajmował Czerwony Krzyż. Jednakże w stosie listów jest taki jeden, którego nie sposób zaszufladkować.

143

Od dwóch tygodni siedzę zamknięty w więzieniu o zaostrzonym rygorze dla niebezpiecznych przestępców razem z trzydziestoma dwoma mordercami i siedemnastoma innymi więźniami skazanymi na dożywocie, głównie za usiłowanie morderstwa albo za nieumyślne spowodowanie śmierci; straciłem matkę, którą uwielbiałem; wysłano mnie do więzienia, wierząc słowu mężczyzny, który wzmówił z „News of the World” zastawił na mnie pułapkę, i kobiety, która jest zdeklarowaną złodziejką; mam być wysłany na wyspę Wight do więzienia kategorii C z powodu wypowiedzi baronessy Nicholson.

Przyznam więc, że ogarnął mnie pusty śmiech, kiedy przeczytałem ten liścik.

OPTYK CHAN

Mr J. Archer

Mr Kenneth Chan BSc.MCOptom

Belmarsh House

90 High Street
Belmarsh South Lee-on-Solent
East London
P013 9DA
Hampshire
31/7/2001

Drogi Panie,

przepraszam, że Pana niepokoję. Piszę do Pana, ponieważ jednemu z moich pacjentów spodobały się Pańskie okulary (te ze szklami bez oprawek, w których był Pan na pogrzebie). Byłbym niezmiernie zobowiązany, gdyby zechciał mi Pan podać markę, numer modelu, kolor i rozmiar ramek. Te informacje są podane na wewnętrznej stronie za-uszników. Będę wdzięczny za odpowiedź. Dziękuję za Pańską łaskawą uwagę!

Z poważaniem

K. Chan

90 High Street, Lee-on-Solent, Hampshire PO 13 9DA Telephone: 023

92 551919

144

8.40 wieczorem

Oddziałowy otwiera drzwi i wpuszcza do celi „Del Boya”. Ten jak zwykle wkracza z szerokim uśmiechem na twarzy i z miną gospoda-rza, który przychodzi po czynsz do lokatora, nie zawsze płacącego na czas. Siada w nogach łóżka. Przez pewien czas rozmawiamy na temat jego apelacji, która zostanie niedługo wniesiona, i o tym, że nie umie czytać ani pisać. Okazuje się, że czasem zdoła odcyfrować jakieś słowo, ale potrafi się tylko podpisać.

- Nigdy nie potrzebowałem nic więcej - oznajmia. - Jestem straga-niarzem, nie bankierem.

Ma rację, ale gdyby zamknąć oczy i słuchać, jak mówi, to choć nie wyzbył się do końca akcentu cockneya, z pewnością nie można by poznać, że jest czarny. Obiecuje, że będzie się uczył czytać, jak tylko wy-jadę stąd na wyspę Wight. Nie jestem przekonany, że trafi kiedyś na piętro, gdzie odbywają się lekcje, o ile do programu nauczania nie zostanie włączony „dubelt”.

- Jak mogę ci pomóc? - pyta. - Bo jestem człowiekiem.

- Bądź człowiekiem, Derek, bo mnie się kończy woda, nie licząc innych rzeczy.

- Nie ma problemu - odpowiada. - A co to za inne rzeczy?

- Potrzebne mi są trzy butelki Highland Spring, dwie paczki czekoladowych herbatników McVittie's i pasta do zębów.

- Nie ma problemu - powtarza. - Będziesz to miał rano w celi, dziedzicu.

- Bez „dubeltu”?

- Zgoda. - Waha się. - Ale nikomu nie mów, bo jakby się rozniosło, miałbym zepsutą opinię.

- Nie ma problemu - słyszę swój głos.

Na swobodzie, w świecie, który opuściłem, garstka ludzi trzęsie wszystkim. Tajemnica polega na tym, żeby znać tę garstkę. Tu jest podobnie. Derek „Del Boy” Bicknell jest naganiaczem, Fletch przywód-cą opozycji, Billy ministrem oświaty, Tony kanclerzem skarbu i Colin ministrem obrony. Gdziekolwiek, w jakichkolwiek okolicznościach są ludzie, zawsze wyłonią przywództwo. W bloku pierwszym, na pierwszym oddziale, jest trzydziestu dwóch morderców, siedemnastu więź-niów dożywotnich, i ta społeczność, nieświadomie, utworzyła własny gabinet rządowy. Nieoficjalnie, bez formalności, ale działający.

145

Derek wychodzi, a ja wyciągam się na łóżku i kończę książkę Johna Grishama „Wspólnik”. Jest za długa, ale z jakim talentem napi-sana.

10.07 wieczorem

Składam głowę na poduszkę. Trudno uwierzyć, ale nie słyszę muzyki rap. Dobra robota, Mitchell.

Dzień piętnasty

Czwartek, 2 sierpnia 2001

5.51 rano

Spałem całą noc. Pierwszy raz słyszę samochody w oddali. Piszę dwie godziny, tylko od czasu do czasu nasłuchuję szczekania wilczura.

8.00 rano

Śniadanie. Słodkie płatki kukurydziane i mleko o przedłużonej trwałości (drugi dzień).

9.00 rano

Godzina Wspólna. Przypominam Derekowi, że kończy mi się woda.

W tej chwili mam ledwo pół butelki. Załatwi się, obiecuje.

Ustawiam się z innymi więźniami w kolejce na zajęcia gimnastyczne.

Derek Jones (ciężkie uszkodzenie ciała, artysta) wypatrzył mnie na środku korytarza i mówi mi, że przez pewien czas siedział w więzieniu na wyspie Wight. Wypytyuję go i dowiaduję się, że jest tam dobrze wyekwipowana sala gimnastyczna, jedna z najlepszych w kraju (ma na myśli więzienia), ale nagle Derek przekazuje niepokojącą wiadomość:

- Pełno tam gnojków i mętów. Młodzi narwańcy, którym się zdaje, że są gangsterami, bo obrabowali jakąś staruszkę. Nikt na oddziale nie rozumie, dlaczego tam cię posyłają.

Wpadam w panikę, opuszczam kolejkę do sali gimnastycznej, pędzę na piętro, łapię kartę telefoniczną, zbiegam na dół i dzwonię do Alison.

147

Najpierw ją uprzedzam (nie czas na uprzejmości, kiedy na tygodnio-wej karcie telefonicznej zostało tylko dwadzieścia jednostek), że tekst z kolejnych pięciu dni jest w drodze i żeby, kiedy go otrzyma, dała znać Ramonie, by mogła mi to potwierdzić podczas najbliższej wizyty. Następnie proszę, żeby przełączyła mnie do Jamesa. Mój młodszy syn zarządza w pojedynkę domowymi finansami, podczas gdy William opiekuje się matką. Ani przez moment nie wątpię, że sobie poradzą. Szybko mówię Jamiemu o wyspie Wight i o tym, że utraciłem kategorię D.

- Uspokój się, tato - mówi. - Przez dwie ostatnie doby niczym innym się nie zajmujemy. Wiem, jak się musisz czuć odcięty od świata, ale my trzymamy rękę na pulsie. Wczoraj wieczorem Ramona kontaktowała się z ministerstwem spraw wewnętrznych, gdzie dano jej do zrozumienia, że mało prawdopodobne, aby wszczęto śledztwo w sprawie kurdyjskiej. Nikt nie bierze poważnie oskarżeń Nicholson, nawet brukowce ją ignorują.

- Tak, ale to wszystko trwa, a tymczasem dostałem nakaz przeniesienia.

- Ten sam rozmówca napomyka - ciągnie James - że raczej przeniosą cię gdzieś bliżej domu, ale to jeszcze nie jest ustalone.

Sprawdzam kartę. Zużyłem już sześć jednostek.

- Jeszcze coś? - Chcę zachować jak najwięcej jednostek na niedzielną rozmowę z Mary.

- Tak. Potrzebuję twojego upoważnienia na transfer pewnej kwoty dolarów na twoje konto szterlingowe. Od dwóch dni funt słabo stoi.

- Nie mam nic przeciwko temu - mówię.

- Tato, przy okazji - dorzuca James - mnóstwo ludzi komentuje końcową mowę sędziego, więc się rozchmurz.

Odkładam słuchawkę i stwierdzam, że wykorzystałem siedem z dwudziestu jednostek na mojej karcie. Niech James się martwi o rynek walutowy, a ja się zajmę zdobyciem butelki wody mineralnej.

Patrzę na zegarek. Nie ma sensu wracać do kolejki do sali gimnastycznej, więc postanawiam wziąć prysznic. Człowiek zapomina, że jest brudny, póki nie odkryje, jaki może być czysty.

11.00 przed południem

Funkcjonariusz z parteru woła: „Spacer!”, którego znowu unikam.

Jest upał, a na dziedzińcu ani krzty cienia. Postanawiam siedzieć w ce-148

li i pisać przy jak najszerzej otwartym mikroskopijnym okienku. Na-pisawszy dziesięć stron,

włączam relację z meczu krykieta. Mecz trwa dopiero od godziny, a Anglia ma 47 zdobytych punktów przy dwóch zawodnikach wyeliminowanych.

12.00 w południe

Lunch. Biorę tacę i schodzę do kuchenki, ale nie mogę znaleźć nic, co mógłbym dać choćby wygłodniałemu psu. Wychodzę z kawałkiem chleba z masłem i z jabłkiem. W celi wcinam resztę szynki Prince's z puszki, kolejne dwa pełnoziarniste herbatniki McVitie's i pijam kubkiem wody. Przekonuję siebie, że „Del Boy” jest człowiekiem i dostarczy wodę - lada chwila - bo w butelce zostało jej już tylko na dwa palce. Czy musieliście kiedy sprawdzać, ile wody zostało w butelce?

2.00 po południu

Przed celą pojawia się funkcjonariusz i nakazuje mi zgłosić się do warsztatów, do czego się nie palę. W końcu moje podanie o włączenie do zajęć edukacyjnych chyba już zostało rozpatrzone. Kiedy przybywam do „bąbla” na środkowe piętro i dołączam do innych więźniów, zostaję zrewidowany, a moje nazwisko odfajkowane. Udajemy się pod eskortą długim korytarzem do dwóch różnych miejsc przeznaczenia -

do warsztatów i na lekcje. Na końcu korytarza ci do warsztatów skręcają w lewo, a ci, którzy mierzą wyżej, w prawo. Ja skręcam w prawo.

Docieram do części edukacyjnej i przechodzę obok zespołu klas z sześcioma lub siedmioma więźniami w każdej; dwójka funkcjonariuszy próżnuje w jednym kącie, kobieta za biurkiem natomiast zaznacza nazwiska więźniów, których kieruje do różnych klas. Podchodzę do niej.

- Archer - mówię.

Sprawdza listę, ale nie znajduje mojego nazwiska. Zdziwiona, podnosi słuchawkę telefonu i prędko się dowiaduje, że powinienem być w warsztatach.

- Ale biegła do spraw edukacji powiedziała mi, że zostanę natychmiast przyjęty do tego działu.

- Dziwne słowo „natychmiast” - odpowiada. - Chyba nikt w Belmarsh nie szukał w słowniku jego znaczenia i obawiam się, że dopóki

go nie sprawdzimy, musi się pan zgłosić do warsztatów.

149

Nie mam pojęcia, jak rozumieć słowa „dopóki go nie sprawdzimy”. Wracam, którądy przyszedłem, i jak najwolniej idę w kierunku warsztatów. Przychodzę ostatni.

Tym razem zostaję usadowiony na końcu zespołu więźniów - kara za to, że zjawiłem się ostatni. Moje nowe, intelektualnie pobudzające zadanie polega na umieszczeniu dwóch pojemniczków margaryny, jednej saszetki dżemu malinowego i jednej kawy w plastikowym woreczku, który zostaje zapieczętowany i zabrany do innego więzienia. Młody człowiek naprzeciw mnie, który zamyka woreczki i układa je w wielkim tekturowym pudle, wygląda jak zapaśnik. Jest średniego wzrostu, ma dwadzieścia kilka lat, jest ubrany w nieskazitelnie biały podkoszulek i markowe dżinsy. Jego silnie umięśnione ramiona są opalone na brąz, więc nietrudno wydedukować, że w Belmarsh jest od niedawna. Okazuje się, że trzy tygodnie. Mówi mi, że na imię mu Peter. Jest żonaty, ma jedno dziecko i prowadzi własną firmę.

- Czym się zajmujesz? - pytam.

- Jestem przedsiębiorcą budowlanym - odpowiada.

Kiedy więzień mówi, że „jest” tym i tym, a nie, że „był”, to można być prawie pewnym, iż ma krótki wyrok albo że siedzi w areszcie śledczym. Peter mi opowiada, że razem z bratem prowadzą małą firmę budowlaną, która się specjalizuje w kupowaniu zniszczonych domów w rojujących rozwój regionach Esseksu. Odnawiają domy i potem je sprzedają. W zeszłym roku zarabiali do spółki około dwóch tysięcy funtów miesięcznie. To było, zanim Peter został aresztowany. Widać, że

to pracowity, przyzwoity człowiek. Więc co robi w Belmarsh? - zapytuję siebie. Kogo mógł zabić? Swojego brata? Odpowiada, zanim zdążyłem go spytać.

- Złapali mnie, jak prowadziłem furgonetkę brata bez prawa jazdy.

Zwykle jeździ brat, ale tego dnia był chory, więc zabrałem jego na rzedzia z budowy do domu, i za to sędzia skazał mnie na sześć tygo dni więzienia.

Powiem wyraźnie. Nie protestuję przeciwko samemu wyrokowi, ale uważam za szaleństwo wysłanie tego człowieka do Belmarsh.

Mam nadzieję, że minister spraw wewnętrznych, pan Blunkett - którego poznałem osobiście za czasów, kiedy John Major był premierem, i wiem, że jest porządnym, wrażliwym na los innych człowiekiem - przeczyta uważnie następną stronę.

- Jesteś sam w celi? - pytam.

150

- Nie, jeszcze z dwoma innymi.

- Za co siedzą?

- Jeden jest oskarżony o morderstwo i czeka na proces, a drugi został skazany za handel narkotykami.

- To chyba żadna przyjemność - staram się zbagatelizować sprawę.

Panie ministrze, czy pan to czyta?

- To piekło - odpowiada Peter. - Odkąd tu jestem, nie spałem dłużej niż kilka minut. Po prostu nie wiem, co jeden albo drugi kombinuje. Z sobą sobie radzę, ale ci dwaj, z którymi dzielę celę, to zawodowi przestępcy.

Panie ministrze, czy pana to interesuje?

- Co gorsza - dodaje - jeden z nich zaproponował mi tysiąc funtów, jeżeli pobiję świadka, zanim rozpocznie się jego proces.

- O Boże! - wyrywa mi się mimo woli.

- Co dzień coraz bardziej na mnie naciska. Oczywiście coś takiego nie wchodzi w grę, ale mam jeszcze do odsiedzenia trzy tygodnie i zaczynam się bać, że nawet jak stąd wyjdę, nie będę bezpieczny.

Panie ministrze spraw wewnętrznych. Ten pracowity ojciec rodziny obawia się o własne bezpieczeństwo. Czy tego życzy pan komuś, kogo przyłapano najeżdżie samochodem bez prawa jazdy?

Dostałem ponad tysiąc listów z wyrazami poparcia, odkąd jestem w Belmarsh, ale nawet w wieku sześćdziesięciu jeden lat pobyt w wię-

zieniu jest dla mnie ciężkim doświadczeniem. Peter ma dwadzieścia trzy lata i całe życie przed sobą. Setki ludzi, którzy nigdy nie powinni tu trafić, wysyła się do tego więzienia dla wyjątkowo niebezpiecznych przestępców.

Ale co mogę na to poradzić? - słyszę, jak minister spraw wewnętrznych pyta jednego ze swoich urzędników.

Proszę zaklasyfikować aresztowanych do kategorii A, B, C lub D

przed, a nie po ich procesie. Następnie, jeżeli zostaną zaliczeni do kategorii D -jako ci, którzy popełnili pierwsze przestępstwo i nie stosowali przemocy - po skazaniu powinni zostać wysłani prosto do otwartego więzienia. Nie będą wtedy musieli siedzieć w jednej celi z mordercami, handlarzami narkotyków i zawodowymi przestępcami. I proszę nie słuchać urzędników, jeżeli będą mówili, że tego się nie da zrobić.

Niech pan ich wyrzuci. Otrzymałem status więźnia kategorii D w ciągu dwudziestu czterech godzin z powodu pogrzebu mojej matki, więc wiem, że to jest możliwe.
151

Panie ministrze spraw wewnętrznych, pan wyrządza nieodwracalną krzywdę przyzwoitym ludziom i pan nie ma prawa tego robić.

W czasie kiedy próbowałem się wczuć w sytuację Petera, urosła przede mną góra plastikowych woreczków. Inny więzień, którego dotychczas nie zauważałem, widać recydywista, szybko przywraca po-rządek, tak że zespół więźniów znów pracuje rytmicznie.

- To miejsce ma więcej wspólnego z karą niż z resocjalizacją, nie sądzisz, Jeffrey?

Co takiego jest w Irlandczykach, że człowiek zawsze się przy nich czuje swobodnie, jakby ich znał całe życie? Przynajmniej skinieniem głowy, a on się uśmiecha i przedstawia się jako William Keane.

Nim powtórzę, co William opowiedział mi w ciągu następnych dwóch godzin, muszę was przestrzec, że nie mam najmniejszego poję-

cia, jak dalece wiarygodna to opowieść, ale jeżeli choć w połowie jest prawdą, niech Bóg ma w swojej opiece premiera, ministra spraw wewnętrznych, ministra zdrowia i ministra oświaty.

William urodził się w Limerick, gdzie znajduje się Blarney Stone, jako syn boksera (Irlandia to pewno ostatni kraj świata, gdzie są jeszcze prawdziwi bokserzy) i miejscowej piękności - William jest przystojnym mężczyzną. Pani Keane wydała na świat siedmiu synów i pięć córek.

Mam trudności ze zrozumieniem Williama ze względu na jego wymowę i często muszę go prosić o powtarzanie całych zdań. Obecnie jego dom jest blisko więzienia, więc odwiedziny rodziny nie są problemem. Problem stanowi sama rodzina. Jeden z braci, dzieciak, jak mówi o nim William, siedzi dalej - pakuje dżem i marmoladę w saszetki - a był taki moment, powiada William, że wszystkich siedmiu braci i jedna siostra byli w więzieniu w tym samym czasie, odsiadując łączny wyrok stu dwunastu lat. Mogę tylko współczuć ich matce.

William kończy odsiadanie dziesięcioletniego wyroku za handel narkotykami i zostało mu jeszcze tylko dwanaście tygodni. Zauważcie, że nie mówi trzy miesiące, bo to by znaczyło trzynaście tygodni.

W istocie jest pełen obaw, jaki świat zastanie w październiku, kiedy wyjdzie z więzienia pierwszy raz po tylu latach. Pochlebia mi, co naturalne u Irlandczyków, mówiąc, że zna wszystkie moje książki; jak się zresztą wydaje, przeczytała je połowa czołowych angielskich kryminalistów.

Podczas pobytu w sześciu więzieniach (ma dużą wiedzę na temat tych instytucji) podjął studia i przeczytał*ponad czterysta książek -

152

mówię o tym tylko dlatego, żeby było wiadomo, iż nie mamy do czynienia z głupcem. Składa mi kondolencje z powodu śmierci mojej matki i pyta, jak zachowywała się policja i personel więzienny podczas pogrzebu. Odpowiadam, że nadzwyczaj życzliwie i taktownie.

- Inaczej niż na pogrzebie mojego brata - mówi. - Nie dość, że cała rodzina była w kajdankach, to jeszcze nad głowami krążył nam helikopter. Przy grobie było więcej policjantów niż żałobników.

- Ale w moim przypadku - zauważam - nikt nie sądził, że będę próbował uciekać.

- Sam Houdini nie uciekłby tej zgrai - odcina się William.

Dziwię się, bo jeżeli rodzina Williama jest równie inteligentna i pełna wdzięku jak on, to dlaczego wszyscy nie połączą swojej energii i talentów i nie robią czegoś sensownego, tylko prowadzą żywot przestępczy.

- Narkotyki - odpowiada rzeczowo William. - Jak już się uzależnisz, nigdy nie zarobisz tyle,

żeby zaspokoić głód narkotykowy, więc kończysz albo jako złodziej, albo diler. Poza tym muszę przyznać -

dodaje - że jestem leniwy.

Od początku bacznie go obserwowałem i jedno, co mogę powiedzieć, to to, że nie jest leniwy.

Napełnił więcej plastikowych torebek niż ja do spółki z Peterem. Zwracam mu na to uwagę.

- Jeffrey, ja jestem za leniwy, żeby chodzić do pracy od dziewiątej rano do piątej po południu, kiedy na sprzedaży narkotyków można wyciągnąć kilka patyków tygodniowo.

- Czyli że wrócisz do narkotyków, jak cię zwolnią?

- Nie chcę tego - odpowiada. - Mam trzydzieści pięć lat i jedno jest pewne - nie chcę tu wrócić.

- Waha się. - Ale nie wiem, czy wystarczy mi silnej woli, żeby trzymać się z daleka od narkotyków albo oprzeć się pokusie szybkiego zarobku, gwarantowanego przy ich sprzedaży.

- O jak duże pieniądze chodzi - pytam - i jaki narkotyk w szczególności?

- Heroina - mówi - to najlepsza maszynka do robienia pieniędzy.

- „Joey” - mimo wyjaśnienia nadal nie jestem pewien, co to znaczy -

spadł w cenie ze stu funtów na czterdzieści, odkąd jestem w więzieniu (dziesięć lat), co wyraźnie pokazuje, jak rynek się się rozrósł. A niektórzy potrzebują nawet dziesięć działek na dzień.

Kiedy pierwszy raz trafiłem do więzienia, kokaina wiodła prym.

153

Dziś jest heroina i często używają jej ludzie z twojego środowiska -

informuje, patrząc na mnie.

- Ale ja nigdy w życiu nie brałem narkotyku. Nawet nie palę papierosów.

- Poznałem to, jak tylko wszedłeś - mówi.

- Skąd możesz być taki pewien?

- Pierwsza rzecz, na jaką zwracam uwagę, to koloryt skóry twarzy

- niezły u ciebie, jak na sześćdziesiąt jeden lat - wyjaśnia, znowu prze-jawiając ten irlandzki wdzięk. - Potem patrzę na nos, na usta i wreszcie na ramiona, i od razu wiem, że nie jesteś potencjalnym klientem.

Ale na pewno coś ci potrzeba od „Del Boya”.

- Tak, butelkowanej wody, najchętniej Highland Spring.

- Ile butelek zamawiasz w sklepiku?

- Cztery, może pięć na tydzień.

- Lepiej, żeby klawisze się o tym nie dowiedzieli.

- Dlaczego? Przecież płacę.

- Bo podczas gdy marihuana i kokaina utrzymują się we krwi przez miesiąc, to heroinę można wypłukać z organizmu w ciągu dwudziestu czterech godzin. Kogo innego niż ty, Jeffrey, klawisze by po-dejrzewali, że jest heroinistą, który nie chce wpaść podczas obowiązkowego testu narkotykowego. To wszystko wina Ann Widdecombe.

- Niby dlaczego?

- Bo ona pierwsza wprowadziła ten test. Tylko ta jedna decyzja sprawiła, że część palaczy marihuany przestawiła się na heroinę.

- To wielki przeskok - mówię - i poważny zarzut.

- Nie - odpowiada William - to było nieuniknione, a stało się tak dlatego, że Widdecombe nic nie wie o więziennej narkokulturze. Skąd mogłaby wiedzieć? Ty też nie miałeś pojęcia, póki się nie znalazłeś w Belmarsh. Gorzej, że nikt nie przedstawił problemu Blunkettowi, gdyż oni oboje są pośrednio odpowiedzialni za wzrost liczby uzależ-

nionych od heroiny, a nawet w niektórych przypadkach za ich śmierć.

- Chwileczkę - mityguję go. - Oskarżasz Blunketta i Widdecombe o nieumyślne morderstwo, a to nie jest ani sprawiedliwe, ani słuszne.

- Kiedy cię poddają obowiązkowemu testowi, sprawdzają cię pod kątem marihuany (kanabinoli), kokainy, cracku i heroiny - ciągnie William, nie zwracając uwagi na moje słowa. - Test polega na analizie moczu, próbkę bada niezależne laboratorium, które po tygodniu przysyła wyniki.

154

- Tak, rozumiem.

- Marihuana jest wykrywalna w moczu przez dwadzieścia osiem dni. Mogłeś zapalić jointa trzy tygodnie wcześniej i o tym zapomnieć, ale wynik testu będzie pozytywny, a w przypadku heroiny - nie. Jeżeli napijesz się dużo wody zaraz po jej użyciu, wypłuczesz z organizmu wszelki jej ślad, po dwudziestu czterech godzinach będziesz czysty i wynik testu okaże się ujemny.

Panie ministrze spraw wewnętrznych, proszę natężyć uwagę.

- Jeżeli test wykaże obecność marihuany, wtedy naczelnik więzienia może ci dołożyć do wyroku dwadzieścia osiem dni mamra i odebrać wszystkie ulgi. Dwadzieścia osiem dni za wypalenie jednego skrzyta - powtarza William. - Toteż niektórzy palacze trawki, ci z krótkimi wyrokami, przechodzą na heroinę, bo wtedy nie grozi im przedłużenie wyroku. Rezultat? Często opuszczają więzienie uzależnieni od heroiny, chociaż na wolności nigdy nie tknęli twardego narkotyku.

Pewien ich procent umiera po kilku tygodniach od wyjścia z więzienia, co jest faktem. Dlaczego umierają? Ponieważ heroina rozprowadzana w więzieniu jest o wiele słabsza od tej na wolności, tak więc jak wezmą tyle samo, co w więzieniu, przedawkują.

- Jak byś temu zaradził? - pytam.

- Test obowiązkowy powinien obejmować tylko narkotyki klasy A i B, a nie marihuanę*. Ta prosta decyzja zniechęciłaby do eksperymentowania z heroiną dwadzieścia procent więźniów i uratowałaby wielu ludziom życie. Jeżeli któryś z pańskich urzędników, panie ministrze spraw wewnętrznych, jest tak głupi, żeby twierdzić, że to nie-prawda, proszę mu powiedzieć, żeby nie kierował się statystyką, tylko spędził kilka tygodni w więzieniu, gdzie szybko się dowie, jak jest naprawdę.

- Jednak to chyba prawda, że narkotyki są bezpośrednim powodem, iż nasze więzienia są tak przepełnione.

- Tak, ale to mit, że heroina jest główną przyczyną przestępstw ulicznych. Crack przysparza policji tak samo dużo kłopotów.

Nie przerywam.

- Crack - ciągnie William - jest dla narwańców i jest o wiele niebezpieczniejszy od heroiny. Jak zażywasz kokainę, czujesz się natych-

* Już po napisaniu powyższego minister spraw wewnętrznych zmieni! klasyfikację kanabinoli/marihuany na kategorię C.

155

miast zaspokojony i już po jednej dawce możesz być na haju, a jak przestaje działać, to zasypiasz. Jeżeli bierzesz crack, to jak ci zabraknie, zrobisz wszystko, żeby zdobyć więcej i przedłużyć stan euforii. To ci, którzy biorą crack, wrywają torebki starszkom i telefony komórkowe dziewczynkom, a nie heroiniści; oni raczej żebrzą, pożyczają albo kradną w sklepach. Rząd nie widzi tego, że obecnie Anglia jest europejską stolicą cracku. Gdybyś chciał ufundować nagrodę dla europejskiego narkotykowego miasta roku, nie musiałbyś szukać poza Bradford. To miasto wygrywałoby pierwszą nagrodę rok w rok.

- Masz pomysł, jak rozwiązać ten problem? - pytam.

- Powinniśmy wziąć przykład ze Szwajcarów - odpowiada William. - Oni rejestrują narkomanów, którzy jeśli się zgłoszą do lekarza, zostają natychmiast objęci programem odwykowym i dostają odpowiednią dawkę metadonu albo subitreksu. Szwajcarzy niedawno prze-prowadzili referendum w tej sprawie i społeczeństwo wypowiedziało się przeważającą większością głosów za tym, żeby stawić czoło problemowi i rejestrować narkomanów. Rezultat: spadek przestępstw ulicznych o sześćdziesiąt osiem procent.

Kto by pomyślał, prawda, panie Blunkett?

- Czy chciałbyś się czegoś dowiedzieć o programie odwykowym naszej służby zdrowia? - pyta William.

Potakująco kiwam głową.

- Jak jesteś heroinistą na wolności i zgłosisz to swojemu lekarzowi pierwszego kontaktu, zarejestrują cię nie wcześniej niż za osiem do dziesięciu tygodni. Jednak jak popełnisz przestępstwo i poślą cię do więzienia, nie będziesz czekał, bo już następnego dnia rano wezmą cię na detoks. - William milknie na chwilę. - Znam narkomanów, którzy popełnili przestępstwo tylko dlatego, żeby ich wsadzono do więzienia i z dnia na dzień włączono do programu odwykowego.

/ co pan na to, panie ministrze spraw wewnętrznych?

- Co gorsza - ciągnie William - większość tych narkomanów na wolności, którzy się zgłosili do lekarza, po dziesięciu tygodniach nie podejmuje kuracji, bo do tej pory albo stracili zainteresowanie, albo zbyt się uzależnili, żeby chcieć coś z tym zrobić.

Prosimy na scenę ministra zdrowia.

William rozgląda się wokół, obejmując wzrokiem pięćdziesięciu pracowników, pakujących produkty do plastikowych woreczków.

- Mogę ci wskazać każdego w tej sali, kto bierze prochy, i nawet 156 powiedzieć jakie. Czasem wystarczy jedno spojrzenie. I byłbyś zdziwiony, gdybyś się dowiedział, ilu twoich przyjaciół na wolności jest uzależnionych, a nawet jeden albo dwóch z tych, co cię ostatnio potę-
piali.

- Palenia haszyszu nie można uważać za poważne przestępstwo -

zauważam. - Założyłbym się, że w niedalekiej przyszłości to zostanie zalegalizowane.

- Jeffrey, ja nie mówię o haszyszu. Obecnie największy kryzys, z jakim musi się uporać rząd, to gwałtowny wzrost uzależnionych od heroiny. Mogę wymienić trzech lordów, dwóch członków parlamentu i dwie znakomitości telewizyjne, biorących narkotyki klasy A. Wiem o tym, bo ktoś z mojej rodziny jest ich dostawcą od wielu lat. - Wymienia wszystkie nazwiska; o dwóch już wiem, ale pozostała piątka to dla mnie niespodzianka. - Teoretycznie oni wszyscy powinni siedzieć teraz z tobą w więzieniu - dodaje. - Przyjrzyj się młodym kryminali-stom, trafiającym do więzienia, a uświadomisz sobie, że to problem, którym niewielu ludzi, zwłaszcza polityków, skłonnych jest się zająć.

Tylko w twoim skrzydle pięciu dożywcotnich jest na heroinie i co tydzień dostają towar.

- W jaki sposób? - pytam.

- Głównie podczas wizyt - mówi. - Ukryty w ustach, w tyłku, w uszach, nawet we włosach kobiecych. Ze względu na ustawę o prawach człowieka rewizje więzienne są dość pobieżne.

- Ale to jest więzienie o zaostrzonym rygorze dla niebezpiecznych przestępców - przypominam mu.

- To żadna przeszkoda dla desperata, a nikt nie jest nim bardziej niż narkoman, nawet jeżeli

siedzi zamknięty w izolatce.

- Ale jak? - nalegam.

- Nie zapominaj, że w większości zakładów kategorii A umieszcza się aresztowanych tymczasowo, więc więźniowie przychodzą i odchodzą każdego dnia. Nowi młodzi kryminaliści raz-dwa przyswajają sobie prawo podaży i popytu - jeśli go jeszcze nie znają - zwłaszcza że w grę wchodzi duże pieniądze. Gram heroiny (joey) na ulicy jest wart czterdzieści funtów, ale tutaj można go rozdzielić do pięciu woreczków i sprzedać za dwie setki. Za taką cenę niektórzy więźniowie ryzykują połknięcie woreczka z heroiną tuż przed zatrzymaniem, potem po prostu muszą odczekać, żeby go odzyskać; w końcu toaleta jest w każ-

dej celi. A mój brat Rory - dodaje William - potrafi połknąć kulkę he-157

roiny wielkości gumki do wycierania o wartości pięciuset funtów -

przetrzymać ją w gardle i rozmawiać, jakby nigdy nic. Wykrztusza ją po powrocie do celi.

- Ale - zauważam - pominiawszy nadzwyczajne umiejętności twojego brata, to skoro, jak twierdzisz, sześćdziesiąt procent więźniów bierze narkotyki, nie wystarczy paru facetów gotowych połknąć pakiecik z heroiną, żeby zaspokoić popyt.

- To prawda - przyznaje William. - Więc rozejrzyj się, Jeffrey, podczas odwiedzin, to zauważysz, ile narkotyków przekazuje się przy pocałunkach. A jak zobaczysz niemowlę na kolanach matki, bądź pewien, że w pieluszcze maleństwa jest pełno narkotyków. W ten sposób osoba odwiedzająca wnosi je do więzienia. Natomiast przy pocałunku przekazuje je więźniowi. Są jeszcze dziesiątki albo i więcej sposobów przemycania prochów w zależności od tego, w jakim siedzisz więzieniu. Jeżeli zobaczysz, że ktoś przyszedł do więzienia w dresie Adi-dasa, przyjrzyj się trzem paskom. Jak odprujesz jeden, możesz go napełnić heroiną wartą pięćset funtów.

Jedyne, co mi przychodzi do głowy to to, że w celi mam taki dres.

- Mój brat Michael - kontynuuje William - odkrył, że w niektó-

rych więzieniach koncesję na książki ma Waterstone's, więc przyjaciel brata wybiera mniej znane tytuły, pakuje w grzbiety narkotyki, a potem prosi tę firmę, żeby ofiarowała książkę bibliotece więziennej. Kiedy książka znajdzie się na półce, Michael ją zabiera. Niesamowite, ile heroiny mieści się w grzbiecie „Ulissesa” Joyce'a. W moim ostatnim mamrze, póki klawisze się nie połapali, najpopularniejszy był sposób z dziewczyną z trzeciej strony „The Sun”.

- Dziewczyną z trzeciej strony?

- Przecież wiesz, Jeffrey, co to takiego dziewczyna z trzeciej strony, prawda?

Potakuję skinieniem głowy.

- W większości więzień kategorii A i B pozwala się więźniowi za mawiać poranną gazetę u lokalnego kioskarza - opowiada William -

a ponieważ jesteś zatrzaśnięty przez dwadzieścia dwie godziny na dobę, pozwalają ci nawet dostarczyć ją do celi. Jeden przedsiębiorczy diler na wolności zaspokajał potrzeby całego więzienia, posypując prochami dziewczynę na trzeciej stronie „The Sun”. Potem wycinał

z innego egzemplarza gazety tę samą fotografię i naklejał ją precyzyjnie nie na pierwszą. Tak się wprawiał, że dostarczał codziennie do jednego 158

więzienia heroinę wartości tysiąca funtów, a klawisz, o niczym nie wiedząc, przekazywał ją wprost jego klientowi. Handlarz zarabiał o wiele więcej forsy na swoich zapudłowanych klientach, niżby mógł wy-ciągnąć na wolności.

- Ale w jaki sposób mu płacili?

- Och, Jeffrey, aleś ty zielony. Na każdym oddziale, w każdym bloku, w każdym więzieniu spotkasz handlarza, który ma dostawcę za murami i który w kilka godzin po twoim przybyciu już wie,

czego ci trzeba.

- Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Zamawiasz u oddziałowego handlarza, powiedzmy, gram heroiny dziennie. On ci podaje nazwisko i adres dostawcy, wtedy ty wyznaczasz kogoś z tamtej strony murów do regulowania płatności. Rozumiesz, żadnych stałych zleceń, tylko gotówka. Tobie mogliby dostarczać narkotyki pod karykaturą Scarfe'a w „Sunday Timesie”.

Śmieję się.

- Albo pod znaczkami tych dużych szarych kopert, które codziennie dostajesz. Zdziwiłbyś się, ile kokainy może się zmieścić pod czterema znaczkami pocztowymi. Przyjrzyj się klawiszom, kiedy rano przychodzi poczta. Zawsze macają kciukiem znaczki, ale dużo więcej można napchać do koperty.

- Przecież oni zawsze otwierają koperty i zagląдают do środka.

- Nie mówię, że w środku - odpowiada William. - Może zauważy-

łeś, że z prawej strony większości tych szarych kopert jest skrzydełko, które można delikatnie podważyć i napełnić heroiną, a potem zakleić. Znam faceta, któremu przysyłają co tydzień „Motor Magazine”, ale swoją tygodniową działkę dostaje w szarej kopercie.

- Kiedy zadzwoni dzwonek, muszę pędzić do celi i to wszystko zapisać - mówię Williamowi.

- Czym piszesz swoje książki? - pyta.

- Cienkopisem.

- Jak sięgniesz zatyczkę z końca, będziesz mógł tam upchnąć crack o wartości pięćdziesięciu funtów, dlatego klawisze każą kupować przybory do pisania w kantynie.

- Mów dalej - proszę, już od dawna zarzuciwszy pracę przy plastikowych woreczkach, ale William uwija się za mnie.

- Najbardziej niesamowity szmugiel, jaki widziałem, wymyślił pewien monstrualny grubas, który ukrywał narkotyki pod fałdami skóry, bo wiedział, że tam żaden funkcjonariusz więzienny nie zajrzy.

159

- Ale oni mają chyba jakieś urządzenia do sprawdzania?

- Owszem. Wydają dużo pieniędzy na skomplikowane urządzenia, które wykrywają żyłki, broń, noże, nawet amunicję, ale nie substancje organiczne. W tej sprawie muszą polegać na psach, a wystarczy zasiusiana pieluszka, żeby nawet najbardziej zażarty pies gończy zgubił trop.

- A więc to podczas odwiedzin przemycą się najwięcej narkotyków?

- Tak, ale nie myśl, że prawnicy, księża i funkcjonariusze więzienni są ponad to; osoby przychodzące z poradami prawnymi, z pociechą religijną i pracownicy więzienia rzadko bywają sprawdzani. Czasem honoraria adwokatów są pokrywane z pieniędzy uzyskanych za narkotyki, jakich ci dostarczają klientom. W przypadku listów, to jeżeli są to dokumenty prawne, koperta musi być otwarta w obecności adresata i klawiszom nie wolno czytać znajdującej się w środku korespondencji.

A kiedy stoisz przed klawiszem, raczej nie będzie sprawdzał, czy nie ma czegoś pod znaczkami albo z boku koperty. Aha, na Fleet Street jest sklep prawniczy, który sprzedaje koperty z napisem w lewym górnym rogu: „Dokument prawny, ściśle poufne i prywatne”. Kilku handlarzy narkotyków otrzymuje co miesiąc takie koperty, a jedyny kontakt z są-

dem mają wtedy, kiedy stają na ławie oskarżonych.

- Wspomniałeś też o duchownych?

- Tak, znałem sikhijskiego ganiego w Gartree, który raz w tygodniu udzielał błogosławieństwa

w celi więziennej, skąd zaopatrywał

całą społeczność sikhów w narkotyki.

- Jak mu się to udawało?

- Chował je w turbanie. Czy masz pojęcie, ile na taki turban wychodzi materiału? Możesz tam upchnąć mnóstwo narkotyków. - William milknie. - Ale - dodaje po chwili - jedna z jego owieczek go sypnęła i poszedł na siedem lat do kicia.

- A funkcjonariusze więzienni?

- Klawisze zarabiają około trzystu funtów tygodniowo i mogą dorobić po trzynaście funtów za nadgodzinę. Tylko pomyśl. Kilka gramów heroiny - i mają dwa razy tyle. W moim ostatnim więzieniu był

kucharz, który przynosił towar raz w tygodniu w plecaku.

- Ale przecież w każdej chwili mogli go skontrolować.

- To prawda - odpowiada William. - Regularnie sprawdzali jego plecak, ale nie oglądali pasków.

160

- A jak takiego pracownika więzienia złapią?

- To wsadzają go za kratki na długi czas. Siedzi tutaj dwóch takich, ale zostaną przeniesieni do więzień kategorii D, zanim sprawa się rozniesie. - Milknie na moment. - Dla ich bezpieczeństwa. Ale abso-lutny rekord - ciągnie William, który jak każdy dobry gawędziarz zostawia najlepszy kęs na sam koniec - należy do Harry'ego, ama-torskiego sędziego z Devon.

W tej chwili Williama słucha już całe audytorium, bo wszyscy przy naszym stole przestali pakować produkty do małych plastikowych torebek i chłoną każde jego słowo.

- Harry - mówi William - odwiedzał raz w tygodniu miejscowe więzienie, żeby sędziować w meczu futbolowym. Jego łącznikiem był

bramkarz. Po każdym meczu obaj szli do szatni, zdejmowali buty piłkarskie, wkładali adidas i każdy wychodził z butami drugiego.

We wgłębieniach na kołki w butach sędziego mieściło się tyle heroiny, że Harry kupił sobie dom na wsi już po dwóch sezonach. Pamiętaj, że więźniowie muszą wszystkie mecze rozgrywać na miejscu. Nie ma dla nich imprez wyjazdowych. Ale ten głupek zrobił się zachłanny i zaczął pchać narkotyki do piłki. Teraz odsiaduje dziesięcioletni wyrok w Bristolu.

- A kto zaopatruje handlarzy? - pytam Williama. Zbliża się dwu-nasta i boję się, że możemy się już więcej nie spotkać.

- Korzystają z pomocy mułów.

- Mułów?

- Handlarz często rekrutuje studentów, którzy już się uzależnili - prawdopodobnie przy jego pomocy. Funduje im potem wakacje w Tajlandii, Pakistanie albo nawet w Kolumbii i daje im dodatkowo tysiąc funtów, jeżeli przemycą kilogram heroiny przez kontrolę celną.

- Jakie to jest duże objętościowo?

- Jak torebka cukru.

- Ile jest warte?

- Handlarz przekazuje ten kilogram za około dwadzieścia osiem do trzydziestu pięciu tysięcy funtów sprzedawcom, zwanym żołnie-rzami. Ci dodają do niego proszek do pieczenia i proszek ceglany i uzyskują cztery kilogramy, które sprzedają klientom po czterdzieści funtów za gram, albo „joey”*. Najlepsi żołnierze osiągają dochód

*„Joey” ma wielkość dwu aspiryn.

161

rzędu siedemdziesięciu do stu tysięcy funtów miesięcznie. I nie zapominaj, Jeffrey, że to gotówka, więc nie zapłacą od tego podatku, a przy takich profitach jest mnóstwo osób, które chcą ryzykować. Heroina sprzedawana na King's Cross albo na Piccadilly ma czystość od czterech do siedmiu procent. Heroina, którą przywożą muły z opłaco-nych wakacji, może mieć nawet dziewięćdziesiąt dwa procent. Zapomniałbym powiedzieć - dodaje William - że gdyby żołnierze nie roz-rzedzali towaru - to w tydzień uśmierciliby większość swoich klientów.

- Jak wielu jest heroinistów w naszym kraju? - pytam.

- Mniej więcej ćwierć miliona - odpowiada William. - Więc to jest wielki biznes.

-A ilu z tych...

Rozlega się dzwonek oznajmiający więźniom, że praca skończona i że za chwilę zostaniemy odprowadzeni do cel.

- Miło było cię poznać, Jeffrey - mówi William. - Przekaż ode mnie ukłony żonie - to niezwykła kobieta. Przykro mi z powodu tego sędziego. Dziwne, że wolał uwierzyć komuś, kto w sądzie przyznał się do złodziejstwa. Ale pamiętaj, pisz książki, bo choćbyś nie wiem jak długo żył, zawsze jakiś Keane będzie siedział w więzieniu!

Przed rozstaniem William udziela mi jeszcze jednej rady.

- Wiem - mówi - że chodzisz w niedzielę do kaplicy, ale w tym ty godniu idź na mszę katolicką. Ojciec Kevin wygłasza świetne kaza nia i spodoba ci się.

Wracam do celi, zadowolony, że nie byłem na zajęciach edukacyjnych, ale przez dwie godziny pobierałem nauki.

Po drodze dołącza do mnie Ali (nadużycie zaufania, skradł dwadzieścia osiem tysięcy funtów pracodawcy, oddał wszystko z powrotem), który też dostał nakaz przeniesienia. W poniedziałek jedzie do Springhill, do więzienia kategorii D. Pyta, dokąd ja się wybieram.

- Nie jestem pewien - odpowiadam. - Kierują mnie na wyspę Wight w przyszłym tygodniu, ale złożyłem odwołanie.

- Wcale się nie dziwię. Przy okazji, czy zauważyłeś, jaki spokój panował dziś w warsztatach? - zapytuje.

- Nie dostrzegłem różnicy w porównaniu z ostatnim razem.

- Nie, atmosfera się zmieniła w chwili, kiedy wszedłeś. Strażni-cy, a nawet więźniowie przestają kłąć i robota wszystkim pali się w rękach.

- Nie wierzę.

162

- Ależ tak - upiera się Ali. - Oni wszyscy wiedzą, że piszesz książkę i możesz wymienić ich nazwiska.

- Ale nie twoje - przypominam mu. - O tobie piszę jako o Alim.

Ty jesteś dopiero drugą osobą, która chce zachować swoją tożsamość w tajemnicy.

Docieramy do granicy między blokiem pierwszym i drugim i rozchodzimy się w swoje strony. Życzę mu powodzenia.

Znalazłszy się w celi, chwytam herbatnik McVitie's i nalewam sobie ostatni kubek wody, zostawiając parę kropel na dnie butelki.

Wkrótce się przekonam, czy „Del Boy” jest człowiekiem.

Włączam radio. Anglia ma 185 punktów przy wszystkich graczach wyeliminowanych. Topię smutki w resztkę wody, po czym przystępuję do dłuższej niż zwykle tury pisania. Nie chciałbym

zapomnieć nawet słowa z monologu Williama Keana.

4.30 po południu

Kolacja. Paszteciki z jarzynami i fasolka. Włączam znów relację z krykieta. Australia ma 46 punktów bez straty zawodnika i dąży do zgromadzenia 185 punktów. Czy mam dalej pisać, czy zabawić się w ma-sochistę? Postanawiam jeszcze kilka minut posłuchać. W następnej serii Slater zostaje wyeliminowany i do chwili, kiedy cela zostaje otwarta na Godzinę Wspólną, Australia ma 105 punktów przy 7 wyeliminowanych graczach, tylko z Gilchristem z renomowanych zawodników pozostałym przy linii.

7.00 wieczorem

Godzina Wspólna. Idę na poszukiwania „Del Boya”, niczym narkoman, rozpaczliwie spragniony swojej działki. Siedzi na łóżku ze zwieszoną głową, z posępną miną. Schyla się, powoli wyciąga spod łóżka wielką papierową torbę i jak iluzjonista wyczarowuje trzy butelki wo- dy Highland Spring i dwie paczki czekoladowych - powtarzam, czekoladowych - herbatników McVitie's. Nie ulega wątpliwości - jest człowiekiem. Przytulam go.

- Daj spokój - mówi i odpycha mnie. - Gdyby ktoś to zobaczył, nie mógłbym się więcej pokazać na East Endzie.

Śmieję się, dziękuję mu i zanoszę zdobycz do swojej celi.

163

Nalewam sobie kubek wody i przeżuвам herbatnik, kiedy słyszę stukanie. Podnoszę głowę i widzę stojącego w drzwiach mojego sąsiada, Richarda. Świdruje mnie wzrokiem.

- Ten pieprzony „Mirror” - prawie krzyczy - kręci się koło naszego pieprzonego domu i nęka moją pieprzoną mamuszkę!

- Przykro mi to słyszeć - mówię. - Ale dlaczego?

- Bo siedzę w tej pieprzonej celi obok ciebie - wyjaśnia płacząco.

Kiwam głową, że rozumiem. - Mówią, że mnie opiszesz w swojej pieprzonej książce, że jestem bestialskim przestępcą i boją się o twoje pieprzone bezpieczeństwo. Czy ty masz mnie za bestię?

- Nie dałeś mi po temu żadnego powodu - odpowiadam.

- A oni grożą mojej pieprzonej mamuni, że jak im nie da mojej pieprzonej fotografii, to dopiero mi pokażą!

- Co robią? - pytam.

- Powiedzą swoim pieprzonym czytelnikom, co narozrabiałem.

- Powinieneś zatelefonować do matki i wytłumaczyć jej, że i tak to robią. A za co ty właściwie siedzisz?

- Za morderstwo - mówi. - Ale to nie moja pieprzona wina.

- Dlaczego? Co się stało?

- Piłem z chłopakami w tym moim pieprzonym pubie, a jakeśmy stamtąd wyszli, natknęliśmy się na zgraję pieprzonych australijskich turystów, którzy nas oskarżyli, żeśmy im zwinęli pieprzone portfele.

Jeff, mówię ci, nigdy w życiu nie widziałem tych pieprzonych drani.

- I co było potem?

- No, jeden z nich miał pieprzony nóż i jak mój kumpel mu przy-walił, to go upuścił na pieprzony chodnik. Złapałem nóż i jak ten drugi rzucił się na mnie, to go, pieprzonego, dziabnąłem. Ale to było tylko w pieprzonej samoobronie.

- I umarł od jednego ciosu nożem?

- No, nie. - Waha się. - Koroner naliczył siedem, ale ja nie byłem taki zalany, żebym nie pamiętał żadnego pieprzonego detalu. - Milknie na chwilę. - To nie zapomnij, napisz tym swoim pieprzonym czytelnikom, że nie jestem żaden bestialski kryminalista*.

Richard idzie do swojej celi, a ja wracam jeszcze do monologu Williama Keane'a, a potem zabieram się do ostatniej porcji listów, których nadal napływa ponad sto dziennie. Przeczytawszy je, zaczy-

* Prawie wszyscy więźniowie przestali kląć w mojej obecności.

164

nam nową książkę pod tytułem „The Day after Tomorrow”, poleconą mi przez „Del Boya” - co zakrawa na żart. Ma siedemset stron -tak gruba książka normalnie by mnie odstraszyła, ale nie w obecnej sytuacji. Zdążyłem przeczytać tylko kilka stron, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. To Paul (oszustwa z kartami kredytowymi). Jutro ra-no przenoszą go do ośrodka rehabilitacji narkomanów w Norfolk, więc możemy się już nigdy nie spotkać. Wymienia ze mną uścisk dłoni, jakbyśmy byli współnikami w interesach, po czym odchodzi bez słowa.

Kładę głowę na poduszce, która nie wydaje mi się już tak twarda jak kamień i rozmyślam o dzisiejszym dniu. Nie mogę się powstrzymać od refleksji, że lepiej ciskać w Australijczyków piłkami, niż dźgać ich nożem.

Dzień szesnasty

Piątek, 3 sierpnia 2001

6.07 rano

Cicha noc. O szóstej obudziło mnie szczekanie wilczurów. Zresztą i tak powinienem wstać. Piszę dwie godziny.

8.00 rano

Śniadanie. Rice Krispies, mleko o przedłużonej trwałości i pomarańcza.

10.00 rano

Opuszczam warsztaty. Tylko trzy sesje tygodniowo są obowiązkowe.

Dalej piszę.

12.00 w południe

Włączam krykieta. Christopher Martin-Jenkins mówi, że Australia ma 190 punktów przy wszystkich graczach wyeliminowanych, co jej daje przewagę tylko pięciu punktów w pierwszej rundzie. Anglia ma wciąż duże szanse.

12.15 po południu

Lunch. Reguła obowiązująca przy lunchu i kolacji - które tu się zwą obiadem i podwieczorkiem - jest taka, że poprzedniego dnia wypisuje się karteczkę z wybranym zestawem i wrzuca do plastikowej skrzynki na parterze. Jadłospisy na cały tydzień są wywieszane na ta-166

blicy, tak że zawsze można wybrać z góry. Jeśli się zapomni wypełnić karteczkę - co mnie zdarza się regularnie - automatycznie dostaje się

„A”, czyli potrawy wegetariańskie. Dzisiaj w zestawie „B” jest smaźna ryba - która dłużej pływała w oleju niż w morzu, „C” to mięso i cynaderki zapiekane w cieście - nie można zajrzeć do środka, więc lepiej tego unikać. Pudding: z kaszy manny lub jabłkowy. Może pora przypomnieć, że na trzy posiłki dla więźnia wydaje się jednego funta dwadzieścia pensów dziennie*.

Opuszczam celę i z plastikową tacą i plastikowym talerzem w rę-

ku ustawiam się w kuchence w kolejce liczącej sześć osób. Następne sześć musi czekać przed kuchenką, aż pierwsza szóstka zostanie obsłużona. Chodzi o niedopuszczenie do długiej kolejki i bijatyki o jedzenie. W kuchence, z prawej strony płyty do podgrzewania potraw, siedzi Paul (zabójstwo), który sprawdza nazwiska i ogłasza: Fossett - C, Pugh - B, Ciarke - B, i tak dalej. Kiedy odfajkowuje mo-je nazwisko, sześciu mężczyzn za ladą, odzianych w białe fartuchy, białe czepki i w cienkich gumowych rękawiczkach na rękach, żeby móc podawać ziemniaki i chleb, zbija się w gromadkę, gdyż już wiedzą, że prawdopodobnie niczego nie wybiorę i wrócę do celi z pustymi rękoma.

Ostatnio Tony (tylko marihuana, uciekł do Paryża) wybiera za mnie posiłki. Dziś poleca mięso i cynaderki, lekko niedopieczzone, ka-lafior z tartą bułką podsmażany na maśle i ziemniaki duchesse albo:

- Milordzie, czy zadowolili się pan jarzynami zapiekanymi w cieście? - pyta.

Tak bardzo bawi go sytuacja, że dzieli kartofel na cztery części, ozdabia go marchewką pokrojoną w kostkę i układa na środku mojego talerza. Proszę pamiętać, że jeżeli podają lody czekoladowe albo

* Większości potraw figurujących w jadłospisie więziennym z pewnością nie moż-

na by znaleźć w książkach kucharskich dla eleganckich pań domu, a nawet jeżeli niektóre z nich noszą wyszukane nazwy, to kryją się pod nimi zazwyczaj rozgotowane, niejadalne, niedbale przyrządzone dania, tak malowniczo opisane przez autora. Oto kilka przykładów, wrywkowo zaczerpniętych z opublikowanego ja-dłospisu, zdominowanego przez różnego rodzaju paszteciki i zapiekanki: Kolacja

- sajonka z warzywami, ryż smażony z warzywami, pasztecik warzywny, zapiekany hot dog, warzywa zapiekane w cieście pod beszamelem. Lunch - paluszki warzywne, warzywa słodko-kwaśne, stek z kurczaka, pasztecik mięsno-warzywny, fasolka w sosie curry, ryba gotowana w sosie paprykowo-pomidorowym, kotlet wołowy w bułce, wołowina z puszki (przyp. tłum.).

WEEK 1

EVENING MENU

CHOICE	MONDAY	DIET
A	VEGETABLE SPRING ROLL	ALL DIETS (VEG)
B	BBQ CHICKEN	ORD/MOS/H
C	MIXED GRILL	ORD
TUESDAY		
A	TOMATO AND ONION PASTA BAKE	ALL DIETS (VEG)
B	SPICY BEEF RIB	ORD/MOS
C	HAM AND CHEESE PASTA BAKE	ORD/H
WEDNESDAY		
A	FRIED RICE AND VEGETABLES	ALL DIETS
B	POACHED EGG	ORD/MOS/H/VEG
C	FRIED EGG	ORD/MOS/VEG
THURSDAY		
A	VEGETABLE PATTIE	ALL DIETS
B	ROAST PORK	ORD/H
C	ROAST BEEF	ORD/MOS/H
FRIDAY		
A	VEGETABLE SAUSAGE ROLL	ALL DIETS
B	CHICKEN FRIED RICE	ORD/MOS/H
C	BAKED SAUSAGE ROLL	ORD
SATURDAY		
A	CREAMY VEGETABLE PIE	ALL DIETS
B	COTTAGE PIE	ORD/MOS/H
C	-	
SUNDAY		
A	SPICY VEGETABLE BAKE	ALL DIETS
B	ROAST BEEF • YORKSHIRE PUDDING	ORD/MOS
C	ROAST TURKEY • STUFFING	ORD/MOS/H

WEEK 1

LUNCH MENU

CHOICE	MONDAY	DIET
A	VEGETABLE FINGERS	ALL DIETS
B	FISH CAKES • TOMATO SAUCE	VEG/MOS/ORD
C	BEEF CHOW MEIN	MOS/ORD/H
	TUESDAY	
A	RATATOUILLE • MUSHROOMS	ALL DIETS
B	FISH IN TOMATO • BASIL SAUCE	VEG/MOS/ORD/H
C	LAMB STIFFADO	MOS/ORD
	WEDNESDAY	
A	SPICY VEGETABLE CURRY	ALL DIETS
B	CHICKEN TIKKA MASALA	MOS/ORD/H
C	PORK • APPLE SAUCE	ORD/H
	THURSDAY	
A	SWEET • SOUR VEGETABLES	ALL DIETS
B	CHICKEN STEAK IN BATTER	MOS/ORD/H
C	SWEET AND SOUR PORK	ORD/H
	FRIDAY	
A	VEGETABLE GRILL	ALL DIETS
B	OVEN BAKED FISH	VEG/MOS/ORD/H
C	CORNISH PASTIE	MOS/ORD
	SATURDAY	
A	VEGETABLE CUTLET	ALL DIETS
B	ROAST CHICKEN	MOS/ORD/H
C	-	
	SUNDAY	
A	CURRIED BEANS	ALL DIETS
B	CHEESE AND FRUIT	VEG/MOS/ORD/H
C	CHEESE AND CORNED BEEF	ORD

owocowe, „Del Boy” zawsze dopilnuje, żebym dostał dwie porcje. Nigdy nie jadłem deserów, póki nie trafiłem do więzienia.

Dziś, mówi mi Tony, jest coś specjalnego w menu: zapiekanka pa-sterska. A ja jestem światowym ekspertem od tej zapiekanki z mięsa i ziemniaków, która od dwudziestu lat jest głównym daniem na moich przyjęciach, wydawanych z okazji świąt Bożego Narodzenia. Jadłem tę zapiekankę w Ivy, Savoyu, a nawet w nowojorskim Klubie 21, ale nigdy nie widziałem czegoś podobnego do tej potrawy w wydaniu Belmarsh. Mięso, o ile to mięso, sklezione z ziemniakami i w postaci wielkiej kluchy chlapnięte na plastikowy talerz, przypomina awangardową pracę plastyczną, zgłoszoną do Turner Prize. Jestem pewien, że zdobyłaby jedno z pierwszych miejsc.

- Proszę wybaczyć, milordzie - dodaje Tony - ale zabrakło nam szampana Krug. Jednakże Belmarsh dysponuje wyborną wodą z kra nu, rocznik 2001, z dodatkiem bromu.

Decyduję się na jarzyny zapiekane w cieście, niedojrzałe jabłko i szklanę wody Highland Spring (49 pensów).

3.18 po południu

Przybywa funkcjonariusz i prowadzi mnie do biura zastępcy naczelnika. I znów się czuję jak krnąbrny uczeń, wzywany przez dyrektora.

Znowu dyrektor jest ode mnie o połowę młodszy.

Zastępca naczelnika, Leader, przedstawia się i informuje mnie, że ma dobrą i złą wiadomość. Zaczyna od tego, że ponieważ Emma Nicholson napisała do Scotland Yardu, domagając się przeprowadzenia śledztwa w sprawie zbiórki i rozdziału funduszy dla Kurdów, do-póki policja nie ukończy dochodzenia, muszę zostać więźniem kategorii C i nie będzie mi przywrócona kategoria D. Wystarczyło słowo jednej mściwej kobiety, żebym cierpiał kolejną niesprawiedliwość.

Dobra wiadomość to ta, że nie zostanę przeniesiony do więzienia Camphill na wyspie Wight, ale do Elmer w hrabstwie Kent, a zaraz po przywróceniu mi kategorii D - do Springhill. Gorzko się żalę na pierwszą decyzję, ale szybko pojmuję, że Leader nie zmieni stanowiska. Oskarża mnie nawet o „niewłaściwą postawę”, kiedy próbuję dyskutować na ten temat. W Izbie Gmin długo by się nie utrzymał.

- To nie moja wina - twierdzi. - To policja zdecydowała, żeby wszcząć śledztwo.

171

4.00 po południu

Godzina Wspólna. David (dożywocie, nielegalne posiadanie broni) jest jedyną osobą, która ogląda krykieta w telewizji. Biorę krzesło i siadam obok. Pada deszcz, więc pokazywane są tylko najważniejsze fragmenty dwu pierwszych rund. Prawie zapominam o swoich zmartwieniach, mimo że gdybym był na wolności, nie oglądałbym migawek telewizyjnych, tylko bym siedział na stadionie pod parasolem.

6.00 wieczorem

Rezygnuję z kolacji i piszę, co wywołuje zamęt. Nie zdawałem sobie sprawy, że Paul musi odfajkować wszystkie nazwiska z czterech skrzydeł i jeżeli stawiane przez niego znaczki nie zgadzają się z liczbą więź-

niów, kierownictwo przypuszcza, że ktoś uciekł. W moim przypadku to była tylko próba ucieczki przed kolacją.

Przed moją celę przybywa funkcjonariusz Weedon. Podnoszę oczy znad stołu i odkładam pióro.

- Archer, nie jadłeś pan kolacji - powiada.

- Nie, nie mogłem się na to zdobyć.

- To wykroczenie, za które staje się do raportu.

- Za co? Za niejedzenie? - pytam z niedowierzaniem.
- Tak, naczelnik będzie się chciał dowiedzieć, czy prowadzisz pan strajk głodowy.
- Nigdy o tym nie myślałem - mówię. - Czy wtedy byście mnie wypuścili?
- Nie, trafiłbyś pan z powrotem do oddziału medycznego.
- Wszystko, tylko nie to. Co mam zrobić?
- Coś zjeść.

Biorę mój plastikowy talerz i idę na dół. Paul i cała obsada kuchenna czeka i wita mnie oklaskami oraz okrzykiem: „Dobry wieczór, milordzie, prosimy do pańskiego ulubionego stolika”. Wybieram jeden gotowany ziemniak, proszę o odpajkowanie mojego nazwiska i wracam do celi. Buntownik się przystosował.

7.00 wieczorem

Odwiedza mnie Tony (tylko marihuana, uciekł do Paryża) i pyta, czy chciałbym wpaść do jego celi na drugim piętrze, tak jakby zapraszał kolegę do biura na pogawędkę o osiągniętej ostatnio wielkości obrotów.

Kiedy się wchodzi do celi jakiegoś więźnia, od razu można się zorientować, jaki to typ człowieka. U Fletcha wszędzie leży mnóstwo porzucanych książek i broszur, które pomagają nowemu więźniowi przetrwać pierwsze dni. „Del Boy” ma tytoń, karty telefoniczne, produkty żywnościowe i tylko on jeden wie, co pod łóżkiem, gdyż jest

„człowiekiem wtajemniczonym” w naszym skrzydle. U Billy’ego półki są pełne podręczników akademickich i teczek z materiałami o tematyce jego studiów. U Paula na ścianach widnieją akty, głównie chińskie, a Michael ma tylko zdjęcia rodzinne, przede wszystkim żony i sześciomiesięcznego dziecka.

Tony jest pięćdziesięcioczeroletnim, dojrzałym mężczyzną, na półkach w jego celi piętrzą się książki o mechanice kwantowej, jego życiowym hobby. Na łóżku leży dzisiejszy „Times”, gdy go przeczyta, odda Billy’emu; komuś z wyrokiem osiemnastu lat czytanie gazety z jednodniowym opóźnieniem nie robi specjalnej różnicy. W kącie celi leży stos starych „Financial Timesów”. Ogarnia mnie uczucie, że historia Tony’ego będzie trochę inna od wszystkich.

Mówi mi, że pochodzi z rodziny należącej do klasy średniej, odebrał dobre wychowanie i miał szczęśliwe dzieciństwo. Jego ojciec był

na wysokim stanowisku w jednym z największych funduszy ubezpieczeniowych, matka prowadziła dom. Uczęszczał do miejscowej szkoły

średniej, którą ukończył z wynikiem celującym, po czym zaproponowano mu miejsce na Uniwersytecie Londyńskim, ale ojciec chciał, żeby został rachmistrzem ubezpieczeniowym. Po rocznym stażu pojął, że to nie dla niego, i postanowił otworzyć ze szkolnym przyjacielem sklep mięsny. Poślubił siostrę przyjaciela, urodziło im się dwoje dzieci (córka, która niedawno ukończyła w Bristolu studia z wyróżnieniem, i syn, obecnie szesnastoletni, który w chwili gdy to piszę, uczy się w znanej prywatnej szkole z internatem).

Kiedy Tony dobiegł trzydziestki, miał dość godzin pracy rzeźnika: dzień w dzień musiał być w ubojni o trzeciej nad ranem, a potem tkwić w sklepie do szóstej wieczorem. W wieku trzydziestu pięciu lat

sprzedał sklep i, mając pieniędzy jak lodu, postanowił pędzić żywot emeryta. Po kilku tygodniach znudziło mu się, więc otworzył firmę samochodową handlującą jaguarami, i zbił drugą fortunę w latach rządów Thatcher. Ponownie sprzedał interes i znowu postanowił odpocząć, bo prawie nie widywał rodziny, a żona groziła, że od niego odejdzie. Wkrótce uznał, że musi się czymś zająć, więc kupił podupały pub na East Endzie. Sądził, że to będzie jego hobby, ale skończyło się na czterestu pubach i rozłące z żoną.

Jeszcze raz wszystko sprzedał i, rozszedłszy się z żoną, znalazł sobie nową partnerkę, kobietę trzydziestosiedmioletnią, która prowadziła biznes rodzinny. Tony miał wtedy czterdzieści pięć lat. Zamieszkał z nią i prędko się zorientował, że ten biznes to narkotyki. Rodzina handlowała marihuaną i stroniła od twardych narkotyków. Tony zapewnia mnie, że nie ma potrzeby zawracać sobie nimi głowy, gdyż rynek narkotykowy i tak jest olbrzymi. Tony na początku się zastrzegł, że nie interesują go narkotyki i że jest wystarczająco bogaty, żeby się nie angażować w rodzinny biznes.

Zycie z nową partnerką miało ten minus, że Tony, który prędko się połapał, iż firma prowadzona jest nieudolnie, zaczął uczyć partnerkę prostych zasad handlowych. W miarę jak mijały miesiące, coraz bardziej się udzielał, aż w końcu został tytułarnym dyrektorem firmy.

W następnym roku firma potroiła dochody.

- Mięso, samochody, puby czy marihuana, nie ma różnicy, Jeffrey

- mówi. - Dla mnie liczyło się tylko, żeby interesy były prowadzone jak należy. Nie powinienem się w to mieszać, ale nudziło mi się i irytowała mnie niekompetencja mojej partnerki i jej rodziny. Muszę też przyznać, że kobieta była dobra w łóżku.

A teraz prawdziwa bomba: otóż Tony został skazany na dwanaście lat za przestępstwo, którego nie popełnił. Ale, jak otwarcie przyznaje, na podobnym mógł być przyłapany niejedyn raz. Najwyraź-

niej odwiedził wtedy dom, którego był właścicielem, żeby pobrać czynsz od lokatora, który przez pół roku nie zapłacił ani pensa, kiedy wpadła tam policja. Znaleźli pięćdziesięciokilową paczkę marihuany, schowaną w szafce pod schodami, i oskarżyli go, że jest dostawcą. Tony nic nie wiedział o tym akurat pakunku i nie był winien przedstawionego mu zarzutu, ale miał na koncie podobne przestępstwa. Więc się nie skarży i uważa swoją karę za słuszną. To bardzo brytyjskie.

174

Kiedy Tony odsiedział trzy i pół roku, przeniesiono go do więzienia otwartego kategorii D w Ford, skąd wybrał się z wizytą do Pary-

ża, jak już odnotowałem w tym dzienniku. Następnie pojechał do Mijas w Hiszpanii, gdzie pracował jako mechanik, ale zrobił go przyjaciel - ktoś w rodzaju Teda Francisa, zauważa.

- Zostałem aresztowany - mówi - i siedziałem rok i cztery miesiące w hiszpańskim więzieniu, dopóki nie załatwiono formalności związanych z ekstradycją. Ostatecznie odesłano mnie do Belmarsh, gdzie pozostanę do końca wyroku. - Tony przypomina mi, że jeszcze nikt stąd nie uciekł.

- A co z dziewczyną? - pytam.

- Ma dom, wszystkie moje pieniądze i nigdy o nic jej nie oskarżo-no. - Uśmiecha się i nie wygląda na to, żeby miał żal. - Pieniądze zawsze mogę zarobić - mówi. - To nie problem, poza tym jestem pewien, że będą inne kobiety.

Rozważa się obecnie sprawę zwolnienia warunkowego Tony'ego, ale nie układa mu się dobrze z kuratorką sądową. Twierdzi, że ona nie poznaje się na jego poczuciu humoru. Przestrzega mnie, żebym traktował z szacunkiem osobę, która z urzędu będzie się zajmować moją sprawą, gdyż może mieć decydujący wpływ na to, czy mnie zwolnią, czy też zostanę w więzieniu.

- I co będziesz robił, jak cię wypuszczą? - pytam.

Uśmiecha się i wyciąga teczkę schowaną w głębi szafki.

- Zamierzam sprzedawać maszyny rolnicze Senegalczykom - odpowiada. Pokazuje arkusz za arkuszem prognoz finansowych na temat potrzeb rolnictwa w Senegal, łącznie z subwencjami rządu brytyjskiego na rozwój tej dziedziny gospodarki.

- Nie zdziwiłbym się, gdybyś czwarty raz zbił majątek - zauważam, przestudiowawszy papiery.

- Tylko kobiety mogą mi przeszkodzić - mówi. - Uwielbiam je.

- Wracać do cel! - słyszymy krzyk funkcjonariusza z parteru.

Dziękuję Tony'emu za towarzystwo, opuszczam jego biuro i idę do mojej celi.

8.00 wieczorem

Poprawiam moje zapiski z tego dnia, a potem przez dwie godziny czytam listy. Jeżeli ludzie dalej będą mi przysyłać Biblie i książeczki do nabożeństwa, to będę mógł otworzyć sklep z

dewocjonaliami.

175

Próbuję się dowiedzieć, jakie są ostateczne wyniki rozgrywek krykietowych, ale muszę się zadowolić audycją „Odpowiedź na każde pytanie”. Ken Ciarkę mówi bez ogródek, jak krzywdzący jest mój wyrok, co jest odważne, zważywszy, że przystępuje do rywalizacji o przywództwo partii torysowskiej.

10.00 wieczorem

Nadal żadnej muzyki rap, więc drugą noc z rzędu śpię spokojnie.

Dzień siedemnasty

Sobota, 4 sierpnia 2001

6.18 rano

Budziłem się kilką razy w nocy, ale nie z powodu hałasu, tylko dlatego, że wczoraj wypłem za dużo płynów. Cup a Soup (rosół z kury, 22 pensy), bulion Oxo (9 pensów) i butelkę wody Highland Spring (69 pensów). Na szczęście nie mam daleko do toalety.

Szczekanie wilczurów budzi mnie znowu tuż po szóstej. Piszę przez dwie godziny.

8.30 rano

W sobotę rano człowiekowi nie tylko pozwalają wyjść z celi, ale jeszcze dają mu ciepłe śniadanie. Jajka, fasolka i frytki. Wciąż nie jem frytek. Tony wybiera mi dwa usmażone jajka i świeżo podgrzaną fasolkę. Smaczne.

9.00 rano

Godzina Wspólna. Szukam Fletcha, żeby sprawdził tekst, który wczoraj napisałem o narkotykach. Potwierdza wszystko, co powiedział

William Keane, a potem dodaje:

- Czy słyszałeś o Białej Porcelanie?

- Nie - odpowiadam, zastanawiając się, czy chodzi mu o porcelanę Wedgwood, czy Royal Doulton.

- Biała Porcelana to był ładunek czystej heroiny ze Złotego Trój-177

kąta. Do Glasgow dotarł dwa lata temu. Heroina miała taką czystość (97 procent), że piętnastu zarejestrowanych narkomanów umarło w kilka dni po jej wstrzyknięciu, a potem towar zaczął się rozprzestrzeniać na południe, uśmiercając narkomanów w całym kraju. Wszyscy naczelnicy więzień wystosowali oficjalne ostrzeżenia pod adresem więźniów, polecając im osłabiać dawki ostatnio dostarczonej heroiny (list str. 181). Chodź, to ci pokażę literaturę na ten temat.

W celi Fletch przrzuca papiery w teczce z napisem „narkotyki”

i podaje mi kilka broszurek i kartek pocztowych, jakie wręcza się podejrzanym o branie narkotyków w dniu, zieniu. Pierwszy raz ki

edy znajdują się w wię-

nik detoksykacji”, widzę tego rodzaju materiały. Są to: „Podręcz-, Poradnik użytkownika: jak odstawić opiaty” (drugie wydanie), „Jak stosować metadon” (piąte wydanie), „Kana-binole” (dziewiąte wydanie), broszurka na temat HIV, żółtaczkę typu B i C oraz sześć kolorowych kartek: Wstrzykiwanie i infekcje (z ilustracjami): 1) Kanabinole - marihuana, puff, blow, ziele, grass, trawa, trawka, marycha, huana, skun, ziółka, shit, hasz, spliff, tackle, wacky, gandzia.

2) Kwasy i grzyby halucynogenne - kwas, kwach, grzyby, grzybki (LSD).

3) Amfetaminy - speed, wizz, billy, amfa, feta, dopalacz, sulfa, am-fetka.

4) Ecstasy - pixle, \$cstasy, E, doves, disco biscuits, echoes, hug drag, burgers, fantasy

5) Kokaina - koka, charlie, snów, C, biała dama, biała śmierć, biała trucizna, biała wróżka, koks.

6) Heroina - smacjc, prochy, brown sugar, brown, horse, hera, scag, jack.

Każdy narkotyk ma kilka slangowych nazw w zależności od re-gionu kraju. Ustawaj antynarkotykowa dzieli nielegalne narkotyki na trzy grupy i ustanawia maksymalne kary pozbawienia wolności od dwóch do czternastu lat.

178

Rodzaj narkotyku

Maksymalne kary

Klasa A Amfetaminy (Speed)

Posiadanie: 7 lat

jeśli przygotowane

kary pozbawienia wolności

do wstrzyknięcia

i/lub kara grzywny

Kokaina i crack

Posiadanie z zamiarem

rozprowadzania lub

Ecstasy (i podobne narkotyki)

rozprowadzanie:

kara dożywocia i/lub kara

grzywny

Heroina LSD

(kwas)

Grzyby halucynogenne

(jeśli przygotowane do użytku)

Klasa B Amfetaminy (Speed)

Posiadanie: 5 lat

kary pozbawienia

wolności i/albo kara grzywny

*Kanabinole**

Posiadanie z zamiarem

rozprowadzania lub

rozprowadzanie:

14 lat więzienia i/lub

kara grzywny

Klasa C Sterydy anaboliczne

Posiadanie: 2 lata

kary pozbawienia

wolności i/lub kara

grzywny

Benzodiazepiny (np.

Posiadanie z zamiarem

temazepam,

rozprowadzania albo

flunitrazepam, Yalium)

rozprowadzanie:

5 lat kary pozbawienia

wolności i/lub

kara grzywny

‘ Ostatnio przeniesione do klasy C.

179

Fletch mówi mi, że w naszym skrzydle mamy własnego dilera heroiny i że wie, jakich on ma klientów. Jest tu pięćdziesięciu ośmiu więźniów i jedenastu z nich jest lub było uzależnionych od heroiny, a czterdziestu jeden obecnie bierze narkotyki.

Już mam wyjść, ale spostrzegam pięć róż na parapecie. Widać Fletch lubi mieć w celi kwiaty. Przyglądam się bliżej małemu bukietowi. Fletch lepi płatki z chleba, a kryształki cukru osadzone na czerwonych płatkach udają krople deszczu. Maluje kwiat pędzelkiem wykonanym z włosia, które wypadło z pędzla do golenia. Przymocował je do ołówka za pomocą gumki. Kolor uzyskuje, rozpuszczając koniushkę czerwonej kredki wilgotnym pędzelkiem. Ulepił kilka takich chlebowych róż i posadził je w bułce, bo nie wolno mu mieć doniczki, gdyż rozbita może służyć jako broń.

- Ale dlaczego nie masz pudełka z farbami? - pytam.

- W Belmarsh zakazane jest posiadanie wszelkich pudełek i puszek - tłumaczy - bo można z nich

zrobić broń, a to jest dla klawiszy poważny problem. Muszą nam dostarczyć codziennie nową maszynkę do golenia, bo inaczej więźniowie chodziliby zarośnięci. W zeszłym miesiącu jeden więzień przykleił dwa nożyki Bic do rączki szczoteczki do zębów, dopadł kogoś pod prysznicem i tak rozharatał mu twarz, że żaden chirurg plastyczny nie zdoła zlikwidować blizny. Ile razy otworzysz jakąś puszkę - ciągnie Fletch - musisz wyrzucić jej zawartość na talerz i oddać pustą strażnikowi, bo mógłbyś komuś poderznąć gardło wyszczerbioną krawędzią pokrywki. Jednak - dodaje - więzień, któremu na tym zależy, może sobie zrobić broń na wiele innych sposobów.

Nie przerywam Fletchowi wykładu.

- Na przykład - mówi - możesz uderzyć kogoś w głowę stalowym termosem. Możesz oblać wrzątkiem z termosu innego więźnia; mo-

żesz wyrwać żelazny pręt z łóżka i masz prymitywny nóż; widziałem nawet człowieka z gardłem poderzniętym zaostrzoną kartą telefoniczną. - Fletch bierze do ręki plastikową szczotkę do szorowania ubikacji. - Jeden więzień ogolił ostatnio dostarczonymi mu maszynkami rączkę (długości 9 cali) szczotki do kibla i zrobił z niej bagnet, a potem w środku nocy zadźgał nim współwięźnia na śmierć.

- Ale to mu tylko zapewni pobyt w więzieniu do końca życia - zauważam.

- I tak już miał dożywocie - oznajmia Fletch obojętnie. - Jak wię-

180



HMP BELMARSH

GOVERNOR'S NOTICE TO INMATES NO: 64/2001

POSSIBLE BATCH OF CONTAMINATED HEROIN

AT RISK OF CAUSING SEVERE SYSTEMIC SEPSIS

IN INJECTING DRUG USERS

Ali inmates will be aware that possession, or use, of any controlled drug is an offence against prison discipline.

However, any inmate who chooses to ignore this should be aware of possible health risks associated with injecting drugs.

It is possible that parts of a batch of heroin, which may have been responsible for a number of deaths in Scotland, Ireland and various parts of England last year, may be circulating on the drugs market again.

Any inmate who injects drugs is therefore placing himself at extreme risk.

C-OME/LNO/L

181

ziew naprawdę chce zabić kolegę z tej samej celi albo nawet jakiegoś innego więźnia, może to zrobić z łatwością, bo klawisze nie są w stanie przez całą noc sprawdzać, co się dzieje z drugiej strony żelaznych drzwi.

Zaledwie dwa tygodnie temu byłbym zbulwersowany, wstrząśnię-

ty, pełen odrazy po takiej pozbawionej emocji rozmowie. Czy już się robię odrętwiały, nieczuły na wszystko inne poza najgorszym koszmarem?

Wychodzę od Fletcha i widzę Colina (kibic-chuligan), który na mnie czeka. Wręcza mi napisaną na nowo ocenę ostatniej książki Franka Mc Courta „I rzeczywiście” oraz wiersz swojego autorstwa.

Ofiarowuje mi banana, niezwykajne honorarium za redagowanie tekstu, ale w tych okolicznościach godziwa zapłata.

Wracam do celi i od razu przenoszę na papier wszystko, co mi powiedział Fletch.

12.00 w południe

Lunch. Tony wybrał dla mnie ziemniaka w mundurku, zapieczonego z tartym serem. Jem powoli ten smakołyk, słuchając w radio relacji z krykieta. Wszyscy zawodnicy angielscy zostali szybko wyeliminowani w drugiej rundzie, przy stanie 161 punktów i reprezentacji Australii pozostało do zdobycia tylko 156 punktów, żeby wygrać mecz i utrzymać tytułu zwycięzców rozgrywek Ashes. Zostawiam radio włą-

czone, łudząc się, że jeżeli Gough i Cadick dokonają przełomu w po-czątkowej fazie rundy, to będziemy jeszcze mieli możliwość dalszej walki. Znowu się myślę.

3.00 po południu

Spacer. Od trzech dni nie wychodziłem z budynku i czuję, że brak mi świeżego powietrza. Poddaję się rewizji, po czym wychodzę na dziedziniec i od razu spostrzegam dwóch łobuzów, którzy mi grozili, kiedy ostatnio byłem na spacerunku. Czają się, wsparci na siatce po drugiej stronie dziedzińca. Zerkam do tyłu i widzę, że Billy i Colin idą za mną krok w krok.

- Jeffrey, powinienes się ostrzyc - rzuca mi Billy, żeby podtrzymać mnie na duchu. Ma rację.

182

Podchodzi do mnie Peter Fabri, cały w uśmiechach. Wychodzi w poniedziałek i wraca do żony i sześciotygodniowego dziecka. Ponieważ dziś rano o nim pisałem, chcę jeszcze raz sprawdzić fakty.

- Proponowano ci tysiąc funtów za pobicie świadka, który ma niedługo wystąpić w procesie w Old Bailey? - pytam.

- To się zmieniło, odkąd się ostatnio widzieliśmy - mówi Peter. -

Teraz ten gość proponuje mi czterdzieści tysięcy za sprzątnięcie świadka. Mówi, że on zarobił

dwieście tysięcy na przestępstwie, o które jest oskarżony, więc uważa, że za usunięcie jedyne go świadka warto dać czterdzieści. Gdybym był z nim jeszcze dwa tygodnie w jednej celi, pewnie by mi zaproponował sto patyków.

Panie ministrze spraw wewnętrznych, czy pana to interesuje?

Robimy razem trzy okrażenia, a potem Peter wraca do przyjaciół

- trzech więźniów z wyrokami sześciu tygodni lub krótszymi. Kontynuuję spacer i widzę, że Billy'ego i Colina zastąpili Paul i „Del Boy”.

Dostrzegam Fletcha stojącego w jednym z rogów, w głębi. To jego ulubione miejsca, gdyż ma stamtąd doskonały widok na swoje włości.

Rzecz jasna, że ustalił kolejność ochrony mojej osoby, i jestem pewien, że strażnicy objijający się po drugiej stronie dziedzińca zdają sobie z tego sprawę.

Mijam Williama Keane'a, który wsparty o siatkę gawędzi ze swoim bratem. Podrywa się i biegnie w moją stronę. Paul i „Del Boy” natychmiast robią krok do przodu, ale odprężają się, kiedy obejmują Williama ramieniem. W końcu nikomu nie powiedziałem, który z więźniów podpierających ogrodzenie mi zagraża.

I znowu wykorzystuję czas, żeby sprawdzić fakty, o których William opowiadał w warsztatach. Poprawia parę pomyłek co do ceny kokainy i jeszcze raz tłumaczy, jak rozrzedza się czystą heroinę, a potem porcuje na jednogramowe działki i pakuje w torebki. Pytam go, co zamierza robić, gdy za dwanaście tygodni wyjdzie z więzienia.

- Zajmę się ratownictwem - mówi.

- Ratownictwem? - powtarzam, myśląc, że to ma coś wspólnego z żegluga.

- Tak, będę skupował stare samochody, naprawiał je, załatwiał przegląd techniczny i potem je sprzedawał na tutejszych osiedlach.

- Czy będziesz mógł z tego przyzwoicie wyżyć? - pytam.

- Mam nadzieję, JeffTrey - odpowiada - bo robię się za stary (ma trzydzieści pięć lat) na tę zabawę. Zresztą i tak wystarczająco dużo 183

członków mojej rodziny naraża państwo na wydatek tysiąca funtów tygodniowo, żebym jeszcze ja był ciężarem dla podatników. A wiesz -

dodaje - gdyby mnie wypuścili w zeszłym tygodniu, to pewnie bym kogoś zamordował. — Staję w miejscu i niewiele brakuje, żeby Paul i „Del Boy” na mnie; wpadli. - Brat mi przed chwilą powiedział -

wskazuje wysokiego, ciemnowłosego młodego człowieka przy siatce -

że Brinie, naszą siostrę, porwano w ubiegłym tygodniu i wielokrotnie zgwałcono, a ponieważ prawie cała rodzina siedzi w więzieniu, nic nie mogliśmy zrobić. - Odebrało mi mowę. - Ten drań został aresztowany, więc miejmy nadzieję, że tym razem sędzia wyda właściwy wyrok.

- Milknie na chwilę. - Ale lepiej byłoby dla niego, żeby nie trafił do więzienia, w którym siedzi jeden z moich braci. Chociaż ma duże szanse - dodaje po chwili.

Kiedy zakręcamy, pokazuje mi wieżowiec w oddali.

- Stamtąd Patrick, inny mój brat, spadł i zabił się. - (Czy zauważyliście, że pani Keane wszystkim synom nadała imiona świętych i królów?) - Właśnie wtedy na jego pogrzebie była cała nasza rodzina

i połowa londyńskiej policji, o czym ci mówiłem. - Milknie i po chwili ciągnie dalej: - Teraz mówią, że może go wypchnięto. Dowiem się czegoś więcej, jak tylko stąd wyjdę, a jeżeli tak...

Jaką można mieć nadzieję, że ten człowiek wytrwa na wolności, zadaję sobie pytanie. Dowiedziałem się kilka miesięcy później, kiedy spotkałem jeszcze innego z jego braci*.

Kiedy William odchodzi do brata, spostrzegam, że „Del Boy” i Paul zostali zastąpieni przez Tony’ego i Davida. David (pięćdziesiąt pięć lat, posiadanie broni) ma nadwagę, jest bez kondycji i z trudem za mną nadąża. Następną osobą, która do mnie podchodzi, jest młody, bystry, pełen życia Antylichy, którego historii nie przytoczę, gdyż jest ona lustrzanym odbiciem przypadku Petera Fabriego. On też nie ma najmniejszego zamiaru ryzykować, gdy wyjdzie z Belmarsh. Przyznaje jednak, że wie teraz o wiele więcej o przestępstwach niż przed pobytem w więzieniu. Zapoznał się też z narkotykami w celi, którą dzieli z dwoma innymi więźniami.

- Jestem czysty, człowieku - mówi, zacierając dłonie. - Ale jeden chłopak w mojej celi, który wychodzi w przyszłym tygodniu, pierwszy

* To zdanie dodałem w trakcie redakcji tomu pierwszego, kiedy ostatecznie zostałem przeniesiony do więzienia kategorii D. W dniu dzisiejszym (1 października 2002) William Keam jest wciąż na wolności.

184

raz spróbował heroiny. Wpadł, człowieku, mówię ci, jak śliwka w kompot.

Panie ministrze spraw wewnętrznych, co pan na to?

Przechodzę obok łobuzów, którzy ani drgnęli w ciągu ostatnich czterdziestu minut i posyłają mi tylko złe spojrzenia. Jestem pewien, że tym razem nie odważą się na żadne ryzyko.

O czwartej wzywają nas do powrotu blok za blokiem. Kilku więź-

niów, którzy wychodzą w przyszłym tygodniu, w tym Peter (któremu zaproponowano czterdzieści tysięcy funtów za zabicie świadka), Den-zil (przyjdź i zobacz mnie, jak będę gwiazdą) i Liam (czy potrzebuję obrońcy, czy mam reprezentować sam siebie?), podchodzi do mnie, żeby uścisnąć mi rękę i życzyć szczęścia. Modłę się w duchu, żeby nigdy więcej nie zobaczyli Belmarsh od środka.

4.00 po południu

W celi zastaję kolejną stertę listów, czekającą na łóżku, a właściwie trzy sterty. Zabieram się do czytania. To bardzo pożyteczne, że cenzor musi otworzyć każdą kopertę. Jestem szczególnie wzruszony listem, który Freddie Forsyth wysłał do gazety „Daily Telegraph”, i w którym pisze o tym, jak wysoki dostałem wyrok i o kwotach, jakie zebrałem na cele dobroczynne. Redaktor listu nie zamieścił.

4.49 po południu

Ostatnie wezwanie na kolację. Pierwsze skrzydło zawsze wypuszczają najpierw i wzywają do powrotu na końcu, gdyż najwięcej jest tu więź-

niów skazanych na dożywocie, którzy spędzą więcej czasu w zamknię-

ciu niż inni z tego bloku. To logika więzienna, o tyle mająca sens, że fluktuacja więźniów w pozostałych trzech skrzydłach waha się od dziesięciu do dwudziestu procent tygodniowo, więc nikt nie ma zamiaru się skarżyć.

Schodzę do kuchenki, ale tylko po to, żeby odpajkować moje nazwisko, zabieram termos z gorącą wodą i przyrządzam sobie Cup a Soup (pomidorowa, 22 pensy), po czym zjadam batonik Mars (31

pensów) i pogryzam przydziałowe więzienne jabłko, kontynuując czytanie dzisiejszych listów.

185

6.00 wieczorem

Biorę do ręki esej krytyczny Colina o książce Franka McCourta „I rzeczywiście”. Znaczna poprawa w porównaniu z pierwszą próbą.

Rozwiązał kwestię, ile należy wyjawiać treści, zanim się wyrazi opinię krytyczną. Widać jest

człowiekiem, który natychmiast bierze sobie do serca wskazówki, jakich mu się udzieli. Czytam teraz jego wiersz.

Uniwersytet Belmarsh
Otwórz labirynt czasu
przepędź mrok przekreśl
minione zbrodnie umysł
napęczniony wiedzą to istny cud
Można go kształcić, można giąć i prostować
rozwijać ze wszechmiar
jak otwarty na całe życie problem
Chociaż zamknięty, możesz widzieć szerokie przestrzenie Ciało w pułapce
ale umysł wolny
zdumiewać się może wszechświatem
i wzrastać jak drzewo zieloną nadzieją
No to idę do biblioteki
biorę książkę do ręki. Nie
powstrzymają mnie kose
spojrzenia spod celi
ani taksujący mój zamiar bibliotekarz,
który ochoczo zachęca: kształć się,
rozwijaj ciemność.

Colion Kitto, maj 2001

Blok 1, Belsmarsh, więzienie Jej Królewskiej Mości Ten wiersz mówi dużo o jego autorze, wyjawia dokąd zmierza i skąd przychodzi. Jestem pewien, że nim odsiedzi wyrok, zdobędzie 186 upragniony dyplom Ruskin College. I trzeba pamiętać, że ten człowiek nie umiał czytać ani pisać, zanim trafił do więzienia.

Ktoś delikatnie puka do drzwi. Podnoszę głowę i widzę, że jakiś funkcjonariusz zagląda przez podłużne okienko w drzwiach celi. Prosi mnie o autografy dla swoich córek, Joanny i Stephanie.

- Obie przepadają za pańskimi książkami - tłumaczy i po chwili dodaje - chociaż muszę przyznać, że ja nie czytałem ani jednej.

Nie otwiera drzwi celi, wsuwa tylko pod spód dwie kartki papieru.

Dziwi mnie to. Potem się dowiaduję, że funkcjonariuszowi więziennemu nie wolno otwierać drzwi celi, jeżeli nie jest na służbie.

- Na początku tygodnia będę miał wolne - mówi mężczyzna, pod niósłszy kartki z moimi podpisami - więc gdybym pana już nie zoba czył, życzę pomyślnego wyniku apelacji.

7.00 wieczorem

Otwieram zbiorek opowiadań, który ktoś zostawił na stoliku koło telewizora na parterze. Nosi tytuł: „The Fallen”, a autor, John Mac-Kenna, jest mi nieznany. Nie jest gawędziarzem, jak często bywają Irlandczycy, ale życzyłbym sobie takiej siły lirycznej, z jaką on pisze.

10.50 wieczorem

Przeczytałem cały tomik Johna MacKenny za jednym posiedzeniem (na brzegu łóżka) - co za śmiała, pewnie zarysowana proza, pełna czułego zrozumienia dla rodaków autora i dla jego kraju. Dochodzę do wniosku, że Bóg dał Irlandczykom dar pięknego języka i po namyśle dorzucił ziemniak.

Dzień osiemnasty

Niedziela, 5 sierpnia 2001

6.00 rano

Znowu dobrze przespana noc.

Wczoraj pisałem sześć godzin, trzy posiedzenia po dwie godziny, czytałem trzy - z listami włącznie - i spałem osiem. Na wolności, tam gdzie jesteście, zawsze mi wystarczało pięć godzin snu. Prawdę mó-

więc, pisanie jest próbą wypełnienia dnia i wieczoru nieustanną aktywnością. Żal mi więźniów, którzy muszą jakoś zająć sobie te godziny i nie umieją czytać ani pisać.

8.00 rano

Śniadanie. Jajko i fasolka na toście, drugi dzień z rzędu. Nie narzekam. Zawsze lubiłem jajka i fasolkę.

9.30 rano

Słyszę, jak dyżurny funkcjonariusz ze stanowiska na parterze wzywa krzykiem katolików.

Naciskam przycisk, który zapala czerwone światło na zewnątrz drzwi celi - zwane „obsługą pokojów” - żeby zasygnalizować, iż chcę pójść do kaplicy. Nikt nie otwiera drzwi. Kiedy wołają drugi raz, ponownie naciskam brzęczyk, ale nadal nie ma odpowiedzi. Gdy znowu wołają, walę w drzwi, ale bezskutecznie. Wprawdzie nie jestem katolikiem, ale za radą Williama Keane’a chciałbym posłuchać kazania ojca Kevina.

10.03 rano

W końcu zjawia się Cousins i tłumaczy, że ponieważ nie jestem kato-likiem, dyżurny doszedł do wniosku, iż moje nazwisko pomyłkowo znalazło się na innej liście i z powrotem wpisał mnie na listę wyznawców anglikanizmu. Klnę pod nosem, bo nie chcę stanąć do raportu.

Moje przekleństwa to „cholera” albo „do diabła”.

- Możesz pan iść do katolików w przyszłym tygodniu - mówi Cousins. - Tylko trzeba nas odpowiednio wcześniej uprzedzić.

- Mam nadzieję, że nie będzie mnie tutaj w przyszłym tygodniu - zauważam.

Uśmiecha się. Widzę, że przyznaje, iż jego kolega się pomylił, więc dochodzę do wniosku, że może jest to okazja, aby zapytać, jak problem narkotyków jest widziany z drugiej strony żelaznej bariery. Ku mojemu zaskoczeniu Cousins szczerze, niemal entuzjastycznie przedstawia swoje poglądy.

Cousins nie próbuje udawać, że w więzieniu nie istnieje problem narkotyków. Tylko głupiec by udawał. Przyznaje, że ponieważ kon-trole są z konieczności pobieżne, nie jest wcale trudno przekazywać narkotyki z oddziału na oddział, z bloku na blok, a nawet podać przez stół podczas odwiedzin rodziny.

- Niewielu z nas - mówi - sprawiłoby przyjemność zakładanie gu mowych rękawiczek i grzebanie więźniom w tyłkach kilka razy dzień nie. A nawet gdybyśmy posunęli się do takiej ostateczności, więźnio wie by po prostu połykali narkotyki, co by przysporzyło jeszcze więcej problemów. Ale - ciągnie - i tak robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zapobiegać i leczyć, i nawet mamy sukcesy. - Milknie na chwilę. - Ale niewielkie - dodaje.

Więzień, który przychodzi do Belmarsh, zostaje poddany testowi na narkotyki. Przeprowadza się analizę moczu, która wykrywa obecność narkotyków, ale gorzej jest z heroiną, którą można wypłukać z organizmu w ciągu dwudziestu czterech godzin. Większość innych narkotyków pozostawia ślad w krwi lub moczu przez co najmniej cztery tygodnie.

Badania więźniów w dniu przyjęcia do więzienia u 70 procent wykrywają obecność narkotyków, w tym u 20 procent - heroiny, nawet z poprawką na te dwadzieścia cztery godziny. Gdyby Cousins podał mi owe liczby zaledwie trzy tygodnie temu, ogrom problemu by mnie oszołomił.

Teraz przyjmuję takie rewelacje jako część codzienności więziennej.

189

- Najwięcej sukcesów - ciągnie Cousins - mamy wśród więźniów wychodzących na zwolnienie warunkowe, bo kiedy kończy się im wyrok, muszą się regularnie zgłaszać do ośrodka dobrowolnych testów narkotykowych - znajdują się takie w każdym więzieniu - aby udowodnić, że nie są już uzależnieni, co wpisze się im do dokumentów i co może wpłynąć na skrócenie wyroku. Czego nie wiemy - dodaje -

to ilu znowu zaczyna brać narkotyki zaraz po wyjściu na wolność.

Ale w ciągu ostatnich lat dokonaliśmy kroku, który może w większym stopniu pomóc w rozwiązaniu problemu.

W 1994 roku założyliśmy specjalistyczny zespół, zajmujący się przeszukiwaniami, zwany łowcami duchów, który może przeprowadzić nagłą rewizję pod kątem narkotyków w poszczególnych celach, a nawet na całych oddziałach czy blokach. Ten zespół funkcjonariuszy służb więziennych

został utworzony po ucieczce członków IRA z Whitemoor w 1993 roku, ale po tym, jak wszystkich terrorystów odesłano do Ulsteru po zawarciu porozumienia wielkanocnego, ze-spół przeniósł swoje zainteresowania z terroryzmu na nadużywanie nielegalnych substancji odurzających. Odniósł duży sukces, odkrywając wielkie ilości narkotyków i stawiając przestępców w stan oskar-

żenia. Ale - dorzuca Cousins po chwili namysłu - muszę przyznać, że procent narkomanów nie maleje, a mówię to jako dawny członek tego zespołu. Możliwe, że fakt, iż ten procent nie rośnie, jest już osiągnię-

ciem.

Słyszę, że po raz pierwszy wzywają z parteru na nabożeństwo anglikańskie, więc dziękuję Cousinsowi za wykład i za szczerość.

10.30 rano

Zgłaszam się na środkowe piętro i dołączam do grupy więźniów pragnących uczestniczyć w porannym nabożeństwie. Ustawiamy się w kolejce i jak zwykle zostajemy zrewidowani, po czym prowadzą nas do kaplicy. Malcolm (oficer z Armii Zbawienia) dziwi się na mój widok, bo wczoraj mu powiedziałem, że wybieram się na mszę katolicką, aby posłuchać kazania ojca Kevina. Opisuję mu ze szczegółami, w jaki sposób trafiłem z powrotem do jego trzódki, a potem zajmuję swoje miejsce w drugim rzędzie.

Żadnej grupy śpiewaczej w tym tygodniu, tylko muzyka z taśmy, co utrudnia Malcolmowi zadanie, szczególnie jeżeli chodzi o ucisze-190

nie roztrajkotanych tylnych sześciu rzędów. Mój wzrok zatrzymuje się na dwóch Libańczykach, handlarzach narkotyków, siedzących z tyłu w najdalszym kącie. Są pogrążeni w rozmowie. Wiem, że siedzą w innych skrzydłach, a zatem wykorzystują cotygodniowe okazje, żeby wymienić się informacjami o swoich klientach. Ile razy odwracam się i na nich patrzę, mają głowy pochylone, ale bynajmniej nie w mo-dlitwie.

Kazanie w tym tygodniu opiera się na Ewangelii św. Łukasza. Jest to przypowieść o dziewięćdziesięciu dziewięciu owieczkach, które są bezpieczne w zagrodzie, podczas gdy pasterz idzie na poszukiwania tej jednej zbłąkanej. Malcolm stoi przed zgromadzeniem ponad dwu setek zbłąkanych, z których większość nie ma najmniejszego zamiaru powrócić do zagrody.

Ale się nie poddaje, wytrwale przemawiając do serc wiernych w pierwszych sześciu rzędach, i odnosi pewien sukces. Pod koniec na-bożeństwa jego żona czyta lekcję, a po udzieleniu błogosławieństwa Malcolm zwraca się do wiernych, aby wystąpili do przodu i złożyli ślubowanie. Co najmniej czterdziestu więźniów wstaje z miejsc i podą-

ża do przodu. Każdy otrzymuje błogosławieństwo, po czym składa podpis w księdze.

Wyglądają mi na tych samych co tydzień temu czterdziestu kandydatów do zbawienia.

12.00 w południe

Lunch. Zadowolam się fasolką z tostem, jabłkiem i kubkiem wody.

Powinienem w jakimś momencie napisać rzecz oczywistą, mianowicie, że alkohol jest zakazany, co nie jest dla mnie dotkliwą stratą, gdyż rzadko piję więcej niż kieliszek czerwonego wina wieczorem.

4.00 po południu

Godzina Wspólna. Pędzę na dół, ściskając kartę telefoniczną z trzyna-stoma jednostkami, zaoszczędzonymi dla Mary. Przed obydwoma au-tomatami ustawily się już długie kolejki. To jedna z wad najwyższego piętra.

Patrzę w stronę wielkiego telewizora na środku sali. Kilku więźniów ogląda popołudniowy film z Tomem Hanksem i Geeną Davis.

191

To historia żeńskiej drużyny baseballowej, utworzonej w 1942 roku, kiedy po wybuchu drugiej wojny światowej męskie zespoły musiały się rozwiązać.

Co chwilę odwracam głowę, ale kolejka zdaje się nie zmniejszać, więc dalej patrzę na film. W tym czasie podchodzi do mnie kilku więź-

niów.

„Del Boy” (morderstwo), aby mi powiedzieć, że skądś wytrzasnął tygodniowe menu do mojego dziennika.

Fletch (morderstwo) chce przyjść do mnie do celi o szóstej i coś mi przeczytać. Pytam, czy nie mógłby przyjść o siódmej, bo o szóstej będę jeszcze pisał.

- Jak najbardziej - mówi. - Nigdzie się nie wybieram. - Więzienny humor.

Tony (tylko marihuana, uciekł do Paryża) pochyla się do mnie i pyta, czy mógłbym z wczorajszego tekstu wykreślić imię jednej z jego dziewczyn. Zgadzam się i odnotowuję tę prośbę.

Widzę Billy'ego (morderstwo) i polecam mu zbiór opowiadań Johna MacKenny, ale on mijają mnie bez słowa. Chyba już nic nie powinno mnie dziwić.

Dennis (ciężkie [uszkodzenie ciała, wielka torba z przyborami toaletowymi]) poklepuje mnie po ramieniu. Opowiada o odwiedzinach swego synka z okazji jego pierwszych urodzin i jak nie może się doczekać, kiedy stąd wyjdzie i będzie z żoną i dziećmi. Witam w klubie!

Miah (morderstwo), oddziałowy fryzjer - zwany demonicznym go-librodą - obiecuje, że może wpaść do mnie jutro o siódmej wieczorem. Dziękuję mu i tłumaczę, że muszę być ostrzyżony przed wizytą Mary i chłopców w czwartek. Rozglądam się i widzę, że kolejka do telefonu stopniała do trzech osób. Opuszczam Toma Hanksa i Geena Davis i staję na końcu.

Kiedy nadchodzi moja kolej, jakiś więzień wpycha się przede mnie.

Ponieważ jest podwójnym mordercą i na czterech palcach prawej ręki ma wytatuowany WRAZ NIENAWIŚĆ, postanawiam nic nie mówić.

Dziesięć minut później rzuca z trzaskiem słuchawkę telefonu i odchodzi, klnąc. Wolno wykręcam numer Cambridge i słyszę przypomnienie, że na mojej karcie pozostało tylko trzynaście jednostek. Mary podnosi słuchawkę. Ma pogodny głos i dużo nowin. Podróż do Drezna była udana i za granicą Mary poczuła się wreszcie normalnie. Może dlatego, że niemieckie prukowce nie mają takiej obsesji, jak angielskie, na 192

punkcie mego uwięzienia. Towarzyszył jej William, służąc jako oparcie, podczas gdy James został w domu i pilnował gospodarstwa.

Pozostało dziesięć jednostek.

Mary mi mówi, że policja napomyka, iż może w ogóle nie będzie wszczynać śledztwa w związku z listem Emmy Nicholson. Tłumaczę, że mimo to zmieniono mi status, zaliczając mnie do kategorii C, i że chciałbym jak najszybciej wrócić do D. Zapewnia mnie, że Ramona i James się o to starają.

Pozostało siedem jednostek.

Mówię Mary, jak wiele listów dostaję każdego dnia, na co słyszę, że do domu i do Londynu przychodzi tyle, że brakuje godzin, aby na wszystkie odpowiedzieć. Ułożyła uniwersalną odpowiedź, żeby móc się zająć swoją pracą.

Pozostało pięć jednostek.

Mary dodaje, że nie dość, iż moi przyjaciele wykazali się stałością, to jeszcze otrzymuje od nich mnóstwo zaproszeń, a to na jacht, a to do ich domów wakacyjnych, a nawet jedno na safari. Zawsze wiedzia-

łem, że mamy przyjaciół i na złą pogodę, ale obydwójce jesteśmy wzruszeni ogromnym poparciem ogółu społeczeństwa.

Pozostały trzy jednostki.

Powiadami Mary, że napisałem już ponad czterdzieści tysięcy słów dziennika, ale nie jestem pewien, jak go przyjmą moi stali czytelnicy. Na to Mary, że nie może się doczekać, kiedy będzie mogła przeczytać pierwszy szkic, i wtedy szczerze mi powie, jaka jest jej opinia.

Nic więcej nie może zrobić.

Pozostała jedna jednostka.

Zaczynamy się żegnać i Mary jeszcze mi przypomina, że w czwartek zobaczę ją i chłopców. Będę czekał z utęsknieniem.

- Czy wiesz, jak bardzo...

Wszystkie jednostki zostały wykorzystane. Słyszę trzask i telefon milknie.

Odchodząc, słyszę za plecami okrzyk: „Wracać do cel!” Nieza-wodny jak Big Ben, choć nie tak melodyjny. Musi być piąta.

5.05 po południu

Kolacja. Schodzę na dół do kuchenki, zgłaszam się do Paula, który stawia ptaszek przy moim nazwisku - więźniowie pracują siedem dni 193

w tygodniu, bez dni wolnych i świąt - i zabieram termos z gorącą wo-dą i lody czekoladowe. Po powrocie do celi przyrządzam Coup a Soup (grzybowa, 22 pensy), zjadam następną batonik Mars (31 pensów) i rozkoszuję się lodami czekoladowymi (przydział więzienny).

7.00 wieczorem

Myję swój plastikowy talerz w zlewie, kiedy rozlega się pukanie. Oddzia-łowy otwiera drzwi celi i moim oczom ukazuje się potężna postać Fletcha.

Całkiem zapomniałem, że miał przyjść do mnie, żeby mi coś przeczytać.

Uśmiecham się.

- Witam, witam - mówię niczym pajak do muchy.

Widzę, że ściska w rękę zielony zeszytek, trochę podobny do tych, w jakich pisaliśmy wypracowania szkolne. Rozmawiamy krótko o tym, do jakiego więzienia zostaną prawdopodobnie wysłani, Fletch dzieli się ze mną swoją opinią na temat zastępcy naczelnika, Leadera, po czym przystępuje do rzeczy.

- Czy chciałbyś, żebym ci coś przeczytał? - pyta.

- Oczywiście - odpowiadam, ciekaw, co to będzie: jakiś szkic, wiersz czy może pierwszy rozdział powieści.

Siadam na łóżku, a Fletch na plastikowym krześle (więźniom pozwala się na jedno krzesło w celi). Kładzie mały zeszytek w linię na moim stole, otwiera na pierwszej stronie i zaczyna czytać.

Choćbym miał dar opisu Greene'a i talent narracyjny Heming-way'a i tak nie potrafiłbym oddać uczuć, jakie mną targają podczas następných dwudziestu minut: odraza, gniew, współczucie, niedowierzanie i w końcu bezradność. Fletch odwraca kolejną stroniczkę, oczy ma pełne łez, kiedy wskrzesza demony swej przeszłości. Gdy dociera do ostatniej strony, ten olbrzym jest rozdygotanym wrakiem, a we mnie aż się gotuje od gniewu. Fletch zamyka zielony zeszytek, po czym obaj milczymy dłuższą chwilę.

Kiedy już mogę mówić, dziękuję mu za zaufanie, jakie mi okazał, dzieląc się ze mną tak okrutną tajemnicą.

- Nikomu w Belmarsh nie pozwoliłem tego czytać - mówi, stuka jąc palcami w zeszytek. - Ale może teraz zrozumiesz, dlaczego nie będę składał apelacji od wyroku. Nie chcę, żeby cały świat dowiedział się o moich przeżyciach - szepcze. - Zabiorę tę tajemnicę do grobu.

Kiwam głową ze zrozumieniem i obiecujęłyskrecję.

10.00 wieczorem

Nie mogę spać. To, co Fletch czytał, nie może być zmyślone. Jest tak potworne, że musi być prawdziwe. Zasypiam na kilka minut i znów się budzę. Fletch usiłuje zapomnieć o przeszłości, poświęcając czas i energię na pełnienie obowiązków Powiernika, pomagając innym, dzieląc celę z zastraszanym więźniem, narkomanem albo może kimś, kto był

ofiara molestowania seksualnego.

Zapadam w sen. Budzę się. Za okienkiem mojej celi jest smolista ciemność, a ja czuję, że Fletch mógłby być jeszcze bardziej użyteczny bliźnim, gdyby jego historia była szerzej znana i prawda wyszła na jaw. Wtedy takim naiwnym jak ja, którzy wiedli życie pod kloszem, bielmo spadłoby z oczu.

Postanawiam, że jak tylko wypuszczą mnie z celi, powiem mu, że zmieniłem zdanie. Zasugeruję mu, że zrobi o wiele więcej dobrego, ujawniając, co mu się przydarzyło, niż zachowując milczenie. Budziłem się w nocy pięć albo sześć razy, wciąż wracając myślami do Fletcha. Ale szczególnie jedna jego uwaga nie daje mi spokoju: Pięć-

dziesiąt procent więźniów w Belmarsh może ci opowiedzieć podobną historię. Jeffrey, mój przypadek nie jest wyjątkowy.

Decyduję, że użyję całej siły przekonywania, żeby go nakłonić do zgody na opublikowanie wszystkiego, bez przemilczeń, co zawiera zielony zeszytek.

Dzień dziewiętnasty

Poniedziałek, 6 sierpnia 2001

5.17 rano

Mam za sobą bezsenność noc. Wczesnie wstaję i piszę przez dwie godziny. Skończywszy, krążę po celi, i myślę, że gdybym dostał do rąk zielony zeszytek Fletcha, mógłbym głębiej zastanowić się nad jego treścią.

8.00 rano

Wiem, że zjadłem miskę Corn Pops z zestawu Yariety, bo widzę puste pudełko w koszu od śmieci, ale nie pamiętam kiedy. Dalej krążę po celi.

9.00 rano

Oddziałowy otwiera drzwi celi. Zbiegam na parter, gdzie się dowiaduję, że Fletcha zawsze wypuszczają o ósmej, aby mógł pójść do warsztatów i przygotować wszystko przed przybyciem innych więźniów. Ponieważ ma długoletni wyrok, traktuje to jak prawdziwą pracę. Jest majstrem i zarabia do czterdziestu funtów miesięcznie. Mógłbym tam pójść, ale trudno byłoby swobodnie rozmawiać z Fletchem przy siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu więźniach, kręcących się wokół. To-ny mówi, że Fletch przyjdzie na obiad o dwunastej i będzie miał godzinę przerwy do pierwszej. Muszę czekać.

Wracam do celi, gdzie znajduję list wsunięty pod drzwi. Od Billy'ego Little'a (morderstwo). Przeprasza za swoje bezceremonialne zachowanie podczas Godziny Wspólnej poprzedniego wieczoru. Sierpień zawsze jest dla niego pechowy, tłumaczy, i nie jest wtedy dobrym towarzyszem z kilku powodów:

*

196

Widziałem ostatnio mojego syna w sierpniu 1998 roku, moja ukochana babcia umarła w sierpniu, potworny mord, jaki popełniłem, miał miejsce 22 sierpnia 1998 roku. Możesz sobie wyobrazić, jaką mam skołatana głowę.

Nawet nie próbuję sobie tego wyobrazić, co przyznaję, odpowiadając na jego list. Dalej Billy pisze:

W tym okresie spędzam dużo czasu sam ze sobą. Ci, którzy mnie nie znają, mogą odnieść wrażenie, że jestem nieokrzesany i nieprzystępny.

Za co przepraszam.

Jutro o tej porze będziesz się plawił w słońcu nad basenem, a przynajmniej tak się poczujesz w Springhill w porównaniu z Piekelnymi Błotami. W

pewnym sensie masz szczęście, że spędziłeś tutaj tylko krótki czas, czas, w którym w bezruchu więzienny tchnąłeś życie. W ciągu ostatnich trzech tygodni odczułeś niechęć innych więźniów, którzy wierzą mocno, że równość powinna być praktykowana nawet w więzieniach. Niewątpliwie pamiętasz słowa z opery „The Gondoliers” Gilberta i Sullimna: kiedy każdy jest kimś, to nikt nie jest byle kim. Próbuję powiedzieć, że Twoja pozycja, życzliwość i gotowość pomocy i radzenia innym nie przeszła niezauważona przez tych, którym jest przeznaczone spędzić o wiele więcej czasu za murami. Za to i za Twoją zachętę, abym poważnie pomyślał o pisaniu, dziękuję Ci. Chciałbym skorzystać z twojej propozycji utrzymania kontaktu, a szczególnie ocenienia mojej pierwszej powieści.

*Będę tu mieszkańcem jeszcze przez miesiąc, albo dwa, albo trzy, a potem mnie przeniosą do głównego ośrodka dla dożywotnich pierwszego stopnia**

(Billy jest w Belmarsh dwa lata i siedem miesięcy). *Podam Ci swój adres, jak tam osiądę. Mój numer jest na końcu tego listu. Jesteś Primus inter pares.*

Twój Billy (BX7974) Siadam przy stole i od razu odpisuję.

* Więzienie (albo część więzienia), gdzie umieszcza się więźniów rozpoczynających odsiadki w początkowej fazie kary dożywocia. Są to ciężkie więzienia o zastrzonym rygorze. Po odsiedzeniu przez więźnia kilku lat zasądzonej kary (i pod warunkiem, że dobrze się zachowywał), może on zostać przeniesiony do więzienia o lżejszym rygorze (przyp. tłum.).

197

12.00 w południe

Fletch wraca z warsztatów i zastaje mnie pod drzwiami swojej celi.

Wchodzi do środka i mnie zaprasza*. Pytam, czy mógłby mi wypożyczyć zielony zeszyt, bo chciałbym się dokładniej zapoznać z relacją, którą mi czytał wczoraj wieczorem. Waha się chwilę, po czym kieruje się do półki nad łóżkiem, przeszukuje ją i wyciąga zielony zeszyt.

Podaje mi go bez słowa.

Chwytam jabłko na lunch i wracam do celi. Czytanie historii Fletcha jest nie mniej bolesne niż jej słuchanie. Czytam ją trzy razy, a potem znowu krążę po celi. Jakoś będę musiał go nakłonić, żeby się zgodził zamieścić ją w tym dzienniku.

3.37 po południu

Drzwi celi otwiera Bentley i zawiadamia, że chce mnie widzieć zastępcę naczelnika. Kiedy wędruję pod eskortą do biura Leadera, zastanawiam się, jaką złą wiadomość ma dziś dla mnie w zanadrzu. Czy zostanę wysłany do Parkhurst, czy do Brixton, a może zdecydowali się na Dartmoor? Już od samych drzwi wita mnie miły uśmiech Leadera.

Jego zachowanie i stosunek do mnie całkiem się zmieniły. Jest serdeczny i przyjacielski, co napawa mnie nadzieją, że będzie zwiastunem lepszych wieści.

Jak mówi, właśnie dostał wiadomość z ministerstwa spraw wewnętrznych, że nie przeniosą mnie do Camphill na wyspie Wight ani do Elmer w Kencie, lecz do więzienia w Wayland. Marszczę brwi. Nigdy nie słyszałem o Wayland.

- To w Norfolk - objaśnia. - Kategoria C, duża swoboda. Rozmawiałem już z naczelnikiem - dodaje - i tylko jeszcze jedna osoba z personelu wie, dokąd pan się uda.

Traktuję to jako wskazówkę, że nie należy mówić nikomu na oddziale o miejscu mojego przeznaczenia, jeżeli nie chcę odbywać po-dróży w towarzystwie dziennikarzy ze wszystkich gazet. Potakuję skinieniem głowy i pojmuję, dlaczego podjął tak niezwykły krok i spotkał się ze mną sam na sam. Już chcę zadać mu pytanie, kiedy słyszę odpowiedź:

* Nigdy się nie wchodzi do czyjejs celi bez zaproszenia.

198

- Zamierzamy przenieść pana w czwartek.

Jeszcze tylko trzy dni w Piekielnych Błotach, to moja pierwsza myśl. Zadaję kilka pytań, dziękuję i wracam do celi bez eskorty. Przez całą następną godzinę zastanawiam się nad każdym słowem Leadera.

Przypominam sobie, że gdy go spytałem, co by wybrał, Wayland czy wyspę Wight, odpowiedział bez wahania, że Wayland.

W więzieniu należy co dzień podejmować walkę, żeby ostatecznie wygrać wojnę. Pierwszym krokiem było dla mnie wyrwanie się z oddziału medycznego i przejście do bloku trzeciego. Drugim - wydostanie się z bloku trzeciego (Bejrutu) i przeniesienie do bloku pierwszego, gdzie przebywa się wśród bardziej dojrzałych więźniów. Następnym będzie przeprowadzka z Belmarsh do więzienia kategorii C. Potem będę naciskał, żeby przywrócono mi status więźnia kategorii D i jak najszybciej pozwolono zamienić Wayland na więzienie otwarte. Ale to jutrzejsza walka.

Kilku więźniów wypisało na ścianie: „Przyjmij każdy dzień, jaki jest”.

4.00 po południu

Próbuję pisać, ale tyle się dziś wydarzyło, że trudno mi się skupić. Zjadam tabliczkę czekolady Cadbury z rodzynkami i orzechami (32 pensy) i wypijam kubek Evian (49 pensów) z dodatkiem soku z czarnej porzeczki Robinson's (97 pensów).

6.00 wieczorem

Kolacja. Łapię Fletcha w kolejce do kuchenki, zgadza się przyjść do mnie o siódmej.

- Miah (morderstwo) będzie mnie strzygł o siódmej - mówię mu -

więc może umówmy się na piętnaście po siódmej. Nie mogę odwołać spotkania z fryzjerem, bo ciągle mam nadzieję, że w czwartek odwie dzi mnie żona.

7.00 wieczorem

Godzina Wspólna. Siedzę cierpliwie na krześle na podeście drugiego piętra i czekam, kiedy przyjdzie Miah. Nie pojawia się o umówionym czasie, więc wracam do celi i czekam na Fletcha. Przychodzi punktualnie i przysiadła na łóżku. Nie bawi się w żaden wstęp.

199

- Jak chcesz, możesz zamieścić ten mój kawałek w swojej książce - mówi. - I miejmy nadzieję, że będzie z tego jakiś pożytek.

Wyjaśniam mu, że jeżeli jakaś gazeta krajowa opublikuje mój dziennik w odcinkach, to jego słowa przeczytają miliony ludzi i politycy będą musieli w końcu przestać udawać, że to się nie zdarza, albo po prostu zostaną uznani za współwinnych.

Czytamy tekst linijka po linijce, uzupełniając takie szczegóły, jak nazwiska, daty i miejsca, żeby przygodny czytelnik mógł się zorientować w kolejności wydarzeń. Tony (tylko marihuana) dołącza do nas kilka minut później. Okazuje się, że jest jedyną poza mną osobą, która czytała relację Fletcha, i staje się jasne, że to za jego radą Fletch zdecydował się nie tylko opisać swoje przeżycia, ale także udostępnić je szerszej publiczności.

Ktoś puka do drzwi. To Miah (morderstwo). Przeprasza, że nie przyszedł, jak się umawialiśmy, ale dopiero co skończył dyżur w kuchence. Wyjaśnia, że nie znajdzie dla mnie czasu jutro, bo ma mnóstwo zajęć, ale może mnie ostrzec podczas Godziny Wspólnej we środę. Grożę mu, że jeśli mnie zawiedzie w środę, to go zabiję, bo w czwartek ma mnie odwiedzić żona i muszę jak najlepiej wyglądać.

Miah się śmieje, kłania się i wychodzi. Zabiję go. Powiedziałem to bezmyślnie do człowieka skazanego za morderstwo. Miah jest nieduży i drobny, mężczyzna, którego zamordował, miał posturę boksera wagi ciężkiej. W dziwnym świecie żyję.

Fletch, Tony i ja kontynuujemy pracę nad tekstem, a gdy kończymy, Fletch wstaje i podaje mi rękę na znak, że umowa zawarta.

8.00 wieczorem

Przez następne dwie godziny przepisuję słowa Fletcha, uzupełniając tekst tylko w wypadku, jeżeli podał mi konkretne szczegóły, tło albo nazwiska. Kiedy zapisuję ostatnie zdanie, przepełnia mnie jeszcze większy gniew niż wczorajszego wieczoru, gdy Fletch czytał mi swoje wyznanie.

10.00 wieczorem

Leżę, nie śpiąc, na wąskim, twardym więziennym materacu, z głową wspartą na jeszcze cieńszej, twardszej więziennej poduszce i myślę o tym, jak przyzwoici, normalni ludzie zareagują na opowieść Fletcha. Bo każdy z nas może powiedzieć: dzięki CHBoże, że to nie ja.

200

Oto słowa więźnia zwanego Fletchem (morderstwo, wyrok doży wocia, minimalny wymiar kary dwadzieścia dwa lata).

Nazywam się ...*. Mam trzydzieści osiem lat i odsiaduję karę dożywot-niego więzienia za morderstwo, którego nie popełniłem, czego żałuję.

Całe moje życie było od początku spieprzone. Urodziłem się w Mor-riston w Walii i chociaż kochałem moją rodzinę, to tylko z sześcioma osobami w życiu łączyły mnie prawdziwe więzi, to znaczy prawdziwe w moim pojęciu. Takie więzi, że człowiekowi chce się wracać do do-mu i żal mu wychodzić rano do pracy.

Poznałem moją żonę, kiedy miałem osiemnaście lat, i jeszcze dziś go-tów byłbym dla niej umrzeć. Byliśmy razem dwadzieścia lat, choć każ-

de z nas miało w tym czasie kochanków. Z tych sześciu związków, jakie miałem w życiu, dwa były z mężczyznami, i tu zaczynają się kom-plikacje. Ponieważ w dzieciństwie przez lata wykorzystywano mnie seksualnie, nigdy naprawdę seks, czy to z mężczyzną, czy z kobietą, nie sprawiał mi przyjemności.

Nawet dziś nie znoszę kontaktu seksualnego i przyznaję, że to był po-wód rozpadu moich związków. Zawsze dobrze się spisywałem seksualnie, ale nic ponadto i, prawdę mówiąc, był to obowiązek, niedający mi żadnej satysfakcji.

Nie mogłem się zdobyć, żeby wyznać mojej żonie prawdę o swojej przeszłości, mimo razem przeżytych dwudziestu lat. Łatwo powiedzieć, że byłeś molestowany, i zrzucić winę na kogoś innego. Łatwo mówić, że nie można było nic na to poradzić, i praktycznie niemożli-we, aby tego dowieść.

To prawda, że nie miałem pojęcia, że to, czego doświadczam, nie jest normą. Czyż nie każde dziecko przez to przechodzi? Moje dzieciństwo skoń-

czyło się w wieku dziewięciu lat, kiedy wysłano mnie do domu dziecka.

Z dnia na dzień stałem się zabawką w rękach tych, którzy byli powo-

łani, żeby się mną opiekować, tych, którzy sprawowali władzę. Załatwili nawet nakaz sądowy, żeby nie można było mnie przenieść gdzie indziej i żeby móc nadal mnie wykorzystywać. W latach siedemdziesiątych kara cielesna była powszechnie stosowana w domach dziecka. Dla części personelu to był po prostu sposób na spra-

* Przedłożyłem wydawcy pełny oryginalny tekst Fletcha: nazwiska i nazwy mie scowości zostały z konieczności opuszczone w ostatecznej wersji.

201

wianie sobie frajdy. Najpierw bili małych chłopców trzcina, aż ci krzyczeli z bólu, a potem ich pieprzyli do utraty przytomności. Dziewięciu męż-

czyn, którzy jako dzieci przebywali w tym domu, może to potwierdzić; dwóch ma żony i dzieci, dwóch jest gejami, pięciu siedzi w więzieniu.

Dwóch z tych pięciu odsiaduje dożywotni wyrok za morderstwo. Po jakimś czasie wykorzystywanie seksualne staje się forną miłości i czułości, bo jeśli nie chciałeś, żeby cię bito trzcina albo pasem, pod-dajesz się i prędko godzisz się, żeby cię gwałcono. Jako dwunastolet-ni

chłopak wiedziałem więcej o perwersji i przemocy, niż ktokolwiek z was czytał albo oglądał w kinie, a co dopiero doświadczył. Zanim skończyłem dwanaście lat, byłem wykorzystywany seksualnie przez personel mojego domu dziecka w..., lokalnych pracowników opieki społecznej, opiekunów i kuratora sądowego. Wszystkie te profesje przyciągają pedofilów i chociaż stanowią oni mniejszość (20 procent), wiedzą o sobie i nawiązują kontakty oraz, co najbardziej przerażające, wzajemnie się ochraniają.

Znałem dzieciaka, który w wieku czternastu lat był na tyle wygadany, że poskarżył się zwierzchnikom, do czego go przymuszano, więc po prostu przenosili go z miejsca na miejsce, żeby uniemożliwić dochodzenie, a tymczasem inni pedofile wciąż go molestowali. Kiedy miałem trzynaście lat, uciekłem i skierowałem się do.... Kiedy dotarłem do... sypiałem pod gołym niebem w... . Tam pierwszy raz spotkałem mężczyznę nazwiskiem..., który ofiarował mi miejsce do spania. Wieczorem mnie upił, co nie jest trudne, gdy się ma do czynienia z trzynastolatkiem. Zgwałcił mnie, a potem zaczął mnie stręczyć innym pedofilom. Ilekroć czytacie w prasie brukowej o męskich prostytutkach, nie sądźcie, że chłopcy robią to z własnego wyboru albo że dostają za to pieniądze. Często bywają zamknięci i pilnowani jak in-ne prostytutki i mają mało albo nic do powiedzenia o swoim życiu.

W łapach. . pozostawałem przez pół roku. Sprowadzał do mieszkania sędziów, dyrektorów szkół, policjantów i innych szacownych obywateli, którzy są trzonem naszego społeczeństwa (mogę opowiedzieć o znamionach, zranieniach i cechach szczególnych prawie wszystkich tych mężczyzn).

Pewnego wieczoru na East Endzie, kiedy... stręczył mnie, wciąż trzy-nastolatka, klientowi, zostałem aresztowany przez policję, Z komisa-riatu zabrał mnie pracownik opieki społecznej, po czym oddał do do-mu dziecka w... . Dom był pod nadzorem sędziego pokoju... . Przez następne dwa tygodnie sędzia pieprzył mnie dzień i noc, a potem wy-202

dał nakaz sądowy, żeby mnie umieszczono z powrotem w (pierwszym domu dziecka), gdzie znów byłem bity i wykorzystywany seksualnie.

Po dwóch miesiącach zostałem przeniesiony do.. i umieszczony w szpi-talu dla dzieci upośledzonych emocjonalnie. I znowu personel mnie molestował, z tym że ci ludzie mieli o wiele bardziej skuteczną broń niż chłosta. Grozili, że zaaplikują mi wstrząsy elektryczne, jeśli będę się opierał. Znów uciekłem, wróciłem do... i od tamtej pory tam żyłem.

Miałem wtedy zaledwie czternaście lat i... szybko mnie odnalazł. Tym razem zainstalował mnie w mieszkaniu przyjaciela, gdzie dymało mnie siedmiu albo ośmiu facetów dziennie. Niektórzy okładali mnie pasem, inni zadawali mi ciosy pięściami; robili to przed, w trakcie albo po sto-sunku. Kiedy było po wszystkim, zostawali mi drobny prezent (pienią-

dze albo upominek) na poduszce. Nie na wiele się to przydawało, bo nigdy nie opuszczałem mieszkania, chyba że w towarzystwie.... Mając piętnaście lat, wachałem klej, regularnie się upijałem i uprawiałem seks z tabunami facetów. Ale to już nie raniło. Nic nie czułem, taka po prostu była moja codzienność.

Tak żyłem, jeżeli można to nazwać życiem, jeszcze przez cztery lata, w którym to czasie pozowałem do zdjęć w pismach pornograficznych i występowałem w pornograficznych filmach. Kiedy skończyłem osiemnaście lat, ci faceci nie mieli już ze mnie pożytku, więc wyrzucili mnie na ulicę i zostawili samemu sobie. To wtedy popełniłem pierwsze w życiu przestępstwo. Włamałem się do domu towarowego Lillywhites. Zostałem aresztowany i wysłany do poprawczaka na sześć miesięcy. Kiedy mnie wypuścili, dalej prowadziłem życie przestępcze, do niczego innego nie byłem przygotowany. Miałem już wtedy ponad sześć stóp wzrostu i ważyłem sto dziewięćdziesiąt funtów,

więc nie było mi trudno znaleźć pracę w ochronie, która często ma powiązania z przestępczością. W 1980 roku, w wieku osiemnastu lat, poznałem swoją przyszłą żonę, która nie miała pojęcia, gdzie naprawdę pracuję ani że przez dwanaście lat byłem obiektem seksualnym. W ciągu następnych pięciu lat urodziło się nam dwóch synów, a dwanaście lat później, w 1997 roku, postanowiliśmy się pobrać.

Zarabiałem już wtedy nieźle jako przestępca i wiodło mi się dobrze do chwili, kiedy zostałem aresztowany w 1997 roku za wyłudzenie świadczeń pieniężnych z ministerstwa spraw socjalnych. Przez kilka lat występowałem pod kilkoma nazwiskami z fałszywymi roszczeniami 203

i wyłudziłem dwa miliony osiemset tysięcy funtów, za co skazano mnie na trzy lata więzienia. Musieliśmy odłożyć ślub. Przebywając w więzieniu, zacząłem listownie i telefonicznie uświadamiać żonę, że od pewnego czasu prowadziłem życie przestępcze. Ale dopiero gdy mnie zwolniono, zdradziłem jej trochę szczegółów z mojego nieszczęsnego dzieciństwa. Zareagowała natychmiast, z wrogością i odrazą. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie poskarżyłem się władzom na tych mężczyzn. Jakim władzom miałem się poskarżyć? Powiedziałem jej, że kiedy się to zaczęło, miałem dziewięć lat. W końcu to przedstawiciele władz mnie molestowali. A gdy skończyłem osiemnaście lat i nie mogli mieć już ze mnie żadnego pożytku, wyrzucili mnie na bruk. Nie mogła się z tym pogodzić. I tak znowu zostałem odepchnięty, ale tym razem przez kogoś, kto był dla mnie ważny, co tym bardziej bolało.

Nazwała mnie plugawym facetem, który pozwalał się gwałcić sprośnym staruchom, bo pragnął miłości i czułości. W żaden sposób nie mogłem jej wytłumaczyć, jak było naprawdę. Przez to, że byłem otwarty i szczery, straciłem jedyną osobę, którą naprawdę kocham.

Ci złoczyńcy zrujnowali mi życie, a teraz pozbawili mnie żony i dwojga dzieci.

Chciałem tylko jednego: zabić tych pięciu diabłów, sprawców wszystkiego, a potem umrzeć w rękach policji.

Pięciu pedofilów zniszczyło moje życie, więc postanowiłem, że teraz pomogę im rozstać się z ich własnym. Szybko się dowiedziałem, że dwóch nie żyje, więc zostało mi tylko trzech. Oto ich nazwiska:...,... i....

Dokładnie zaplanowałem, jak ich zabiję, a potem oddam się w ręce policji i umrę.

Pojechałem do..., porwałem... i przywiozłem do..., zostawiając go w rękach trzech moich przyjaciół, którzy zgodzili się go pilnować w czasie, kiedy pojedę na wybrzeże po.... Potem miałem wybrać się do... porwać... i przywieźć ich obu do....

Wróciłem do... o wpół do drugiej po południu i sąsiad... powiedział mi, że rozminąłem się z nim o parę minut. Zatelefonowałem do... i uprzedziłem przyjaciół, że wrócę późno, bo nie mogę ryzykować i porwać faceta w biały dzień. Wtedy oni przekazali mi nowinę. Że już zabili...

Zalała mnie krew. Nigdy nie ulegałem emocjom, ale w drodze powrotnej do Londynu płakałem, bo chciałem sam zabić.... Pragnąłem raz na zawsze uwolnić się od tych drani, a oto co mi zostało: trup i trzech wystraszonych współsprawców.

204

Pognałem z powrotem do... Na miejscu usunąłem wszystkie odciski palców w moim mieszkaniu i powiedziałem kumplom, że z... i... policzę się sam. Wtedy do mieszkania wdarła się policja; dwudziestu czterech uzbrojonych policjantów przyduśiło nas trzech do podłogi, skuło kajdankami i aresztowało mnie.

Potem się dowiedziałem, że... zatelefonował na policję i powiedział, że boi się o swoje życie. Opowiedziałem wszystko ze szczegółami mojemu adwokatowi, a on orzekł, że skoro byłem w Hastings, kiedy zginął

... nie zostanę oskarżony o morderstwo, lecz prawdopodobnie o współudział w jego przygotowaniu. Oskarżono mnie o morderstwo i ustalono minimalny wymiar kary na dwadzieścia dwa lata. Tak, odsiaduję wyrok dwudziestu dwóch lat więzienia za zbrodnię, której nie popełniłem. Żałuję, że tego nie zrobiłem i żałuję, że nie zabiłem jednocześnie... i....

Teraz jestem Powiernikiem w Belmarsh i pierwszy raz w życiu czuję się użyteczny. Wiem, że ocaliłem jedno życie i że pomogłem wielu ludziom.

Moje demony wciąż mnie prześladują, jasne, że tak, ale jakoś udaje mi się trzymać je na uwieczni. Nie doczekam końca dwudziestodwuletniego wyroku, lecz sam wybiorę czas i sposób, w jaki umrę*. Tylko wstyd wstrzymuje mnie przed kontaktowaniem się z kimkolwiek, kogo znam. Uczucie bezwartościowości; ot, plugawy, mały chłopiec na sprzedaż, który pozwalał starszym mężczyznom wykorzystywać się, bić i pieprzyć, bo chciał być kochany i już nie dbał o to, co mu wyrządzają. Jakże się mogę spodziewać, że moja żona, moje dzieci czy moja rodzina kiedykolwiek mnie zrozumieją? Mam nadzieję, że być może ta moja opowieść ocali kogoś przed koszmarem, jaki przeżyłem, że nie będą go nawiedzać te same demony i że, co byłoby najgorsze, nie skończy w więzieniu oskarżony o morderstwo.

11.23 w nocy

Kładę się do łóżka, zadając sobie pytanie, czy człowiek zwany Fletchem musi spędzić resztę życia w więzieniu? Jeżeli odpowiedź jest twierdząca, to czy przypadkiem nie ponosimy odpowiedzialności wobec przyszłego pokolenia, czy nie powinniśmy zadbać, żeby życie innych dzieci nie kończyło się w wieku dziewięciu lat?

* Fletch usiłował popełnić samobójstwo 7 stycznia 2002 roku.

205

Dzień dwudziesty

Wtorek, 7 sierpnia 2001

6.16 rano

Tej nocy lepiej spałem. Może pomogła zgoda Fletcha na spisanie je-go historii. Piszę dwie godziny.

8.00 rano

Śniadanie. Słodkie płatki kukurydziane i resztkę mleka o przedłużonej trwałości z drugiego kartonu. Nie starczyło, żeby zamoczyć płatki. Dostawa z kantyny będzie dzisiaj, a ponieważ opuszczam Belmarsh w czwartek, będę mógł zwrócić wszystkie długi: „Del Boyowi”

(woda i herbatniki), Tony’emu (batonik Mars) i Colinowi (dwanaście znaczków pierwszej klasy).

10.00 rano

Godzina Wspólna. Spaceruję wokół sali i widzę, że jeden z więźniów, Joseph (morderstwo), gra w bilard. Jest zdecydowanie najlepszym gra-czem w naszym skrzydle i od czasu do czasu wbija wszystkie bile. Dziś rano nie wychodzą mu najprostsze uderzenia, z jakimi nawet ja bym sobie poradził. Opieram się o ścianę i przypatruję się mu. Ma nieobecny minę, tak częstą u więźniów odsiadujących dożywocie.

Kiedy partia jest skończona i kije bilardowe zostają przekazane kolejnym graczom, rzucam uwagę na temat poziomu gry Josepha.

Zdaje się, że użyłem przymiotnika „nędzny”.

- Jeff, ja mam głowę zajętą czym innym - mówi, ciągle z nieobecny miną.

- Czy mógłbym w czymś pomóc? - pytam.

- Nie, dziękuję, to sprawa rodzinna.

206

11.00 rano

Widzę na tablicy wypisane swoje nazwisko i zapowiedź, że odwiedzi mnie mój adwokat, Tony Morton-Hooper.

Na przestrzeni wielu lat zauważyłem, że znajomości zawodowe dzielą się na dwa rodzaje. Te, które pozostają zawodowe, i te, które przekształcają się w przyjaźń. Tony zdecydowanie należy do tego drugiego. Obaj darzymy miłością lekkoatletykę - Tony reprezentował

wiele gwiazd bieżni - i mimo znacznej różnicy lat czujemy się ze sobą swobodnie.

Spotykamy się w jednym z niewielkich pomieszczeń: ja wchodzę z jednej strony i zostaję zamknięty, a po chwili przez drzwi z drugiej strony wchodzi on i też go zamykają. Pierwsze, co mi się rzuca w oczy, to gruba żółta opaska z gumy, jaką ma na przegubie; pozwoli mu odejść stąd po spotkaniu, ale przez godzinę też będzie zaplombowany.

Na początek Tony oznajmia, że w Wayland obowiązuje o wiele łagodniejszy reżim niż w Belmarsh i że to najlepsze możliwe miejsce na razie, dopóki nie zostanie mi przywrócony status więźnia kategorii D.

Pytam, co nowego w tej sprawie.

- Same dobre wiadomości - mówi Tony. - Środki przekazu uznały, że nie musisz odpowiadać na zarzuty, my natomiast przejrzelismy twoje dokumenty, z których wynika, że sprawa została podniesiona w parlamencie w 1991 roku, kiedy Lynda Chalker była ministrem ds.

pomocy krajom rozwijającym się i udzieliła wtedy zdecydowanej odpowiedzi. Napisała też do ciebie długi list na ten temat. - Tony kładzie na stół list i odpowiedź Lyndy Chalker.

- Czy Emma Nicholson była wówczas członkiem parlamentu? -

pytam.

- Niewątpliwie - odpowiada Tony. - Co ważniejsze, ministerstwo spraw zagranicznych przeprowadziło szczegółowe dochodzenie, więc wysyłamy policji wszystkie stosowne dokumenty i podkreślamy, że drugie śledztwo byłoby nieodpowiedzialnym marnotrawstwem publicznych pieniędzy.

- Zatem mogę pozwać Nicholson o zniesławienie? - zapytuję.

- Jeszcze nie. Wczoraj rozmawiałem z policją i wprawdzie nie ujawnią listu, który do nich wysłała, ale wyraźnie dali do zrozumienia, że oskarżenia są tego rodzaju, iż nie mają wyjścia i będą musieli je rozpatrzyć.

207

- Czy gdybyśmy wystosowali pozew, musiałyby wtedy ujawnić list?

- Tak. Automatycznie stałby się częścią materiału dowodowego.

- Wobec tego mamy podstawy, żeby ją pozwać.

- Jeszcze nie - powtarza Tony. - Poczekajmy, aż policja zaniecha śledztwa, zanim podejmiemy dalsze działania. To może nastąpić pręd-ko, gdyż „Codzienny program” Radia 4 zwrócił się do Mary. Ich ze-spół reporterów też jest przekonany, że nie musisz dowodzić słuszności swojej sprawy, i chcą, żeby Mary wystąpiła w ich programie.

- Naturalnie, że chcą - mówię na to - ponieważ zależy im tylko na tym, żeby mówiła o mojej apelacji.

- Jeżeli nie będzie się wypowiadać o sprawie, póki apelacja jest w toku, jestem za tym, żeby się zgodziła na rozmowę.

- Mogłaby przytoczyć fragmenty listu Lyndy Chalker i jej odpowiedzi wygłoszonej w parlamencie - podsuwam.

- Czemu nie? - zgadza się Tony. - Ale działajmy powoli, małymi krokami.

- Nie jestem dobry w te klocki - przyznaję - Wolę działać szybko, skokami.

Teraz Tony wyciąga z teczki jakieś papiery i informuje mnie, że apelacja zostanie wniesiona jutro. Mam podpisać dokumenty niezbędne do złożenia apelacji od wyroku i od skazania.

Tony uważa, że gdyby nie „casus Archera”, mielibyśmy pięćdziesiąt procent szans na uchylenie wyroku.

- Ale jednak gdyby nie chodziło o ciebie, apelacja zostałaby bez wahania odrzucona. Nie byłoby nawet rozprawy sądowej. - Tony da je mi nawet więcej szans na obniżenie kary. Wypowiedź sędziego Potts'a, że mój przypadek jest najjaskrawszym przykładem krzywoprzy sięstwa w całej jego praktyce zawodowej, została przyjęta przez przed stawicieli palestry ze zdumieniem*.

Przechodzimy do tematu dziennika. Napisałem już pięćdziesiąt ty-sięcy słów i uprzedzam Tony'ego, że moi stali czytelnicy będą zasko-kowani. Pyta, w jaki sposób przekazuję rękopis Alison, skoro siedzę w najsilniej strzeżonym więzieniu w Europie. Przypominam mu, że wciąż dostaję dwieście do trzystu listów dziennie i cenzorzy pozwalają mi je odebrać i następnego dnia odesłać do mojego biura, więc do-datkowe, zapisane ręcznym pismem dziesięć stron nie robi im różnicy.

* Po rozprawie dr Susan Edwards, prodziekan wydziału prawa Uniwersytetu Buc-kingham, przebadła wszystkie sprawy o krzywoprzysięstwo w ostatnich dziesię-ciu latach.

208

- Aha - mówię - proszę, powiedz Jamesowi, żeby następnym razem, jak mnie odwiedzi, założył jakiś tani zegarek, to zamienię na niego mój longines'a.

Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że znajdę się w więzieniu, i w dniu ogłoszenia wyroku miałem na ręku mój ulubiony zegarek.

Byłoby mi przykro, gdyby mi zginął po dwudziestu latach noszenia.

James od dłuższego czasu ma na niego chrapkę i nawet mnie poprosił, żebym mu go zapisał w testamencie (wyrachowany smarkacz).

„Will może mieć cały majątek, bylebym dostał ten zegarek” - powiedział mi. Longines przestał już wytwarzać modele o tak wąskim kształcie. Jednak William się zgadza, bo uważa, że to dla niego dobry interes.

- Myślę, że z zamianą zegarków lepiej poczekać, aż opuścisz Belmarsh

-r radzi Tony. -l w pierw się upewnij, czy przepisy są mniej rygorystyczne.

Kończymy omawiać problemy prawne, a ponieważ Tony nie może stąd umknąć przed upływem godziny, poruszamy temat lekkoatletycz-nych mistrzostw świata wEdmonton, które zamierzałem obejrzeć podczas letnich wakacji z Michael'em Beloffem*. Tony przekazuje mi fanta-styczną nowinę, że Jonathan Edwards zdobył złoty medal w trójskoku.

- Wygrał z łatwością - dodaje - uzyskując prawie osiemnaście me trów. Od czasu, kiedy zdobył złoto w Sydney, ma tak dobre samopo czucie, że wątpię, żeby ktoś z nim wygrał przed następną olimpiadą w Atenach w dwutysięcznym czwartym roku, a nawet sędzia Potts nie zdoła ci przeszkodzić w jej obejrzeniu.

Kiedy pojawia się funkcjonariusz więzienny, by otworzyć To-ny'emu drzwi, jeszcze raz przypominam, że przede wszystkim na-leży wyjaśnić sprawę kurdyjską, abym jak najszybciej odzyskał

status więźnia kategorii D. Dodaję też, że nie ma potrzeby, by prawnicy jeździli do Norfolku,

powiększając znacznie koszty. Mogą przekazywać wiadomości za pośrednictwem Mary, która bystrością nie ustępuje żadnemu z nich. Tony się uśmiecha, potakuje i ściska mi dłoń. Ma ręce jak bokser wagi ciężkiej i myślę, że dobrze by sobie radził w więzieniu. Wypuszczają go, ale ja nie

* Radca królewski Michael Beloff jako sędzia olimpijski ma prawo zaprosić jednego gościa na mistrzostwa świata. Jego żona Judith nigdy nie wykazywała zainteresowania widokiem półnagich mężczyzn na bieżni, toteż od trzydziestu lat sta-nowimy z Michaeliem nierozłączną parę na takich zawodach. Na stadionach lek-koatletycznych zwą nas Jack Lemmon i Walter Matthau.

209

mam na ręku żółtej opaski, więc opadam na krzesło po drugiej stronie stołu i czekam.

12.00 w południe

W kolejce po lunch - to zawsze dobra sposobność do zapoznania się z plotkami - Fletch mówi mi o zmartwieniu Josepha. Teraz rozumiem, dlaczego dziś rano nie mógł wbić ani jednej bili do łuzu. Kiedy docieram do kuchenki, Tony mi poleca „spaghetti po wegetariańsku”, udające „spaghetti bolognese”.

- *Au gratin?* - pytam.

- Oczywiście, milordzie. Liamie, podaj parmezan Jego Lordowskiej Mości.

Mały plastikowy woreczek z tartym serem zostaje wyczarowany spod lady, otwarty na oczach dyżurnego funkcjonariusza i opróżniony nad moim spaghetti. Więźniowie reagują oklaskami, funkcjonariusze wybuchają śmiechem. W życiu dożywotniaka to wydarzenie.

Wracam do celi i jem potrawę ze smakiem, ale przecież to mój dwudziesty dzień w więzieniu. Mogę zapiąć pasek o jedną dziurkę ciaśniej. Schudłem około siedmiu funtów.

2.00 po południu

Kiedy drzwi celi zostają otwarte ponownie, zbiegam na środkowe piętro, już przebrany w kostium gimnastyczny, i truchtam przy okratowanej furcie. Tym razem znajduję się na liście ośmiu wybrańców z naszego skrzydła. Po rewizji i dotarciu marszobiegiem do innej części budynku, w której jeszcze nie byłem, przybywamy do szatni, gdzie wszyscy dostajemy jasnoniebieskie koszulki i ciemnoniebieskie szorty.

To pewno na wypadek, gdyby któryś z więźniów studiował i w Oksfordzie, i w Cambridge.

Sala gimnastyczna dzieli się na dwie części. Większe pomieszczenie jest wielkości boiska do koszykówki; dwunastu więźniów gra tam w szóstki piłkarskie. W tej chwili rezyduje w Belmarsh były zawodnik klubów Arsenal i Brentford. Jest też salka z urządzeniami do podnoszenia ciężarów o powierzchni mniej więcej jednej trzeciej pierwszego pomieszczenia. Czterdziestu siedmiu spoconych, wytatuowanych młodych mężczyzn o naprzężonych mięśniach ćwiczy z ciężarkami i jak

stąd wyjdą, będą mieć jeszcze lepsze predyspozycje do zadawania ciężkich uszkodzeń ciała.

Salka jest tak zatłoczona, że nie można zrobić nawet paru kroków, nie wpadając na kogoś. Znajdują się tam dwie mechaniczne bieżnie, dwa przyrządy do treningu wioślarskiego i dwa mechaniczne chodniki, na które młodszy więźniowie nie zwracają większej uwagi. Zaczynam od sześciominutowej rozgrzewki na mechanicznej bieżni, poruszając się z prędkością pięciu mil na godzinę, i przy okazji obserwuję, co się dzieje na środku sali. Czterdziestu siedmiu młodych osiłków ćwiczy podnoszenie ciężarów, co nie jest widokiem mi-

łym dla oka, zwłaszcza że większość z nich chce sobie tylko podbić bębenka i zaimponować współwięźniom z bloku. Ciekaw jestem, ilu wpadło na to, że Fletch, Tony, Billy i „Del Boy” mają najwięcej do powiedzenia w całym skrzydle, chociaż żaden z nich nie umiałby nawet wskazać, gdzie

jest sala gimnastyczna.

Ukończywszy dystans dwu tysięcy metrów w ciągu dziewięciu minut na przyrządzie do treningu wioślarskiego, ćwiczę na przyrządzie do ćwiczeń siłowych z małym obciążeniem, a potem przez dziesięć minut biegnę na mechanicznej bieżni z prędkością ośmiu mil na godzinę. Zauważam, że wielu dożywotnich więźniów ma nieprawidłową postawę. Nie trzymają się prosto i przy podnoszeniu sztangi nie uruchamiają właściwej grupy mięśni. Dwaj funkcjonariusze więzienni, którzy nadzorują ćwiczących, mogą tylko baczyć na to, co się dzieje w obydwu salach. Byłoby o wiele sensowniej zorganizować trzy treningi gimnastyczne na dzień, z mniejszą liczbą ćwiczących, a wtedy trener mógłby odgrywać bardziej pożyteczną rolę i nie być tylko biernym obserwatorem. Podsuwam tę myśl jednemu z funkcjonariuszy, ale znów słyszę o „braku personelu”.

Po dziesięciu minutach na mechanicznej bieżni znowu ćwiczę z ciężarami, po czym przechodzę na chodnik. Kiedy rozlega się krzyk funkcjonariusza: „Ostatnich pięć minut!”, robię ćwiczenia rozciągające

ce i w ciągu godziny realizuję taki sam program, jak w podziemnej sali gimnastycznej mojego londyńskiego mieszkania. Jedyna różnica to ta, że tam nie miałbym na widoku żadnego mordercy.

Idę do szatni, zadowolony, że dobrze się spisałem, kiedy podchodzi do mnie Dennis (były zawodnik klubów Arsenal i Brentford) i chwali się, że strzelił sześć goli. Gratuluję mu i pytam, czy to prawda, że wyznaczono go na kapitana reprezentacji Belmarsh w dorocz-211

nym turnieju przeciw Holloway. Moje pytanie budzi o wiele więcej śmiechu i okrzyków radości, niż na to zasługuje, choć połowa więźniów natychmiast zgłasza się na bramkarza.

- Nie, dziękuję - odpowiada Dennis. - Mam dosyć kłopotów z kobietami.

- Ale przecież mi mówiłeś, że miałeś miłą wizytę w niedzielę, kiedy odwiedziła cię żona z dzieckiem?

- Jedna z moich żon - prostuje Dennis. - Z jednym z moich dzieci.

- To ile jeszcze ich masz? - pytam.

- Trzy żony i troje dzieci.

- Ale to bigamia - mówię. - A nawet trigamia, jeśli można tak to riazwać.

- Zlituj się, Jeff! Z żadną nie brałem ślubu. To nie te czasy, kiedy ojcowie chodzili ze strzelbami. Te kobiety to partnerki, a nie żony.

Tak jak prezes firmy, mam kilka udziałowczyń. Dzięki Bogu, że akurat siedzę w mamrze - dodaje - bo gdyby zwołano doroczne walne zgromadzenie akcjonariuszy, nie chciałbym się tłumaczyć, dlaczego w tym roku nie dostaną żadnej dywidendy.

Widać, że żaden z więźniów przysłuchujących się tej rozmowie nlie widzi w słowach Dennisa nic niezwykłego ani nawet naganego.

Jeden Bóg wie, jak będzie wyglądać za pięćdziesiąt lat Wielka Brytania, jeżeli każdy będzie miał trzy „żony”, ale z żadną z nich się nie ożeni.

Wracam do celi i widzę na łóżku prowianty zamówione w kantynie. Piję wodę kubek za kubkiem, pochłaniam dwa batony KitKat, po czym idę wziąć prysznic.

4.00 po południu

C rodzina Wspólna. Moim pierwszym zadaniem jest zwrócenie butelki wody (Highland Spring) „Del Boyowi”, potem muszę poszukać To-ny’ego, żeby mu dać batonik Mars, a następnie Colina (dwanaście ziaczków pierwszej klasy). Oddawszy długi - nikt nie żąda ode mnie

„iubeltu” - przysiadam się do więźniów otaczających telewizor. Oglą-

dają mistrzostwa świata w lekkoatletyce. Funkcjonariusz nazwiskiem Hughes podaje mi

dotychczasowe wyniki. Po pierwszym dniu dziesięcioboju Macey prowadzi jednym punktem i przygotowuje się do biegu na 110 metrów przez płotki, który jest pierwszą konkurencją 212

drugiego dnia. Mówię Hughesowi, że zamierzałem spędzić letnie wakacje właśnie w Edmonton.

- Widzę, że jest mnóstwo pustych miejsc na trybunach - Hughes na to - ale trudno mi uwierzyć, że ci wszyscy, którzy tam nie siedzą, siedzą w tej chwili w więzieniu.

W chwili gdy Macey ustawia się w blokach startowych, widzę w kącie sali Josepha - człowieka, który zwykle zajmuje miejsce na środku. Przerywam oglądanie mistrzostw i podchodzę do niego.

- Są jakieś wiadomości o synu? - pytam.

- Nie. - Wygląda na zdziwionego, że wiem o jego zmartwieniu. -

Telefonowałem do żony, która mówi, że chłopak jest aresztowany, a ona próbuje się porozumieć z konsulem brytyjskim. Zapudłowali go w lokalnym więzieniu. Jakie są więzienia na Cyprze?

- Nie mam pojęcia - odpowiadam. - Dopóki nie trafiłem do Belmarsh, nie wiedziałem, jak wyglądają więzienia angielskie. Ciesz się, że to nie Turcja. O co go oskarżają?

- O nic. Znaleźli go śpiącego w domu, w którym jacyś miejscowi palili marihuanę, ale grożą chłopakowi, że może dostać siedem lat więzienia.

- Jeżeli spał, to z pewnością nic mu nie grozi - pocieszam. - Ile on ma lat?

- Osiemnaście. Najgorsze jest to, że nic nie mogę zrobić, póki tu tkwię. Żona powiedziała, że jak tylko czegoś się dowie, zadzwoni do naczelnika.

- Życzę powodzenia - mówię i idę oglądać transmisję.

Hughes mi mówi, że szkoda, że nie widziałem Maceya. Przyszedł drugi w swojej serii, ustanawiając nowy rekord życiowy.

- Dla każdego lekkoatlety ustanowienie rekordu życiowego jest dużym osiągnięciem - mówi Roger Black, sprawozdawca BBC, i dodaje: - Zostańcie z nami, bo dzisiaj czeka nas w Edmonton dużo emocji.

- Wracać do cel! - krzyczy funkcjonariusz zza biurka na drugim końcu sali.

Grzecznie zwracam mu uwagę, iż Roger Black nalega, żebyśmy zostali.

- Black jest tam, a tutaj jestem ja - pada natychmiastowa odpowiedź. - Wracaj pan do celi, Archer.

6.00 wieczorem

Kolacja. Mam teraz dwie puszkę szynki Prince's (49 pensów) i zabieram jedną, żeby ją otworzyć, do kuchenki. Tony dodaje mi dwa starannie wybrane ziemniaki, więc kiedy to zjadam, popijając sokiem z czarnej porzeczki, mam prawdziwą ucztę.

Po kolacji zabieram się do pisania, gdy nagle otwierają się drzwi i wchodzi nieznany mi funkcjonariusz.

- Dobry wieczór - mówi. - Wiem, że wkrótce pana stąd zabiorą, więc chciałbym prosić, żeby pan podpisał tę książkę mojej żonie. W

księgarni mi powiedzieli, że to najnowsza rzecz pana autorstwa.

- Chętnie bym podpisał - odpowiadam - ale to nie moja książka.

Napisał ją Geoffrey Archer. Moje imię pisane jest przez „J”. Od wielu lat ludzie nas mylą.

- Wobec tego - mówi, lekko zdziwiony - pójdę i wymienię tę książkę. Wpadnę do pana jutro o tej samej porze.

Kończę dzisiejsze notatki i zabieram się do trzech listów, które przekazał mi od Alison Tony Morton-Hooper. Victoria Barnsley, prezeska mojego wydawnictwa HarperCollins, pisze, że nie może się doczekać, kiedy przeczyta „Na łasce bogów”, i dalej zawiadamia mnie, że Adrian Bourne, który miał nade mną pieczę, odkąd Eddie Bell, poprzedni prezes, odszedł z firmy, przechodzi na wcześniejszą emeryturę. Będzie mi ich obu brakowało, gdyż odegrali ważną rolę w mojej karierze pisarskiej.

Drugi list jest od mojego młodego archiwisty, Johanna Hariego, który pisze, że prawie skończył sprawdzanie realiów do książki „Na łasce bogów”*. Przy czym podkreśla, że bardziej mu się podoba pier-wotny tytuł „Zrządzeniem losu”.

Autorem ostatniego listu jest Stephan Shakespeare, który był

moim szefem personelu, kiedy z ramienia Partii Konserwatywnej kandydowałem na burmistrza Londynu. Jego lojalność, którą zachowuje od dnia mojej rezygnacji, przywodzi na myśl ten cudowny wiersz Kiplinga „The Thousandth Man”. Jedną z opinii, jaką Stephan z przekonaniem prezentuje, brzmi, że Iain Duncan Smith wyprzedzi o milę innych kandydatów w wyborach na stanowisko przywódcy konserwatystów.

Nie trzeba będzie długo czekać, żeby się przekonać, że ma rację.

* Ostatecznie tytuł powieści brzmi „Synowie fortuny”.

Dzień dwudziesty pierwszy

Środa, 8 sierpnia 2001

6.03 rano

To będzie mój ostatni pełny dzień w Belmarsh. Nie mogę o tym trąbić na lewo i na prawo, bo inaczej dziennikarze będą czekać pod więzieniem i potem pojedą za nami aż do Norfolk. Siadam przy stole i pi-szę przez dwie godziny.

8.07 rano

Śniadanie. Chrupki Shreddies, mleko UHT i jabłko. Zużywam pudełko Shreddies, ledwo wystarczające na dwie porcje.

9.00 rano

Stoję w stroju gimnastycznym, gotowy do ostatnich zajęć, kiedy funkcjonariuszka Williamson otwiera drzwi celi i pyta, czy mogę poprowadzić następną lekcję z kreatywnego pisania.

- A na kiedy jest zaplanowana? - pytam, nie chcąc zdradzić, że to mój ostatni dzień w Belmarsh i że udało mi się jakoś wcisnąć do gra-fiku zajęć gimnastycznych.

- Za mniej więcej pół godziny - odpowiada funkcjonariuszka, spoglądając na zegarek.

Klnę pod nosem, przebieram się w spodnie i bardziej odpowiednią trykotową koszulkę Tiger, którą Will mi zapakował w dniu, w którym zostałem skazany. Po drodze do klasy mijam Josepha, który stoi przy stole bilardowym.

Uderza we wszystko, co ma na widoku, i wygląda na zadowolonego z siebie.

- Są jakieś wieści o Justinie? - pytam.

215

- Deportowali go - odpowiada z uśmiechem. Patrzy na zegarek. -

Wylądował na Heathrow za jakąś godzinę. - Wbija czerwoną bilę do lu-zy. - Matka będzie na niego czekała, kazałem jej dobrze go wytargać za uszy. - Wbija żółtą. - Oczywiście, ona tego nie zrobi - dodaje, szczerząc zęby.

- To dobra wiadomość - mówię i kontynuuję moją wędrówkę bez eskorty do klasy.

Kiedy tam przybywam, zastaję nauczyciela nazwiskiem Anders, który na mnie czeka. Wygląda na trochę poirytowanego, więc z miejsca pytam, jak sobie wyobraża tę lekcję.

- Czy pan coś zaplanował? - odpowiada pytaniem.

- Nic szczególnego - informuję. - W tamtym tygodniu uzgodniliśmy,

że grupa przyniesie swoje prace do odczytania na zajęciach, a potem będziemy na ten temat dyskutować. Ale może pan wolałby coś innego?

- Nie, nie. To zapowiada się ciekawie.

W tym tygodniu jest obecnych dziewięciu więźniów i troje przedstawicieli personelu więziennego. Czterech uczestników pamiętało, żeby przynieść prace pisemne: Colin odczytuje napisaną przez siebie krytykę najnowszej książki Franka McCourta, Tony prezentuje nam pracę na temat reformy więziennej, mającą związek z programem jego studiów w Ruskin College w Oksfordzie. Terry czyta rozdział swej powie-

ści, a na koniec Billy zaznajamia nas z utworem, w którym opisuje swoją reakcję, kiedy usłyszał, że jest skazany na dożywocie, i z naj-skrystszyimi myślami, jakie go nurtowały podczas następnych godzin.

Wybieram pracę Billy'ego na koniec, gdyż, podobnie jak ostatnio, róż-

ni się klasą od innych wypracowań. Kończę lekcję krótką przemową na temat dyscypliny pisania, świadom, że jutro o tej porze nie będę już z nimi. Jestem przekonany, że co najmniej trzy osoby z grupy będą realizowały swoje plany, gdy odejdę, i że z czasem utwory Billy'ego do-czekają się publikacji. Pierwszy stanę w kolejce po autograf.

Po drodze do celi wpadam na Liama, który, kiedy ma dyżur w kuchence, zawsze próbuje mi wsunąć drugie opakowanie lodów.

- Chcę się pożegnać - mówi, wyciągając rękę.

Robię się czerwony; nie powiedziałem nikomu słowa po spotkaniu z Leaderem, więc skąd Liam wie?

- Kto ci powiedział? - pytam.

- Policja - odpowiada. - Zgodzili się wypuścić mnie za kaucją 216

i wychodzę dziś przed południem. Mój adwokat twierdzi, że prawdopodobnie odstąpią od wszystkich zarzutów.

- To bardzo się cieszę - mówię mu. - Ale jak długo byłeś w więzieniu?

- Trzy i pół miesiąca.

Przez trzy i pół miesiąca Liam siedział w Belmarsh, po czym się okazuje, że policja prawdopodobnie wycofa się ze wszystkich zarzutów. Życzę mu powodzenia i Liam idzie dalej, żeby następnemu sympatykowi uściśnąć dłoń. O co był oskarżony? O udaremnianie prawidłowego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Głównym dowodem była taśma z nagraniem rozmowy telefonicznej, ale sąd orzekł, iż to dowód niedopuszczalny.

Wracam do swojego skrzydła i telefonuję do Alison, powiadamiając ją, że dalsza część dziennika, obejmująca dziesięć kolejnych dni, jest w drodze. Alison mówi mi, że listy wciąż napływają i że prześle mi do Wayland te od bliskich przyjaciół. Uprzedzam ją, że kończy mi się papier do pisania, i proszę, żeby przysłała do Wayland tuzin bloków papieru i dwa pudełka cienkopisów. Ciekawe, że automatycznie wypo-wiadam słowo „tuzin”, mimo że od ponad trzydziestu lat mamy system dziesiętny. Czy za następnych trzydziści lat moje wnuki będą traktować euro jako rzecz normalną i trudno im będzie zrozumieć, czemu było wokół tego tyle zamieszania?

12.00 w południe

Lunch. Jajko i fasolka, moje ulubione więzienne potrawy, ale tym razem dostaję tylko jedno jajko, gdyż na miejscu Paula siedzi funkcjonariusz. Jednak Tony dorzuca mi na talerz trochę więcej fasolki.

2.00 po południu

Zabieram się do pisania, kiedy do mojej celi wkracza trzech funkcjonariuszy: Weedon w towarzystwie Abbotta i Cooka, którzy, co niepokojące, mają na rękach gumowe rękawiczki. Weedon tłumaczy, że to rewizja celi - w żargonie więziennym kipisz - i z oczywistych powodów przeprowadza się bez uprzedzenia.

- Czego szukacie? - pytam.

- Broni, noży, żyłek, narkotyków i tego wszystkiego, czego przepisy nie pozwalają trzymać w celi. Ja nadzoruję, a Cook i Abbott zda-217

ją egzamin państwowy, uprawniający do pełnienia zawodu i ta rewizja jest jednym z testów. Zaczynamy od rewizji osobistej - informuje z całą powagą.

Staję na środku maleńkiej celi i ściągam trykotową koszulkę. Podnoszę ręce wysoko, a potem, zgodnie z poleceniem, okręcam się, zataczając pełne koło. Abbott każe mi energicznie przeczesać włosy ręko-ma, co wykonuję - sprawdzanie, czy nie ukryłem tam narkotyków, co wyjaśniam na wypadek, gdybyście na to nie wpadli. Pozwalają mi z powrotem włożyć koszulkę. Teraz Cook żąda, żebym zdjął buty, skarpetki, spodnie i kalesonki, co po kolei zostaje starannie sprawdzane przez obydwo młodszych funkcjonariuszy w gumowych rękawiczkach. I znowu jestem proszony, żeby się obrócić w koło, a następnie unieść stopy dla skontrolowania, czy przypadkiem nie ukryłem tam narkotyków. Nie widać żadnych plastrów, więc mogę się ubrać.

- Teraz zaprowadzę pana do przejściówki, a pańska cela zostanie zrewidowana - oznajmia Weedon. - Ale najpierw muszę pana zapytać, czy jest tutaj coś, co jest własnością innego więźnia, na przykład broń palna, noże albo narkotyki.

- Tak, mam tu esej napisany przez Tony'ego Crofta i wiersz Billy'ego Little'a. - Przetrzęsam szufladę i podaję Weedonowi kartki z tymi utwo-rami. - Mam też książkę z biblioteki - mówię, hamując uśmiech.

Oni usiłują nie dać się wyprowadzić z równowagi, jednakże prze-rzucają kartki książki i potrząsają nią (tym razem chodzi o narkotyki i pieniądze).

- O, widzę, że dziś upływa termin zwrotu książki do biblioteki, to lepiej oddaj ją pan jak najprędzej, bo po co płacić karę? - Weedonowi udaje się zdobyć jeden punkt.

- To uprzejmie z pańskiej strony, że mi pan przypomina - powiadam.

- Przed przystąpieniem do dokładnej rewizji pańskiej celi - odzywa się Abbott - muszę spytać, czy nie ma tu jakichś dokumentów prawnych, których pan sobie nie życzy, żebyśmy czytali?

- Nie - mówię.

- Dziękujemy - rzecze Weedon. - Na tym koniec tej części całej procedury. Teraz cela zostanie przeszukana przez dwoje innych funkcjonariuszy.

Potem mi powiedziano, że postępują tak, żeby się zabezpieczyć, bo jeżeli znajdą coś niedozwolonego, to wobec czterech funkcjonariuszy, którzy kontrolują celę dwójkami, więźniowi będzie o wiele 218

trudniej się wykręcić, twierdząc, że „wrabiają mnie, szefie” i że to, co znaleziono, zostało podrzucone.

- Włamywacze! - słyszę krzyk, który, jak mi się zdaje, dobiega z pobliskiej celi. Patrzę na funkcjonariuszy zdziwiony, że nie wybiegają w pośpiechu na korytarz.

- To o nas - mówi Weedon z uśmiechem. - Jakiś więzień się poka-pował i teraz ostrzega kolegów o naszej wyprawie, żeby zdążyli się pozbyć rzeczy obciążających. W ciągu najbliższych kilku minut bę-

dzie słycać szum spuszczonej wody w toaletach, a przez okna wylecą różne pakieciki.

Abbott i Cook wychodzą, na ich miejsce pojawiają się funkcyjona-riuszki Taylor i Lynn, które przystępują do rewizji.

Weedon eskortuje mnie do celi przejściowej na drugim końcu korytarza i zamyka drzwi. Znudzony podchodzę do okna i patrzę w dół na dobrze utrzymany ogród. Kilkunastu więźniów sadi, podcina i piele za funta na godzinę. Wszyscy są w żółtych odblaskowych kurtkach, tylko nadzorujący jest w dżinsach i rozpiętej pod szyją koszuli. To uporządkowany, zadbane ogród, co nie jest niczym dziwnym, skoro zajmuje się nim kilkunastu ogrodników płatnych po funcie za godzinę.

Z rozbawieniem obserwuję, jak jeden z więźniów przycina żywopłot wielkim sekatorem, najbardziej zabójczą bronią, jaką do tej po-ry widziałem w Belmarsh. Mam nadzieję, że cela tego więźnia jest regularnie sprawdzana.

Dwadzieścia minut później wypuszczają mnie i prowadzą pod eskortą do celi 30. Moje ubrania są równo ułożone, kosz opróżniony, a w celi panuje nadzwyczajny porządek. Niestety, zabrano mi drugą poduszkę i proszek do czyszczenia muszli klozetowej, który „Del Boy” zapobiegliwie dostarczył mi pierwszego dnia, kiedy przybyłem do bloku numer jeden*.

6.00 wieczorem

Kolacja. Zabieram drugą puszkę szynki (49 pensów), żeby mi ją otworzono w kuchence. Tony podaje mi dwa ziemniaki i łyżkę groszku, niezupełnie sklejonego. Posiliwszy się, zmywam moje plastikowe statki, a potem wracam na parter i dołączam do innych więźniów, zgromadzonych na Godzinie Wspólnej. Postanawiam, że powiem tylko

* Taki proszek można dodawać do czystej heroiny, osłabiając jej siłę i zapewniając większy zysk dilerowi. Przepisy więzienne nie zezwalają na posiadanie dwóch poduszek.

219

Fletchowi, Tony'emu i Billy'emu, że rano opuszczam Belmarsh.

Fletch mi mówi, że wiedział o moim rychłym wyjeździe, ale nie zdawał sobie sprawy, że nastąpi aż tak szybko.

Siedzę wraz z innymi w jego celi i czuję się trochę jak ostatniego dnia przed wakacjami w szkole, kiedy spakowawszy kuferek, snujesz się po wspólnej sypialni, dumając nad tym, z iloma też rówieśnikami utrzymasz kontakt.

Fletch mówi nam, że właśnie rozmawiał godzinę z panią Roberts i postanowił złożyć apelację od wyroku i skazania. Jestem zachwycony, ale ogarniają mnie wątpliwości, czy to nie zmieni jego decyzji o publikacji zawartości zielonego zeszytiku.

- Wręcz przeciwnie - mówi Fletch. - Chcę, żeby cały świat się dowiedział, kim są i co robią ci podli ludzie.

- A jeżeli ci każą podać nazwiska tych sędziów, dyrektorów szkół, policjantów i polityków?

- To je podam.

- A co z tamtymi dziesięcioma, którzy jako dzieci przeżyli taki sam koszmar? Jak myślisz, jak oni zareagują? - pyta Tony. - Wszyscy muszą mieć teraz pod czterdziestkę.

Fletch zdejmuje z półki teczkę i wyciąga z niej kartkę z dziesięcioma nazwiskami, wypisanymi jedno pod drugim.

- Mam zamiar w ciągu najbliższych tygodni napisać do każdego z tej listy i spytać, czy zgodzą się na rozmowę z moim adwokatem. Dwóch jest żonatych i być może nie zechcą mówić o tym wszystkim żonom i rodzinom, jednego czy dwóch nie będzie tak łatwo odszukać, ale jestem pewien, że kilku mnie poprze i będzie chciało, żeby prawda wyszła na jaw.

-A co z...,... i...?

- Wymienię ich z nazwisk w sądzie - odpowiada zdecydowanie Fletch. - ... nie żyje, ale ... i... cieszą się doskonałym zdrowiem.

Tony klaszcze, natomiast Billy, niezwykle okazuje emocji, energicznie kiwa głową.

- Wracać do cel! - wykrzykuje ktoś ze stanowiska na parterze.

Wymieniam uściski ręki z trzema mężczyznami; jeszcze miesiąc temu nie miałem pojęcia, że ich spotkam, a teraz nie wiem, czy jeszcze kiedy ich zobaczę*. Wracam do celi.

* Już postanowiłem, że kiedy wyjdę na wolność, odwiedzę Billy'ego (jeszcze 14 lat odsiadki) i Fletcha (jeszcze 19 lat), jeżeli mi pozwolą 220

Kiedy docieram na najwyższe piętro, pod drzwiami zastaję Weedona.

- Jak pan stąd wyjdzie - powiada - niech pan napisze tak, jak jest.

Niech pan opowie o problemach, z jakimi borykają się obie strony, więźniowie i funkcjonariusze, i niech pan wyrażę prawdę.

Jestem zaskoczony pasją, z jaką to mówi.

- Ale teraz powiem panu coś, czego pan nie mógł zaobserwować w ciągu trzech tygodni tu spędzonych. Największym problemem służby więziennej jest obecnie fluktuacja personelu, i to wcale nie z powodu cen nieruchomości w Londynie. W ubiegłym tygodniu straciłem pierwszorzędnego funkcjonariusza, który odszedł, żeby pracować jako motorniczy metra. Taka sama pensja, ale mniej zawracania głowy

- oto powód, jaki podałem. Życzę szczęścia szanownemu panu - mówi na koniec i zamyka mnie w celi.

9.00 wieczorem

Przygotowuję się do rychłego odjazdu. Fletch już mi powiedział, że nikt mnie nie uprzedzi, tylko około wpół do siódmej rano rozlegnie się stukanie do drzwi i usłyszę słowa: „Archer, zostajesz pan przeniesiony, pakuj pan rzeczy”.

- Jedno tylko mogę ci obiecać - dodał Fletch. - Jak już się znaj dziesz w rejestracji, będziesz musiał czekać co najmniej godzinę, aż funkcjonariusz wypełni wszystkie papiery.

9.30 wieczorem

Czytam ostatnią partię listów, w tym list od Mary i Willa, a także od Geordiego Greiga, wydawcy „Tatlera”, który kończy się słowami:

„W Le Caprice czeka na Ciebie stolik zarezerwowany na lunch, jak tylko wyjdiesz na wolność”. To jest przyjaciel nie tylko na dobrą pogodę.

Jeszcze przeglądam dzisiejsze zapiski i postanawiam wcześniej położyć się spać.

10.14

Ostatni raz gaszę światło w Belmarsh.

Dzień dwudziesty drugi

Czwartek, 9 sierpnia 2001

4.40 rano

Budzę się po niespokojnie przespanej nocy, ze świadomością, że w każdej chwili mogę być wezwany. Postanawiam, że wstanę i będę przez dwie godziny pisał.

6.43 rano

Patrzę na zegarek. Jest szósta czterdzieści trzy i śladu życia na pustych korytarzach, więc robię sobie śniadanie. Sugar Puffs, ostatnie pudełko z zestawu Variety, mleko o przedłużonej trwałości i pomarańcza.

6.51 rano

Golę się, myję i ubieram. Przez pewien czas chodzę w kółko po celi, mierzącej pięć kroków na trzy, a potem się pakuję. Kiedy mówię, że się pakuję, muszę to uściślić: nie wolno tu mieć walizki ani torby podręcznej, wszystko trzeba włożyć do jednej z plastikowych toreb więziennych.

7.14 rano

Skończyłem się pakować, ale nadal panuje cisza. Czy moje przeniesienie zostanie opóźnione, a może nawet odwołane? Czy zostanę w Belmarsh do końca życia? Liczę każdą minutę, spacerując tam i z powrotem, czekając na chwilę, kiedy będę mógł stąd oficjalnie uciec. Co czuje człowiek, który czeka na powieszenie?

7.40 rano

Wlewam ostatnie krople mleka UHT do plastikowego kubka, zjadam herbatnik McVitie's i zastanawiam się, czy tam na zewnątrz ktoś w ogóle jest.

Czytam jeszcze raz listy od Mary i Williama. Podnoszą mnie na duchu.

8.15 rano

Nareszcie drzwi celi zostają otwarte przez funkcjonariusza Knowlesa.

- Dzień dobry - mówi wesoło. - Zajmiemy się pańskim przeniesie niem, jak odstawimy do Bailey wszystkich więźniów, którzy są w areszcie śledczym. - Patrzy na zegarek. - Wrócę po pana około wpół do dziesiątej. Gdyby chciał pan wziąć prysznic albo jeszcze coś zrobić, to zostawiam drzwi otwarte.

Proszę wybaczyć banał, ale uzyskawszy potwierdzenie, że naprawdę stąd odjeżdżam, odetchnąłem z ulgą. Biorę prysznic -już opanowa-
łem technikę na przemian wciskania dłonią guzika i namydlania się.

W następnej godzinie do mojej celi zachodzi kilku więźniów, żeby się pożegnać, gdyż już się rozniosło, że opuszczam Belmarsh. „Del Boy” uwalnia mnie od ostatniej butelki wody, tłumacząc, że się przyzwyczaił. Kiedy odchodzi, mówię funkcjonariuszowi, że chciałbym zostawić radio jednemu z więźniów, którego nikt nigdy nie odwiedza.

Otrzymuję odpowiedź, że to jest wbrew przepisom.

- Dać coś komuś, kto jest w potrzebie, jest wbrew przepisom? -
dopytuję się.

- Tak - odpowiada. - Może go pan próbować przekupić albo odwdzińczyć się za dostarczanie narkotyków. Gdyby widziano, jak daje pan radio innemu więźniowi, postawiono by pana do raportu i może nawet przedłużono by panu karę więzienia o dwadzieścia osiem dni.

Mój problem polega na tym, że nie myślę jak przestępca.

Czekam, aż funkcjonariusz się oddali, po czym zbiegam na dół i zostawiam radio i trochę smakołyków na łóżku Fletcha. On będzie wiedział, komu to się najbardziej przyda.

9.36 rano

Wraca Knowles i prowadzi mnie do rejestracji, gdzie pierwszy raz się pojawiłem trzy długie tygodnie temu. Umieszczają mnie w kabinie 223

i poddają rewizji osobistej, tak jak w dniu przybycia.

Ledwo się ubrałem, zakładają mi kajdanki - tylko drugi raz - i prowadzą mnie z budynku do furgonu Transit. Wewnątrz, z lewej strony, są cztery pojedyncze siedzenia, jedno za drugim. Z prawej strony jest boks, gdzie umieszcza się więźnia niczym nieposkromionego lwa. Zamykają mnie w środku, przez dłuższy czas wyglądam przez małe okienko, gdy nagle szerokie, elektronicznie sterowane, okratowane wrota wolno się rozsuwają.

Kiedy czarny furgon Transit wytacza się z Belmarsh, targają mną sprzeczne uczucia. Wprawdzie jestem uszczęśliwiony i odczuwam ulgę, że stąd odjeżdżam, zarazem jednak odczuwam niepokój i lękam się tego innego świata, w którym będę musiał

zaczynać wszystko od początku i nawiązywać nowe znajomości.

Mój pobyt w Piekło trwał trzy tygodnie. Czy teraz podążam do Czyśćca?